

Jestem złem. Demonem zemsty, który nie spocznie,
dopóki nie odpowie krwią na krew. Krzywdą na krzywdę.

99 OF IAR TYTU SA MAYE RA

MARCEL MOSS

MARCEL MOSS

**99 OFIAR
TYTUSA
MAYERA**

FILIA

Dla mojej siostry Martyny z okazji 30. urodzin.

Tytus Mayer (ur. 15 kwietnia 1952 r. w Warszawie) – polski seryjny morderca, zwany Bydlakiem z Chełma. W 1998 roku skazany przez sąd na dożywocie w związku z dwoma morderstwami, których dopuścił się w latach 1980–1987. Proces Mayera zyskał ogólnokrajowy rozgłos po telewizyjnym wywiadzie udzielonym przez kryminologa Jana Mitulę. Specjalista zasugerował w trakcie rozmowy, że rzeczywista liczba ofiar zabójcy może sięgać nawet stu, a do zbrodni tych dochodziło w latach 1984–1990, gdy mężczyzna pracował jako kierowca tira i regularnie podróżował po całej Polsce. W kolejnych miesiącach podobną opinię wyraziło kilku innych ekspertów. Nie znaleziono jednak dowodów potwierdzających tę hipotezę, a sam zainteresowany konsekwentnie wstrzymywał się od komentarza. Na początku 2023 roku sąd zdecydował o przedterminowym wypuszczeniu Mayera na wolność, po dwudziestu pięciu latach odsiadki. Złoczyńca z początku konsekwentnie unikał mediów i nie wypowiadał się na temat przeszłości. Teraz przerwał milczenie.

CZEŚĆ 1
NOWY POCZĄTEK

ROZDZIAŁ 1

OBECNIE

Węch to jeden z najstarszych zmysłów, który ma niezwykle skomplikowany mechanizm działania i wpływa na pozostałe zmysły. W osiemdziesięciu procentach decyduje o naszych wrażeniach smakowych. Pozwala wyczuwać zagrożenie i w porę na nie reagować. Z jakiegoś powodu zapachy inne od spalenizny nie są jednak w stanie wybudzić nas ze snu. Tak twierdzą badacze i lekarze. Szczerze mówiąc, aż do teraz nie zastanawiałem się nad tym. Ostatnie dni skłoniły mnie jednak do podważenia tych wszystkich naukowych twierdzeń. No bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że co rano budzę się, czując silny zapach ogórkowego płynu po goleniu, którego mój ojciec używał przed laty w nadmiarze? Czasem wystarczyło kilka minut od jego wyjścia z łazienki, by smród rozniósł się po całym domu, zmuszając mnie do ucieczki. O ile innym domownikom zdawał się nie przeszkadzać, o tyle mnie okropnie drażnił. Do dziś krzywię się na samo wspomnienie. Wołałem już nawet ciągnący się za ojcem alkoholowy odór po jego zakrapianych bimbrem nocach z kolegami z pracy.

To niesamowite, że dzisiaj – kilkadziesiąt lat po jego śmierci – to właśnie ten wstrętny ogórkowy płyn najsilniej mi się z nim kojarzy. Oznacza koniec szczęśliwego dzieciństwa w Warszawie. Myślę, że właśnie na tym polega mój problem. Nigdy nie pogodziłem się z tym, że ojciec przez swoją głupotę pozbawił nas wygodnego życia i zmusił do wyprowadzki na Lubelszczyznę...

Ale po kolei. Jako pełniący funkcje kierownicze pracownik Instytutu Budownictwa Drogowego, przemianowanego później na Centralny Ośrodek Badań i Rozwoju Techniki Drogowej, ojciec zarabiał więcej niż nasi sąsiedzi. W efekcie miałem dostęp do zabawek, o których inne dzieci mogły tylko pomarzyć. Nie było świąt, bym nie otrzymał od starego zagranicznych klocków

czy kolorowych samochodzików. Pewnego dnia wszedł do mojego pokoju i przypadkiem nadepnął na twarde klocek. Zaklął wtedy siarczyście i zagroził, że przestanie mnie tak rozpieszczać. Bardzo się tym przejąłem, ale na szczęście ojciec rzadko dotrzymywał słowa i kilka miesięcy później sprezentował mi na urodziny wielkiego pluszowego misia i kilka resoraków. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że wkrótce wyleci dyscyplinarnie z roboty i już nigdy nie podaruje mi żadnej zabawki. Według oficjalnej wersji jego problemy z alkoholem utrudniały wywiązywanie się z zawodowych obowiązków. W kularach mówiło się, że skonfliktowany z przełożonym ojciec nie miał już czego szukać w ośrodku. Pamiętam, jak podczas jednej z kłótni mama zarzuciła mu, że w pewnym momencie poczuł się zbyt pewnie i uwierzył, że może wojować z ludźmi znacznie bardziej wpływowymi niż on. A gdy drżącym z nerwów głosem wyznała, że nie jest gotowa na powrót do plebsu, poczułem, że w moim życiu kończy się pewien etap. I faktycznie tak było.

Z dnia na dzień rodzice musieli zacząć zaciskać pasa. Ojciec szybko zrezygnował z ulubionej wody po goleniu i wymienił ją na wspomniany przeze mnie tani, ogórkowy płyn. Ktoś może stwierdzić, że ludzie mają w życiu większe problemy, ale jako dziecko naprawdę tęskniłem za odświeżającym morskim zapachem poprzedniego kosmetyku ojca. Ogórkowy płyn wzbudzał we mnie niepokój i odbierał nadzieję na szybki powrót dobrych czasów. Najgorsze były dni, gdy ojciec z nim przesadzał. Miałem wrażenie, że przyzwyczaiał się już do tego smrodu i potrzebował go więcej, by w ogóle coś poczuć, i że tracił chęć walki, powoli godząc się z nową rzeczywistością. Wciąż jednak tliła się we mnie iskierka nadziei, że zażegnamy ten kryzys. Niestety szybko zgasła.

Pół roku po zwolnieniu, gdy dla ojca stało się jasne, że w Warszawie nie ma już dla niego miejsca, przeprowadziliśmy się do jego rodzinnego Chełma. Przestałem się łudzić, że prędko uwolnię się od smrodu ogórków. Od kilku dni jednak zapach ten drażni mnie tak mocno, że nie mogę spać. Cała sala śmierdzi kiszonkami, jakby ktoś postanowił mi dokuczyć i wylał pod łóżko zawartość kilku słoików. Nie pomaga nawet otwarcie okien na noc. Jak tak dalej pójdzie, to chyba poproszę o zmianę sali. Opiekująca się mną doktor Przymorska przekonuje, że to absurdalne, bo poza mną nikt tego nie czuje. Jej

zdaniem w wyniku przebytej niedawno infekcji doszło u mnie do upośledzenia pracy mózgu, który przywołuje teraz nieprzyjemne zapachy.

– Proszę się nie martwić. Wkrótce wszystko powinno wrócić do normy – zapewniła mnie zeszłego wieczora. Jakoś nie mogę uwierzyć, że to tylko złudzenie.

Kilka minut po moim przebudzeniu do sali wchodzi siostra Dominika, moja ulubiona pielęgniarka.

– Jak panu minęła noc? – pyta, szeroko się do mnie uśmiechając. Uwielbiam patrzeć na jej śnieżnobiałe, proste zęby i gładziutką, niemal pozbawioną zmarszczek twarz. Nigdy bym nie powiedział, że jest po trzydziestce. Gdy moja matka była w jej wieku, wyglądała co najmniej dziesięć lat starzej. Skacowana, niewyspana i ubrana w stare, cuchnące szmaty wzbudzała we mnie jedynie współczucie. Z czasem stała mi się kompletnie obojętna. I pozostała taka już do swojej śmierci.

– Szczerze mówiąc, nie najlepiej – odpowiadam siostrze Dominice, teatralnie się krzywiąc.

– Ból w podbrzuszu nie odpuszcza?

– No właśnie nie, mimo iż doktor Przymorska podała mi wczoraj zwiększoną dawkę środków przeciwbólowych.

– Jak bardzo boli w skali od jeden do dziesięciu? – dopytuje pielęgniarka, jednocześnie wpatrując się w ekran kardiomonitora i notując coś na kartce papieru.

– Hm... Może sześć?

– To znaczy, że jest poprawa. Wczoraj mówił pan, że osiem – odpowiada.

– Wydaje mi się, że po prostu zaczynam się przyzwyczajać do bólu. Na dodatek wciąż drażni mnie zapach ogórków.

– Rozumiem. Pani doktor będzie dziś dopiero po południu, bo wczoraj jej córka pochorowała się i lekarka nie ma jej z kim zostawić, ale gdy tylko się zjawi, to natychmiast jej o tym wspomnę. A teraz proszę odpoczywać, bo ma pan nieco podwyższone tętno. Czy coś pana niepokoi?

Nie chcę jej mówić, że smród ogórków przywołał wszystkie bolesne wspomnienia z dzieciństwa w Chełmie, dlatego zrzucam winę na ból brzucha. Wtedy siostra Dominika proponuje, że wezwie obecnego na dyżurze doktora

Andrusa, który ewentualnie zleci przeprowadzenie dodatkowych badań pod kątem potencjalnej infekcji.

– Czy to konieczne? – dopytuję z rezygnacją w głosie. Cały zeszły tydzień upłynął mi pod kątem diagnostyki i wysłuchiwania coraz to nowych opinii na temat mojego stanu zdrowia.

– Nie wiem, czy konieczne, ale zawsze lepiej dmuchać na zimne. Pójdę po doktora.

Najchętniej odpiąłbym się od aparatury, opuścił szpital i żył tak jak przed zawałem. Że też musiał się przytrafić akurat mnie, i to zaledwie cztery miesiące po wyjściu z więzienia, gdy wszystko zaczęło zmierzać ku lepszemu. Po dwudziestu pięciu latach, z których pierwsze trzy były dla mnie istnym piekłem, sąd ukrocił mi wyrok, dając szansę na spokojne przeżycie starości. Po wyjściu na wolność trafiłem pod skrzydła fundacji wspierającej osoby w sytuacji takiej jak moja. Z ich pomocą znalazłem tanie, dwupokojowe mieszkanie pod Warszawą i urządziłem je tak, że najchętniej w ogóle bym go nie opuszczał. Współczesny świat jest mi obcy i czuję, że nie mam już energii, by go poznawać. Poza tym nareszcie mam do dyspozycji duże łóżko z miękkim materacem, szafę z wystarczającą liczbą półek na ubrania i wannę, w której na dodatek mogę odpoczywać z wyprostowanymi nogami. Wolność... Dawniej brałem ją za pewnik. I gdy straciłem już nadzieję na to, że znów jej zaznam, ocknąłem się na ulicy, za więziennym murem, z siatką pełną ubrań w dłoni. A teraz znów czuję się jak więzień i bezradnie patrzę, jak inni decydują o moim życiu. Człowiek pozbawiony wolności jest jak wieczne dziecko. Z tą różnicą, że przybywa mu lat w dowodzie.

– Siostro! – wołam ją, gdy jest już jedną nogą na korytarzu.

– Tak?

– Mam ochotę na steka. Najlepiej takiego półkrwistego.

Moje słowa sprawiają, że pielęgniarka zdusza chichot i z rozbawieniem kręci głową.

– Rozmowy z panem niczym nie różnią się od przekomarzanek z moim sześciolatkiem synem.

– Młody duch to klucz do nieśmiertelności – zauważam.

– To prawda, ale pod warunkiem, że zachowujemy się odpowiedzialnie. A doktor Przymorska na pewno wspomniała panu, że czas zapomnieć

o tłustych potrawach.

– Tak, ale jej tu teraz z nami nie ma. – Uśmiecham się wymownie, a wtedy siostra Dominika wzdycha i przewraca oczami. – To jak? Zdobędzie dla mnie siostra choćby malutki kawałek?

– Wykluczone. I proszę mnie więcej o to nie prosić, bo będę zmuszona donieść o wszystkim pani doktor. – Kąciki jej ułożonych w poziomą linię ust delikatnie drgają.

– Dobrze, dobrze. Nie zaszkodziło spróbować.

Kilka sekund po opuszczeniu sali drzwi ponownie się otwierają.

– Zapomniałabym: o trzeciej ma przyjść ta dziennikarka, Julia Karpiel.

– Dzisiaj? – Unoszę brwi. – Myślałem, że umawialiśmy się na jutro.

– Wspominał pan o czwartku. Dziś mamy czwartek – wyjaśnia pielęgniarka.

– Naprawdę? Och, w szpitalu zupełnie tracę poczucie czasu. A może to przez niedobór białka? Soczysty stek na pewno szybko poprawiłby moją koncentrację. – Mrugam do niej okiem.

– Zaraz doniosę doktorowi Andrusowi, że kwestionuje pan nasze metody leczenia – odgraża się siostra Dominika. – I jeszcze jedno: czy na pewno czuje się pan na siłach, by przeprowadzić ten wywiad?

– To nie zwykły wywiad, tylko pierwsza z kilku rozmów w ramach prac nad moją autoryzowaną biografią, która ma się ukazać w przyszłym roku – precyzuję, a następnie dodaję: – Miałem się spotkać z panią Karpiel już dwa tygodnie temu, ale zatrzymała ją jakaś sprawa rodzinna. A potem trafiłem tutaj... Zależy mi na opowiedzeniu swojej historii, dlatego nie chcę dłużej czekać.

– Rozumiem. Proszę jednak być przygotowanym na to, że pani doktor może zdecydować, iż jest pan jeszcze zbyt słaby na przyjmowanie gości. Na dodatek to podejrzenie infekcji...

– Nic mi nie będzie, siostrzo. Przetrwałem więzienie i zawał. Przetrwam i Julię Karpiel.

Siostra Dominika przygląda mi się jeszcze przez chwilę z politowaniem, po czym stwierdza zapewne, że jestem uparty jak jej Szymek, bo wychodzi na korytarz. Mam nadzieję, że wróci szybko z obfitym śniadaniem, bo głód coraz bardziej mi doskwiera. A jeśli to właśnie on powoduje ból brzucha? Nie rozumiem, dlaczego trzymają mnie tu już tydzień. Moje wyniki są niezłe.

Mimo to doktor Przymorska uparła się, żebym został jeszcze na obserwacji. Tęsknię za swoim mieszkaniem. Nie miałem jeszcze okazji się nim nacieszyć. Trafiłem z jednego więzienia do drugiego.

Świadomość tego, że wkrótce spotkam się z Julią Karpielem, przygotowuje mnie o dreszcz ekscytacji. Jeszcze do niedawna nie odważyłbym się nawet pomyśleć, że ktoś zainteresowałby się mną na tyle, że chciałby napisać moją biografię. Gdy jednak miesiąc temu znalazłem w skrzynce pocztowej kopertę z kilkustronicowym listem od znanej dziennikarki, moje ego poszybowało w górę. Spodobało mi się to, że Julia Karpielem już w pierwszym akapicie nie siliła się na fałszywe kurtuazje, tylko nazwała rzecz po imieniu. Przyznała wprost, że skontaktowała się ze mną, bo „na własne życzenie spierdoliła sobie karierę” i tak się składa, że właśnie ja mogę jej pomóc wydobyć się z dołka. Następnie streściła mi swój życiorys, opowiadając o licznych sukcesach w telewizji.

Okazało się, że przez pewien czas była największą gwiazdą jednej z komercyjnych stacji i prowadziła jednocześnie kilka programów, w tym rzekomo bijące rekordy popularności show randkowe. Pojawiała się też często w tabloidach w związku z małżeństwem z jednym z najbogatszych Polaków. Do pewnego momentu wydawało się, że świat stoi przed nią otworem. Gdy jednak na jaw wyszedł romans Julii z reprezentantem Polski w piłce nożnej, media natychmiast rozpuściły na nią nagonkę, a sponsorzy zerwali kontrakty. Sytuację pogarszał jej wpływowy mąż, który zdaniem Julii przekupywał niektóre gazety i portale internetowe w ramach szukania zemsty. W wyniku skandalu Karpielem straciła pracę w telewizji i zmuszona była usunąć się w cień, w którym przebywa od dwóch lat. Czytając o jej problemach, uświadomiłem sobie, jak bardzo przez te wszystkie lata mojej odsiadki zmienił się świat. Dziś wszystko jest na sprzedaż, a ludzie bardziej niż opinią rodziny i przyjaciół przejmują się tym, co wypisują o nich w sieci zupełnie obce osoby. Cieszę się, że tak rzadko korzystałem w więzieniu z internetu. Co prawda głównym powodem było to, że nie do końca umiałem posługiwać się komputerem, ale też podskórnie czułem, że nie omija mnie nic ważnego.

„Głęboko wierzę, że oboje skorzystamy na tej biografii. Ja odzyskam szacunek w branży i zwiększę swój potencjał marketingowy głośną publikacją, a pan zarobi pieniądze, których tak bardzo teraz potrzebuje” –

pisala w liście Julia, przyznając, że przeprowadziła na mój temat małe śledztwo. Właśnie w ten sposób udało jej się między innymi ustalić mój adres zamieszkania, a nawet wysokość pożyczki zaciągniętej w jednym z banków. Zmroziło mnie, gdy podała właściwą kwotę. „Poza tym, co najważniejsze, dam panu szansę na przedstawienie swojej wersji wydarzeń. Każde słowo w książce będzie musiało zostać przez pana zaakceptowane. Polacy wreszcie poznają prawdziwą historię Bydlaka z Chełma. Chyba nie przepuści pan takiej okazji? Oboje wiemy, że w głębi duszy pragnie pan znów znaleźć się w centrum zainteresowania. Pamiętam pański głośny proces i liczne fotografie, na których siedział pan nonszalancko rozparty na krześle, patrząc prosto w obiektyw i uśmiechając się szelmowsko. Ewidentnie sprawiało to panu przyjemność. Bawił się pan medialnym szumem i elektryzował opinię publiczną. Z pewnością nie było panu łatwo, gdy po zakończeniu procesu świat tak szybko o panu zapomniał. Czasem portale internetowe wspomną o panu w artykułach poświęconych największym zbrodniarzom powojennej Polski, ale dziś nikt już nie zastanawia się nad tym, co dzieje się z Bydlakiem z Chełma. Pańskie przedterminowe zwolnienie przeszło bez echa. A nie powinno. Czas przypomnieć wszystkim, dlaczego przed laty był pan jednym z najbardziej rozpoznawalnych Polaków, który w jednym z sondaży prezydenckich wyprzedzał kilku poważnych graczy. To jak, mogę liczyć na współpracę?”

Mam już swoje lata i nie tak łatwo mnie zmanipulować. A już na pewno nie byłaby tego w stanie zrobić dziennikarka, która po niezłym początku w dalszej części listu przeszarżowała z narracją, której pozazdrościłby jej niejeden marketingowiec. Mimo to zgodziłem się z nią spotkać, bo miała co do mnie rację. Nigdy nikomu tego nie powiedziałem, ale miesiące sądowego procesu były najszczęśliwszym okresem w moim życiu. Paradoksalnie poczułem ulgę, gdy popełnione przeze mnie zbrodnie wyszły na jaw. Męczyły mnie już ciągła konspiracja i drzenie o własne bezpieczeństwo. Każdy kolejny dzień wysysał ze mnie coraz więcej energii i nasilał paranoję. Wszędzie widziałem zagrożenie i postrzegałem siebie jako uwięzionego w kołowrotku chomika. Uciekałem przed sprawiedliwością, nie mając chwili na złapanie oddechu. Wtedy, w areszcie, gdy już nic ode mnie nie zależało, po raz pierwszy poczułem się naprawdę wolny. A gdy do głosu dochodziła adrenalina,

wydawało mi się, że mogę przenosić góry. Pogrywałem sobie z wymiarem sprawiedliwości i ludźmi, którzy nigdy nie mieli do mnie szacunku. Śmiałem się prosto w twarz obecnym na sali wrogom, dając im do zrozumienia, że wcale ze mną nie wygrali. To ja byłem zwycięzcą. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Gdy sąd wydał wyrok, a ja stanąłem przed perspektywą spędzenia reszty życia w izolacji od świata zewnętrznego, powoli zaczęło do mnie docierać, że od początku znajdowałem się na przegranej pozycji. Przez cały ten czas dostrzegałem w dokonanych przez siebie mordach większą symbolikę. Przekonywałem samego siebie, że wysyłam w ten sposób wiadomość do świata i piętnuję wszystkie jego grzechy. Finalnie tylko ja zostałem napiętnowany. I jak zauważyła Julia Karpiel, bardzo szybko zapomniany. Tak dłużej być nie może. Muszę dokończyć dzieła i przypomnieć światu o mojej wiadomości. Może tym razem ludzie zrozumieją, że robiłem to dla dobra nas wszystkich. Jednak sam nie będę w stanie o sobie zawalczyć. Właśnie dlatego postanowiłem połączyć siły ze znaną dziennikarką.

*

Po drugiej mam już za sobą całkiem smaczny i treściwy obiad, badania oraz rozmowę z doktor Przymorską. Dowiaduję się, że nic nie wskazuje na to, bym zmagął się z jakąś poważną infekcją.

– Czy to znaczy, że wypuscicie mnie wreszcie do domu?

– Przecież wie pan, że to niemożliwe – odpowiada poważnie niska, przesadnie szczupła blondynka ze spiętymi w kucyk włosami. – To, że chwilowo czuje się pan lepiej, nie znaczy, że jutro nie nastąpi pogorszenie. W pana stanie sytuacja może się zmienić nawet w przeciągu godziny.

– Nikt tak jak pani nie potrafi pocieszyć człowieka – wzdycham, a następnie pytam ją o Julię Karpiel.

– Byłoby lepiej, gdyby wstrzymali się państwo z tym wywiadem jeszcze przez kilka dni. Wciąż nie wrócił pan w pełni do zdrowia.

– Z całym szacunkiem, pani doktor, ale jestem już zmęczony tą bezczynnością. Czuję się lepiej niż rano i najchętniej przespacerowałbym się po piętrze.

– Nalegam, by został pan jeszcze dziś w łóżku. I niech pan tak na mnie nie patrzy. Robię to przecież dla pańskiego dobra.

– Dobrze, ale proszę nie blokować spotkania z tą dziennikarką. Boję się, że kolejne opóźnienia sprawią, że straci zainteresowanie tym projektem. A prawda jest taka, że to być może moja ostatnia szansa na to, by przypomnieć sobie światu.

– W porządku, ale proszę się nie forsować. Dwie godziny wystarczą?

– Dwie godziny? Mam jej tyle do powiedzenia, że w dwie godziny nie zdążę nawet streścić swojego dzieciństwa przed wyprawką do Chełma.

– Jeśli jutro będzie się pan dobrze czuł, zezwolę na drugie tyle – deklaruje lekarka, po czym unosi wysoko prawy kącik ust i dodaje: – A żeby tak się stało, musi się pan stosować do moich zaleceń. Rozumiemy się?

*

Kilka minut przed trzecią w zniecierpliwieniu patrzę na wiszący nad drzwiami zegar i przeląkam ślinę. Wkrótce wrócę na chwilę do przeszłości i ujawnię przed znaną dziennikarką swoje najmroczniejsze sekrety. Opowiem jej o wszystkich traumatycznych doświadczeniach, ale i najszcześniejszych chwilach. Przed dniem aresztowania miałem nieustanną huśtawkę nastrojów. Bywały momenty, gdy dosłownie rozpierała mnie radość i wydawało mi się, że wszystko zmierza ku dobremu. A potem działo się coś, co odzierało mnie ze złudzeń i odbierało mi wiarę w ludzi. I tak w kółko. Nienawidziłem tych gorszych okresów. Negatywne emocje dosłownie mnie wtędy rozsadały i jedynym sposobem na odzyskanie równowagi było znalezienie dla nich ujścia. Właśnie dlatego przez ostatnich dwadzieścia pięć lat koncentrowałem się na pozytywach. Wyładowywanie gniewu na współwięźniach nie wchodziło w grę. Odpychałem od siebie mrok, który kojarzył mi się z ponurą piwnicą w naszym domu w Chełmie. Wiedziałem, że nie mogę znów stać się tym żądnym zemsty i bezlitosnym jeźdźcem sprawiedliwości. Dawniej walczyłem o równowagę na świecie, zapominając o porządkowaniu własnego chaosu. Za kratami przetrwałem tylko dlatego, że skupiłem się na sobie.

Dziś jestem innym człowiekiem, spokojniejszym i bardziej świadomym siebie. Odcięcie się na wiele lat przyniosło mi tak bardzo upragniony spokój. Tylko co się stanie, jeśli wywiad z Julią Karpiel rozdrapie dawne rany i obudzi śpiące gdzieś na dnie mojej podświadomości demony? Wiem bowiem, że nigdy się ich całkiem nie pozbyłem. Pewne traumy pozostają w człowieku na zawsze, a gniew tylko czeka na to, by znów wypłynąć na powierzchnię. Czy tym razem uda mi się nad nim zapanować? Nagle, dosłownie na chwilę przed jej przybyciem, dopadają mnie wątpliwości. Po co wracać do tego, co było? Czy nie lepiej nadal koncentrować się na swoim małym wszechświecie i robić wszystko, by zapewnić sobie spokojną starość? Dopiero co przeszedłem zawał serca. Doktor Przymorska powiedziała wprost, że jeśli o siebie nie zadbam, to kolejny może mnie zabić. Stres jest moim największym wrogiem. A mimo to dobrowolnie zamierzam go sobie zafundować.

Dokładnie trzydzieści osiem sekund przed trzecią rozlega się ciche pukanie do drzwi. Chwilę później, nie czekając na moje wezwanie, do sali wchodzi siostra Dominika.

– Ma pan gościa. – Gdy to mówi, wiem, że jest już za późno, by się wycofać. Zresztą dlaczego zamartwiam się z powodu czegoś, co może wcale nie nastąpi? Miałem dwadzieścia pięć lat, by nauczyć się panować nad emocjami. Wybuchy furii, które dawniej sprawiały, że kontrolę nade mną przejmowały mroczne, nieujarzmione siły, są dziś jedynie mglistym wspomnieniem. Muszę mieć pozytywne nastawienie i powtarzać sobie, że tamtego Tytusa Mayera już nie ma. Nie wpadnę nagle w wir, z którego wydostanę się jako spragniony krwi kat. Julii Karpiel nic nie grozi. Pogodziłem się z przeszłością. Pogodziłem się z przeszłością. Pogodziłem się z przeszłością. – Proszę pana?

– He? Tak? – Pytanie pielęgniarki wytrąca mnie z zamyślenia.

– Powiedziałam, że ma pan gościa.

Przyszła Julia Karpiel. To się dzieje.

– Wspaniale. Niech wejdzie – mówię, przecierając szybko dłońmi tłustą, zmęczoną twarz.

Trzy sekundy później próg przekracza delikatnie umalowana, niewysoka szatynka z falistymi, opadającymi na ramiona włosami. Ubrana jest w rozpiętą, dzinsową kurtkę i sięgającą niemal do kostek granatową sukienkę

pokrytą nadrukami w kształcie owoców pomarańczy. Wygląda znacznie młodziej i mniej poważnie niż na zdjęciach, do których dotarłem.

– Pan Mayer? – Przysuwa się plecami do ściany, spoglądając na mnie niepewnie. Tymczasem ja nabieram powietrza ustami, przygotowując się na być może najważniejszą rozmowę w moim życiu. Powiem jej całą prawdę. Już nie ma odwrotu.

ROZDZIAŁ 2

OBECNIE

– Dzień dobry, pani Julio – odpowiadam, przechodząc do pozycji półsiedzącej i starając się zapanować nad lekkim drzeniem głosu. – Tak to ja, we własnej osobie. Wprawdzie wyłysiałem i przybyło mi sporo zmarszczek, ale zapewniam panią, że wciąż mam w sobie wiele z dawnego Tytusa.

– Oby nie było mi dane się o tym przekonać – stwierdza Julia, rozśmieszając mnie tym.

– Widzę, że ma pani specyficznym poczucie humoru. To dobrze. Na pewno się polubimy. Proszę podejść. Nie gryzę.

– To akurat wiem, bo dotarłam do raportów z sekcji zwłok pańskich ofiar – wyjawia, powoli krocząc w moją stronę. – Oczywiście tylko tych, o których wiadomo.

– Zostawię państwa. Gdybym była do czegoś potrzebna, proszę mnie wezwać. – Gdy Dominika zamyka za sobą drzwi, Julia spogląda przez ramię w tamtym kierunku, jakby nagle dopadły ją wątpliwości, czy przychodzenie tutaj było dobrym pomysłem.

– Boi się mnie pani, prawda? – Zmieniam ton głosu na poważniejszy. Wtedy Julia ponownie przenosi na mnie wzrok i głośno prychnęła.

– Pyta pan, czy boję się schorowanego starca, który musi się załatwiać przez cewnik?

– Już panią lubię... I wcale nie mam cewnika. Korzystam z kaczki i basenu – wyjawiam. – Zapraszam, pani Julio. Naprawdę nie stanowią dla pani żadnego zagrożenia. Zdecydowanie bliżej mi do rozszczekanego ratlerka niż rottweilera. – Zduszam śmiech. Dopiero wtedy moja rozmówczyni sięga po stojące przy oknie krzesło i przysuwa je do łóżka. Następnie zdejmuje czarny plecak i siada, kładąc go sobie na udach.

– A tak już całkiem poważnie: wygląda pan fatalnie – mówi po krótkiej pauzie.

– Dziękuję, właśnie to chciałem dziś usłyszeć – odpowiadam wciąż rozbawiony. – Pani za to wygląda zachwycająco. Paradoksalnie usunięcie się w cień wydobyło z pani cały blask.

To chyba moje słowa sprawiają, że Julia otwiera plecak i wyjmuje z niego zeszyt oraz długopis.

– Pozwoli pan, że sobie to zanotuję i zamieszczę w książce? Ludzie uwielbiają chwytliwe cytaty.

– Ależ proszę. Powiedziałem prawdę. Zresztą cała książka będzie prawdą.

– Mam nadzieję. Być może zabrzmie to nieco dramatycznie, ale moja zawodowa przyszłość zależy teraz od pana.

– Gdyby tylko w przeszłości więcej osób umiało mnie docenić tak jak pani...

– Cicho wzdycham i pytam: – Tak właściwie to dlaczego ja? Nie do końca przekonuje mnie podane w liście wyjaśnienie...

– To znaczy? – Julia mruży oczy i pochyla się lekko do przodu.

– Napisała pani, że bardzo zależy jej na tym, by przypomnieć o mnie ludziom. Tylko czy nie zmniejszyłaby pani ryzyka, wybierając kogoś, że tak powiem, bardziej współczesnego? Kogoś, kogo nikomu nie trzeba przypominać?

– Ma pan na myśli postać pokroju upadłej celebrytki, która zmyśliła sobie karierę i przez lata dorobiła się na tym fortuny? A może powinnam przeprowadzić wywiad ze znanym youtuberem, który niedawno wsiadł za kółko po pijaku i śmiertelnie potrącił idącą brzegiem ulicy starszą kobietę?

– Youtube... Przepraszam, nie wiem, o czym pani mówi.

– Nieważne. – Julia zaczesuje włosy za lewe ucho i kontynuuje: – Wspominałam panu, że mam już na swoim koncie trzy książki, w tym głośną biografię Bernarda Walewskiego?

– Kto to jest?

– Warszawski biznesmen uwikłany w liczne afery finansowe. Pięć lat temu, gdy jego przekręty wyszły na jaw, zamordował żonę i trójkę dzieci, a potem strzelił sobie w łeb.

– Straszne...

– Mało powiedziane. Niemniej otrzymałam za tę książkę prestiżową nagrodę literacką i zabezpieczyłam się finansowo na kilka lat. Przede wszystkim jednak wyrobiłam sobie pozycję na rynku literackim i otworzyłam drzwi do kolejnych publikacji. Nie chcę się chwalić, ale wszystkie moje trzy książki osiągnęły status bestsellera. Chciałabym iść za ciosem i rozmawiać z kontrowersyjnymi postaciami, które interesują moich czytelników. Niestety z wiadomych przyczyn większość osób woli obecnie trzymać się ode mnie z daleka. – Rozkłada bezradnie ręce.

– I dlatego zgłosiła się pani do mnie... Nikt inny nie zgodził się na firmowanie swoją gębą pani książki.

– Kontaktowałam się jedynie z kilkoma osobami – wyznaje. – Myślę, że gdybym się bardziej postarała, to udałoby mi się kogoś zachęcić. Uznałam jednak, że nie ma takiej potrzeby, bo pan jest od nich o wiele ciekawszą osobistością... Zresztą wiele razy przekonałam się, że czasem droga na skróty nie popłaca. A już na pewno nie w tym momencie kariery, w którym się znalazłam.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało... Przekonałem się na własnej skórze, jak mściwi potrafią być ludzie. Sam zresztą nie byłem lepszy. – Widzę po jej nietęgiej minie, że nie ma ochoty rozmawiać na temat byłego męża, dlatego zmieniam temat: – Skąd w pani ta pewność, że kogokolwiek zainteresuje moja historia? Dlaczego ludzie mieliby chcieć czytać biografie przebrzmiałego mordercy?

– Chociażby dlatego, że jest pan Tytusem Mayerem. Cholernym Bydlakiem z Chełma, któremu przypisuje się sto bestialskich mordów. Człowiekiem roztaczającym wokół siebie nieprzyjemną aurę, która wręcz paraliżuje. Nie umiem tego wyjaśnić, ale poczułam to od razu po wejściu do sali. W jednej chwili przypominałam sobie uczucie niepokoju, które towarzyszyło mi za każdym razem, gdy jako nastolatka oglądałam w telewizji materiał na temat pańskiej osoby. Zawsze, gdy zerkał pan w kamerę z tym szyderczym uśmiechem, momentalnie odwracałam wzrok. Bałam się pana. Wszyscy się bali. Nawet teraz, gdy teoretycznie nie może mi pan nic zrobić, z trudem udaje mi się utrzymać z panem kontakt wzrokowy – wyznaje, na moment spuszczać wzrok na ściskany obiema dłońmi zeszyt.

– Nie chcę, by ludzie wciąż się mnie bali. Zależy mi jedynie na tym, by poznali prawdę i dowiedzieli się, dlaczego robiłem to, co robiłem. Wtedy, w trakcie procesu, nie miałem na to szansy. Media i prokuratura do tego stopnia nastawili przeciwko mnie społeczeństwo, że moje motywacje nie miały dla nikogo znaczenia. Właśnie dlatego unikałem odpowiedzi na większość pytań. Wybrałem milczenie, bo i tak nikt mnie nie słuchał. Mój przekaz się nie liczył. – Wzdycham z rezygnacją i robię kilkusekundową pauzę. – Postanowiłem poczekać na odpowiedni moment, gdy będę mógł w spokoju, bez bycia zagłuszonym, wygłosić swój manifest do tego zepsutego świata.

– Manifest do zepsutego świata... – Julia ponownie otwiera zeszyt. – Podobają mi się te słowa. Powinniśmy je umieścić na okładce. Co prawda brzmią nieco patetycznie, ale ludzie lubią takie chwytliwe hasła. Słyszał pan o Jeffreyu Dahmerze?

– O kim?

– O amerykańskim seryjnym mordercy, który był sądzony w tym samym czasie co pan. Jeśli się nie mylę, zmarł rok po tym, jak trafił pan za kraty. W ostatnich latach znów stało się o nim głośno, a to za sprawą książek i seriali. Zresztą nie tylko o nim, ale w ogóle o wielu zbrodniarzach sprzed lat. Czuję, że jeśli odpowiednio przedstawimy pańską historię, dołączy pan do tego – wymownie chrząka – zacnego grona. Ludzie kochają sensację i rozlew krwi. Przyglądanie się cierpieniu innych sprawia nam satysfakcję. Zresztą nie ma się co dziwić. Agresja rządzi współczesnym światem i widać to na każdym kroku. Niestety mało kto umie sobie z nią radzić. Ludzie od rana do wieczora harują w pocie czoła i pozwalają się tłamsić agresywnym szefom, a potem wracają do domu i relaksują się, oglądając serial o jakimś zwyrodnialcu albo bijąc Bogu ducha winną żonę. Inni wyzywają się z powodu zazdrości i kompleksów. Frustruje ich świadomość tego, że niektórym żyje się lepiej. Właśnie dlatego z roku na rok internet zalewa coraz większa fala hejtu. – Julia widzi, że nie znam tego terminu, dlatego precyzuje: – Chodzi o język nienawiści, którym posługują się internauci, często anonimowo. Od lat prowadzone są kampanie mające na celu złagodzenie prowadzonych w sieci narracji. Nie zanoszą się jednak na to, by sytuacja miała ulec poprawie.

– I mówi mi to pani, bo liczy, że wspomniany hejt pomoże nam nagłośnić moją biografię? Chce pani, by jacyś frustraci wylewali na mnie pomyje

w internecie?

– Nie to miałam na myśli, ale faktem jest, że często na hejcie można się nieźle wypromować. Ludzie kochają kontrowersje – stwierdza Julia.

– Rozumiem, że pani też doświadczyła hejtu po ujawnieniu romansu? – dopytuję, a gdy jej usta momentalnie układają się w cienką, poziomą linię, dodaję: – Powinna pani zatem wiedzieć najlepiej, że czasem kontrowersje bardziej szkodzą, niż pomagają.

– W pana przypadku będzie inaczej. Przepraszam za to, co teraz powiem, ale spójrzmy prawdzie w oczy: dla świata jest pan nikim. Lata temu bezpowrotnie utracił pan szacunek społeczeństwa i nie ma żadnych szans na to, że kiedykolwiek go pan odzyska. Choćby do śmierci przeproszał pan za to, co zrobił, i poświęcał każdą wolną chwilę na działalność charytatywną, wszyscy już zawsze będą widzieli w panu potwora, który z zimną krwią zamordował niewinnych ludzi. Właśnie dlatego uważam, że nie ma pan nic do stracenia. Bardziej nie da się pana znienawidzić. Teraz może pan tylko zyskać – mówi z powagą w głosie. – Chyba się pan nie rozmyślił?

– Ależ skąd. Zbyt długo czekałem na ten moment, by teraz wystraszyć się perspektywy czytania obraźliwych wpisów autorstwa ludzi, którzy nigdy nie odważyliby się powiedzieć mi tego prosto w twarz. Porozmawiajmy lepiej na temat tytułu. Ma pani jakiś pomysł?

– Kilka, ale najpierw chciałabym wysłuchać pańskich propozycji. W końcu sam pan przyznał w jednej z rozmów telefonicznych, że pragnie, by ta historia w jak największym stopniu odzwierciedlała to, co ma pan wszystkim do przekazania.

– Hm... W zasadzie to przyszedł mi do głowy pewien tytuł... Co pani sądzi o *Stu ofiarach Tytusa Mayera*?

– Mam przez to rozumieć, że potwierdza pan te wszystkie pogłoski? – pyta Julia z niekrytą satysfakcją.

– Obiecałem, że usłyszy pani ode mnie całą prawdę, ale wszystko w swoim czasie. Chcę jeszcze panią przez jakiś czas potrzymać w niepewności.

– I bardzo dobrze. Żaden czytelnik nie lubi, gdy autor już na samym początku odsłania wszystkie karty. *Sto ofiar Tytusa Mayera*... – Julia przez dłuższą chwilę drapie się po podbródku, zatapiając wzrok w jednym punkcie na ścianie. – A co by pan powiedział, gdybyśmy zmienili sto na

dziewięćdziesiąt dziewięć? Wydaje mi się, że liczba sto jest niepotrzebnie okrągła... Dziewięćdziesiąt dziewięć brzmi bardziej chwytliwie. Oczywiście mogę się mylić, ale...

– Jeśli intuicja podpowiada pani, że tak będzie lepiej, to z mojej strony nie ma problemu. Podoba mi się taki tytuł.

– Tylko czy jest zgodny z prawdą? – Julia zatapia we mnie ciekawskie, odrobinę prowokujące spojrzenie. – Może powinniśmy na razie wstrzymać się z podawaniem liczby?

– *Dziewięćdziesiąt dziewięć ofiar Tytusa Mayera* to dobry tytuł. A czy prawdziwy? O tym czytelnik dowie się na końcu...

Przez następne minuty Julia omawia ze mną kwestie techniczne, takie jak przewidywana liczba rozdziałów czy stron. Omawiamy też sprawę posłowania. Ku mojemu zaskoczeniu Julia sugeruje, że sam powinienem je napisać.

– Taki smaczek na końcu z pewnością zachwyciłby czytelników – argumentuje.

W pewnym momencie rozmowę przerywa nam doktor Przymorska, która wchodzi do sali bez pukania i wypytuje mnie o samopoczucie.

– Wszystko w porządku, pani doktor – odpowiadam głośno i wyraźnie. Lekarka jeszcze przez chwilę mierzy mnie podejrzliwym wzrokiem, po czym opuszcza salę. – Powiedzieć, że obchodzą się tu ze mną jak z jajkiem, to jak nic nie powiedzieć – odzywam się do Julii.

– To chyba dobrze? Ma pan wokół siebie ludzi, którzy o pana dbają. Domyślałam się, że od dawna pan tego nie zaznał?

– W zasadzie to już zapomniałem, jak to jest nie być samotnym... Wydaje mi się, że w pewnym momencie wyzbyłem się pragnienia posiadania przy sobie bliskich osób. Pozwoli pani, że się położę? Jakoś nagle rozbolały mnie plecy...

– Oczywiście. – Julia podrywa się z krzesła i poprawia poduszkę, zanim opuszczam na nią głowę. A potem zadaje pytanie, które sprawia, że krew momentalnie uderza mi do głowy: – Czy zmiana, która w panu zaszła, miała coś wspólnego ze śmiercią Zofii?

Odpowiadam dopiero po dłuższej chwili, której potrzebuję na opanowanie wzruszenia:

– Tak. Ale nie tylko. Myślę, że złożyło się na to wiele czynników.

Moja Zosia... Mimo tysięcy przepłakanych nocy wciąż nie pogodziłem się z tą stratą. Dzięki tej kobiecie uwierzyłem, że dobro istnieje i mam szansę na normalne, szczęśliwe życie. Chwile, które z nią spędziłem, były jak tęcza rozpościerająca się na niebie po burzy. Zosia uświadamiała mi, że można żyć bez żalu i nienawiści w sercu. Nadała mojej codzienności zupełnie inny, nieznan mi wcześniej wymiar. Odgoniła gęste, ciemne chmury i pokazała ukryte za nimi piękno – bezinteresowną miłość, której nigdy wcześniej nie zaznałem. Wtedy czułem, że właśnie tego mi brakowało. Tych szczerych, niezwykle silnych i jednocześnie oczyszczających emocji. Pragnąłem, by już zawsze mi towarzyszyły. Dzięki nim wszystko stawało się prostsze, a rzeczy, których wcześniej nie rozumiałem, nagle nabrały znaczenia. Nawet moje trudne dzieciństwo zacząłem postrzegać jako cenną i potrzebną lekcję. Dzięki Zosi nauczyłem się inaczej odczuwać otaczającą mnie rzeczywistość. I przede wszystkim miałem cel w życiu, a było nim zapewnienie jej szczęścia. W dniu, w którym odeszła, znów wszystko straciło sens. Musiałem pożegnać się ze swoim marzeniem. Byłem głupi, dopuszczając do siebie miłość i tracąc czujność. Gdybym pozostał wierny swoim wartościom, być może zdążyłbym w porę zareagować i Zosia wciąż by żyła. Nigdy nie wybaczyłem sobie tego, co się stało. I wiem, że już tego nie zrobię. Muszę to jednak z siebie wyrzucić. Nie łudzę się, że dzięki temu zacznę lepiej sypiać, ale przynajmniej odświeżę pamięć o Zosi i publicznie przyznam się, że jestem winien jej śmierci. Nic więcej nie mogę już dla niej zrobić.

– Domyślam się, że to dla pana trudne, ale jeśli chcemy, by książka odniosła sukces, to musimy poruszyć wszystkie kwestie z pańskiego życia – tłumaczy Julia.

– Tak, oczywiście. – Pociągam nosem i biorę kilka głębokich wdechów, starając się zapanować nad wzruszeniem. – Jestem gotów na to, by rozliczyć się z przeszłością. – Moja deklaracja sprawia, że twarz Julii natychmiast się rozpromienia.

– Cieszy mnie to. Chciałabym jednak najpierw porozmawiać z panem na temat odsiadki.

– Myślałem, że zaczniemy od mojego dzieciństwa? – pytam zdziwiony.

– Uważam, że atrakcyjniej będzie najpierw poruszyć aktualne tematy. Dla wielu osób, zwłaszcza dla młodego pokolenia, jest pan postacią kompletnie

anonimową, a w najlepszym wypadku zwyrodnialcem, który nikomu już dziś nie zagraża. Opowiedziałby pan o tym, jak najbardziej znienawidzonemu niegdyś człowiekowi w Polsce udało się przetrwać za kratami i podzielił się z czytelnikami planami na przyszłość. Dopiero wtedy cofnęlibyśmy się do pańskiego dzieciństwa i zaczęli snuć opowieść o tym, jak cichy, wstydlivy chłopiec z pozornie zwyczajnej rodziny przemienił się w Bydlaka z Chełma. Co pan na to?

– Dobrze, zatem co chciałaby pani wiedzieć?

– Sekundę... – Julia wkłada dłoń do plecaka i wyjmuję z niego telefon. – Jeśli pan pozwoli, będę wszystko nagrywać.

– Naturalnie. Zatem proszę pytać.

– Generalnie nie chciałbym przez cały czas ukierunkowywać rozmowy na interesujące mnie sprawy. Z pewnością jest wiele kwestii, o których nie wiem, a które chciałby pan poruszyć. Jeśli uzna pan, że dobrze byłoby w danej chwili o czymś wspomnieć, to proszę się nie krępować. Najważniejsze, by czytelnik poczuł, że to pan snuje tę opowieść. Ja jestem jedynie narzędziem, które to umożliwia.

– W porządku. Może więc skupmy się na początek na pierwszych trzech latach za kratami – proponuję, gdy nagle rozlega się pukanie do drzwi.

– Nie przeszkadzam? – Inna z pielęgniarek, siostra Arleta, wchodzi do sali, trzymając przed sobą drewnianą tacę ze szklanką wody. – Czas na lekarstwa i witaminy.

Podczas gdy ja łykam garść tabletek, pielęgniarka pyta Julię, czy chciałaby się czegoś napić.

– Może być mała czarna.

– Dla mnie też – rzucam.

– Dla pana będzie melisa. – Arleta uśmiecha się do mnie chyba po raz pierwszy, odkąd przyjęto mnie na oddział.

– Widzi pani? Nie pozwalają mi nawet napić się kawy w miłym towarzystwie – zwracam się do Julii.

– Trzeba było wcześniej dbać o swoje serce. – Pielęgniarka posyła mi wymowne spojrzenie, po czym rusza w kierunku wyjścia.

– Zołza – mruczę chwilę później, na co Julia reaguje cichym westchnięciem.

– Proszę mi wybaczyć, ale muszę się zgodzić. Jakie drzewa zasadzimy za młodu, takie owoce zbierzemy na starość.

– Lepiej niech pani tego nie umieszcza w książce – mówię z rozbawieniem i wracam do tematu odsiadki: – Jak wspomniałem, wolałbym się najpierw skupić na najgorszym dla mnie okresie. Chciałbym to już mieć za sobą. Zresztą idąc pani tokiem myślenia, nie zaszkodziłoby zacząć z wysokiego C. A zapewniam, że nikt nie chciałby doświadczyć tego, co zafundował mi Skórski...

– Skórski?

– Maciej Skórski, jeden z klawiszy, który niemal od razu obrał mnie sobie za cel. Przysięgam pani, że przez te wszystkie lata na mojej drodze stało wielu skurwysynów, ale chyba żaden nie dorównał Skórze, bo tak go nazywano. Najgorsze było to, że nikt go nie powstrzymywał przed traktowaniem mnie jak najgorszego śmiecia. Mógł mną pomiatać do woli, a jakby tego było mało, podburzał przeciwko mnie innych więźniów. Nie żeby musiał to robić, bo wszyscy przecież wiedzieli, kim jestem, ale organizował na przykład często grupowe znęcanie się nade mną.

Julia unosi wysoko brwi.

– Słucham?

– To i tak za ledwie wierzchołek góry lodowej – wzdycham. – Facet zgotował mi piekło i nie poniósł żadnych konsekwencji. Przez trzy lata robiłem dla niego za worek treningowy.

– Dlaczego tylko trzy lata? – dopytuje wciąż wyraźnie przejęta Julia.

– Pewnie gnębiłby mnie dłużej, ale problemy zdrowotne zmusiły go do przejścia na emeryturę. – Przerывam na moment, gdy powraca do mnie wspomnienie dnia, w którym dowiedziałem się o jego odejściu. – Wcześniej nie było go przez trzy tygodnie. Wydało mi się to dziwne, bo nigdy nie brał urlopu, ale nie spodziewałem się, że dopadło go choróbsko. Byłem jednak przygotowany na jego odejście. Każdego dnia fantazjowałem na ten temat. Nocami śniłem o tym, że Skóra znika z mojego życia, rozplywa się w powietrzu, a mnie ogarnia niewyobrażalne, bezkresne szczęście. Zaskoczyło mnie tylko jedno...

– Co takiego?

– To, że gdy wreszcie moje marzenia się ziściły, nie poczułem kompletnie nic.

– Jak to?

Już mam odpowiedzieć, gdy siostra Arleta wchodzi do sali i stawia na stoliku przy łóżku tacę z filiżanką kawy i kubkiem gorącej melisy.

– Proszę poczekać około pięciu minut, zanim pan wypije – radzi mi.

– Dlaczego nie ucieszył się pan z powodu odejścia gnębiciela? – docieka po jej wyjściu Julia.

– Bo nie było się z czego cieszyć. Skóra ogromnie mnie skrzywdził. Pozostawił po sobie rany, które już nigdy się nie zagoją. W dniu jego odejścia byłem niczym. Pozbawionym godności, cuchnącym ścierwem. Biegający czasem wzdłuż ściany karaluch znaczył więcej niż ja. – Przerywam na moment, bo zaczyna mi się łamać głos. – Było mi wszystko jedno, czy Skóra nadal będzie się nade mną pastwił, czy oddeleguje do tego kogoś innego. Już nie czułem ani bólu, ani wstydu. Poddąłem się, bo granica upodlenia została przekroczona. Równie dobrze mogli mnie zabić, co zresztą nieraz chcieli zrobić. Przestałem walczyć.

– Doprawdy? – Julia bierze łyka kawy, nie odrywając ode mnie wzroku. A potem kontynuuje: – Wydaje mi się, że gdyby pan o sobie nie walczył, to nie rozmawialibyśmy teraz. Co pomogło panu zmienić nastawienie?

– Nie co, a kto. Ale o tym później. Najpierw opowiem pani o moim pierwszym spotkaniu z tym skurwielem, a potem o najgorszym dniu mojego życia. Aha, prawie bym zapomniał: co pani myśli o tym, by część książki poświęcona więzieniu nosiła tytuł *Skóra*?

Julia bierze kolejny łyk i rozsiada się wygodnie na krześle.

– Nie mam nic przeciwko. Zatem słucham.

CZEŚĆ 2

SKÓRA

ROZDZIAŁ 1

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

ROK 1998

Dziś mija tydzień, odkąd po raz pierwszy wprowadzono mnie do ponurej, chłodnej celi w lubelskim więzieniu. Od tamtej pory nie mam kontaktu z nikim poza klawiszami, którzy przynoszą mi skromne, obrzydliwe posiłki i sprawdzają, czy nie odebrałem sobie życia. Nie rozumiem, dlaczego nie pozwalają mi wyjść na deptak. Wydawało mi się, że każdy więzień ma do tego prawo. Gdy spytałem o to wczoraj jednego z klawiszy, całkowicie mnie zignorował. Czy tak będzie już zawsze? Zamierzają mnie izolować od pozostałych więźniów w obawie, że coś im zrobię? A może jest wręcz na odwrót i starają się mnie ochronić przed hordą wygłodniałych bestii? Wiem, że słyszeli o moim przybyciu. Codziennie docierają do mnie ich nawoływania, gdy mijają moją celę. Czasem ktoś kopnie drzwi, głośno się przy tym śmiejąc. Pojawienie się w pierdlu Bydlaka z Chełma to nie lada wydarzenie. Przypuszczam, że jestem tu najślawniejszym osadzonym. I prawdopodobnie najbardziej znienawidzonym. Każdy pragnie mojej krwi. A ten, kto pierwszy ją przeleje, stanie się legendą. Im więcej o tym myślę, tym mocniej wierzę, że zamiast przeklinać pod nosem klawiszy, powinienem im dziękować za otaczanie mnie opieką. Przeszedłem zbyt długą drogę, by teraz skończyć jako ofiara jakiegoś przypadkowego degenerata. Z drugiej jednak strony nie mogę tak funkcjonować w nieskończoność. To nie życie, tylko pieprzona vegetacja. W pewnym momencie będę musiał wyjść z ukrycia i stawić czoła potencjalnym oprawcom. Pokażę im, że dla własnego dobra nie powinni ze mną zadzierać. Dopilnuję, by nikt już nigdy mnie nie znieważył. Dość tego.

Przez lata budziłem się z przeświadczeniem, że być może pewnego dnia moje zbrodnie wyjdą na jaw, a ja trafię za kratki. Wprawdzie robiłem wszystko, by do tego nie dopuścić, ale mimo to siłą rzeczy starałem się przygotować mentalnie na każdą ewentualność. Wierzyłem bowiem, że nie ma nic gorszego niż zagrożenie, które spada na nas niespodziewanie. W takiej sytuacji nie ma się szans na obronę. Zbyt wiele razy podcięto mi nogi, bym znów na to pozwolił. Dlaczego więc leżę teraz na podłodze i nie mam siły wstać? Co poszło nie tak, że więzienna rzeczywistość tak szybko mnie przytłoczyła? Wygląda na to, że czym innym jest wyobrażanie sobie życia w ciasnej celi, a czym innym życie w niej. Do niedawna byłem kimś i choć ludzie mnie nienawidzili, to liczyli się z moim zdaniem i autentycznie się mnie bali. W trakcie procesu nie koncentrowałem się na tym, co mi grozi. Delektowałem się uwagą całego kraju i tym, że wymierzyłem sprawiedliwość. Czułem, że mam realny wpływ na losy świata, a złożone przeze mnie ofiary nie pójdą na marne. Chciałem, by ludzie zrozumieli, że jedyną drogą do harmonii jest pokój. Nie ma mojej zgody na przemoc w jakiegokolwiek formie. Przemoc zaburza harmonię, którą można przywrócić wyłącznie poprzez złożenie ofiar i wyrównanie bilansu krzywd. Właśnie to przez cały czas próbowałem osiągnąć. Wszyscy widzieli we mnie wcielenie diabła, a nie dostrzegali mojej troski o naszą przyszłość.

Nie wiem, która jest godzina, bo w celi nie ma zegara, ale zapadająca za wąskim, nieprzeziernym oknem ciemność sugeruje, że od ostatniego posiłku minęło co najmniej pięć godzin. W połowie czerwca słońce zachodzi o dwudziestą pierwszą. Klawisze przynieśli mi dziś dwa posiłki: jeden rano, koło dziewiątej, i drugi po południu, prawdopodobnie koło piętnastej. Zakładając, że postanowili dziś zachować sześciogodzinne odstępy między posiłkami, co zresztą uważam za kompletny absurd, lada moment powinienem dostać kolację. Oby wyrobili się na czas, bo zaczynam opadać z sił. Czy władze więzienia naprawdę myślą, że chłop w sile wieku może przetrwać dzień na trzech skromnych posiłkach? Oby to był tylko jednorazowy incydent.

Jakiś czas później ogarnia mnie tak silna frustracja, że jestem bliski skopania drzwi, aby przyciągnąć klawiszy. Na szczęście w porę orientuję się, że takie zachowanie byłoby im na rękę. Czuję, że ze mną pogrywają i testują

moją cierpliwość. A może liczą na to, że fundując mi na wstępie terapię szokową, uda im się mnie skutecznie zmiękczyć? To by znaczyło, że się mnie obawiają. I słusznie. Tytus Mayer nie zapomina wyrządzonych mu krzywd. I zawsze walczy o utrzymanie harmonii. Im szybciej ci dranie przestaną się nade mną pastwić, tym lepiej dla wszystkich.

Musi być już po północy, gdy leżę wpatrzony w ciemny sufit na twardej koi i nasłuchuję nieznośnego burczenia w brzuchu. Niczego nie pragnę w tej chwili bardziej niż snu, ale obawiam się, że nie zmrużę oka. Nigdy nie umiałem zasypiać z pustym żołądkiem. Jako dziecko cały dzień ukrywałem się w pokoju i głodowałem, i dopiero późnym wieczorem wymykałem się do kuchni i robiłem sobie w pośpiechu kanapkę. Chwilę po jej zjedzeniu spałem już jak kamień. To zabawne, że postrzegałem wtedy swoje życie jako więzienie. A przecież miałem wybór. Bez względu na to, co działo się w domu, mogłem w każdej chwili wyjść z pokoju. Dziś nie mogę się doprosić nawet o kromkę chleba ze smalcem. Odmawia mi się wszystkiego, jestem tu zbędnym balastem. Nie zamierzam jednak składać broni. Przeszedłem zbyt długą drogę, by teraz dać się złamać. Wciąż tu jestem, choć zdaniem wielu stanowią dowód na to, że zniesienie kary śmierci w Polsce było fatalnym pomysłem. I nie wybieram się jeszcze na tamten świat, choć pewnie niejedna osoba mi tego życzy.

Wkrótce oczy zaczynają mi się zamykać ze zmęczenia, a w głowie mam totalny chaos. I gdy wreszcie jakimś cudem – mimo tych wszystkich przeciwności – udaje mi się zasnąć, z płytkiego snu wybudza mnie odgłos przekręcanych w zamku kluczy.

– Pobudka – wybrzmiewa niski, lekko zachrypnięty głos. Powoli rozchyłam powieki, a następnie przecieram wierzchnią stroną dłoni zmęczone oczy. – Słyszysz? Wstawaj.

Niechętnie unoszę głowę i wlepiam wzrok w klawisza stojącego w drzwiach. Jest tak ciemno, że nie widzę wyraźnie jego twarzy, ale rozpoznaję go po smukłej sylwetce i bardzo wysokim wzroście, przez który musi przybierać lekko zgarbioną postawę. W przeciwnym razie ryzykowałby uderzenie czubkiem głowy o sufit. Jordan, bo tak go nazywam, w ostatnim tygodniu zajrzał do mnie kilka razy i – inaczej niż jego koledzy – okazał mi odrobinę zainteresowania, pytając o samopoczucie. Jako jedyny nie przyglądał mi się

z pogardą czy obrzydzeniem. Był neutralny, a tego w ostatnim czasie tak bardzo mi brakowało. Dlaczego więc teraz zwraca się do mnie nieprzyjemnym tonem?

– O co chodzi? – pytam niepewnie po wyjściu na korytarz.

– Idziemy.

Nie sądziłem, iż niedożywienie i tydzień spędzony w ciasnej celi osłabia mnie na tyle, że pokonanie dwóch korytarzy i zejście po schodach przyprawią mnie o sporą zadyszkę. Gdy Jordan zatrzymuje się przy wysokich, stalowych drzwiach, czuję przyspieszone bicie serca, a po plecach spływają mi strużki zimnego potu. Nie wspomnę już o obolałych, drżących niczym galareta nogach.

– Gdzie jesteśmy? – odzywam się, ale Jordan ignoruje moje pytanie. Zamiast tego naciska na klamkę i popycha obiema rękami ciężkie drzwi.

– Wchodź – mówi niepokojąco obojętnym tonem. Czuję, że zaczynam tracić jedyne go sojusznika, o ile kiedykolwiek go miałem.

Niechętnie zbliżam się do Jordana i zaglądam do środka. Za drzwiami znajduje się słabo oświetlone, puste pomieszczenie z niepomalowanymi ścianami i epoksydową podłogą. Dopiero po przekroczeniu progu zauważam ustawiony w kącie kwadratowy stół z przysuniętymi do niego dwoma krzesłami. Na jednym z nich siedzi mężczyzna koło pięćdziesiątki ubrany w identyczny mundur co Jordan. Na głowie ma czapkę z daszkiem. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Na mój widok nieznajomy wstaje i gestem ręki nakazuje, bym zbliżył się do niego.

– Podejź – odzywa się cichym, lecz stanowczym głosem. Jest najniższy z naszej trójki, ale najmocniej zbudowany. Nie mam pojęcia, kim jest ani dlaczego mnie tu sprowadził, ale jego surowy wyraz twarzy każe mi sądzić, że nie ma wobec mnie szlachetnych zamiarów. – Zostaw nas samych – zwraca się do Jordana, który natychmiast spełnia jego rozkaz. Dopiero wtedy rusza w moją stronę i zatrzymuje się w odległości kilku kroków. – Tytus Mayer... Bydlak z Chełma... Nie mogłem się doczekać, aż cię wreszcie poznam. – Czuję na sobie jego ciekawskie spojrzenie.

– Przepraszam, że nie mogę powiedzieć tego samego – rzucam pół żartem, pół serio, a w odpowiedzi klawisz głośno parska śmiechem.

– Widzę, że nie zatraciłeś poczucia humoru. – Po tych słowach rozbawienie momentalnie znika z jego gładko ogolonej, pokrytej licznymi przebarwieniami twarzy. Mam wrażenie, jakby w przeciągu sekundy stał się zupełnie innym człowiekiem. Miałem okazję poznać ludzi, którzy zachowywali się podobnie. Wszyscy byli psychopatami. – Usiądź. – Wskazuje mi dłonią jedno z krzeseł, a ja posłusznie wykonuję jego polecenie.

– Dlaczego tu jestem? – pytam, gdy siedzę już naprzeciwko szarej ściany.

– Jak to dlaczego? Nie ma w tym kraju osoby, która by nie słyszała o potwornościach, których się dopuściłeś – odpowiada pracownik więzienia, krążąc za moimi plecami. – Mam ci przypomnieć nazwiska niewinnych ludzi, których odebrałeś ich zrozpaczonym bliskim? Rzecz jasna tylko tych, o których wiadomo...

– Nie trzeba, dziękuję. – Mam złe przeczucia. Nie podoba mi się jego nastawienie.

– Ponoć masz na swoim koncie sto trupów. To prawda? – ciągnie temat.

– Nie.

– Jak to nie? – Słyszę zdziwienie w jego głosie. – Chcesz powiedzieć, że było ich więcej?

– Nie, nie było – odpowiadam bez zająknięcia. – To wszystko kłamstwa mediów, które chciały zarobić na sensacji. Najpierw podchwyciły słowa jakiegoś nieznanego kryminologa, a potem zbudowały mit najokrutniejszego seryjnego mordercy w historii Polski. Przez cały proces zarabiała na moim nieszczęściu. Pewnie będą to robić jeszcze przez wiele lat.

– Rozczaruję cię, Tytus... – Mężczyzna okrąża stół i siada po mojej lewej stronie. – Widzisz, po tym, jak cię zamknęli, pismaki znalazły sobie nowe tematy do eksploatawania. Wszyscy już o tobie zapomnieli. Właśnie tak działa ten świat. Sensacja goni sensację. Ludzie stale potrzebują nowych tematów do omawiania przy wódeczce. Twój czas już minął. I tylko rodzin ofiar w tym wszystkim szkoda – wzdycha, kręcąc z dezaprobatą głową. – Ci ludzie akurat nigdy o tobie nie zapomną. Już zawsze na myśl o zmarłych bliskich przed oczami będzie im stawał twój pogardliwy uśmiezek. Chujowa perspektywa, nie sądzisz?

Wiem, że nie powinienem się wdawać w dyskusję, ale potworny głód i olbrzymia frustracja nie pozwalają mi pozostawić jego słów bez komentarza.

– Dlaczego mi to pan mówi? Przecież nie jestem jedynym mordercą w tym więzieniu – zauważam. Wtedy klawisz opiera łokcie o stół i przykłada podbródek do złożonych jak do modlitwy dłoni.

– Fakt, nie jesteś jedyny... W trakcie służby spotkałem wielu parszywych typów, w tym gangsterów, gwałcicieli i pedofilów. I choć wielu z nich dopuściło się straszliwych zbrodni, to przysięgam, że żaden nie dorównywał tobie pod względem zbydlęcenia. Żaden, kurwa.

– To dość subiektywna ocena – zauważam, po czym spuszczam wzrok na blat stołu. Nieznajomy reaguje na mój komentarz nerwowym śmiechem i kładzie przede mną zdjęcie rudowłosej dziewczyny, na oko niemającej nawet dwudziestu lat. Zaciska ona obiema dłońmi kierownicę auta i spogląda dumnie w obiektyw aparatu. Moją uwagę zwracają duże kolczyki w kształcie motyla ze złotym tułowiem i rozpostartymi, rubinowymi skrzydłami.

– Poznajesz?

– Widzę ją pierwszy raz na oczy – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Nie kłam – cedzi przez zęby klawisz. – Wiem, że jej zniknięcie to twoja sprawka. Po prostu to wiem.

Przez mniej więcej dziesięć sekund badam wzrokiem naddartą fotografię i staram się ustalić, czy kiedykolwiek zetknąłem się z tą dziewczyną. Nie jest to trudne, bo pamiętam wszystkie swoje ofiary: kolor ich oczu, ton głosu, zapach, a nawet teksturę skóry. Nigdy nie zapomnę ich przerażonych twarzy, odgłosów rozpaczliwych jęków i smrodu potu wydzielanego przez ich umęczone ciała w chwilach, gdy stawałem się panem ich losu. Te obrazy już zawsze we mnie będą.

– Przysięgam, że nie mam pojęcia, kim ona jest. – Spoglądam mu w oczy. – Dlaczego pan uważa, że ją skrzywdziłem?

Klawisz przygląda mi się nieufnie, a po dłuższej chwili odpowiada:

– Ma na imię Milena i jest najmilszą, najbardziej niewinną osobą, jaką możesz sobie wyobrazić. Nigdy nikogo nie skrzywdziła, a pewnego razu jako dziecko wpadła w histerię, gdy mój ojciec przyniósł jej wypełniony żywymi stonkami słoik, a następnie wysypał je przed nią na chodnik i kazał rozdeptać. – Przysuwa do siebie fotografię i gładzi prawym kciukiem twarz Mileny. – Była taka dobra... Uwielbiała zwierzęta. Jako nastolatka doniosła milicji na sąsiada, który znęcał się nad psem. Mieliśmy później z tego powodu

problemy, bo facet długo się na nas mścił. Raz próbował nawet spalić nasz dom – prycha. – Nigdy jednak nie robiłem Milenie z tego powodu wyrzutów. Wszak dobroć nie jest wadą, prawda? A jednak to właśnie przez nią moja córka od czternastu lat nie wróciła do domu. – Pociąga szybko nosem, nie spuszczać wzroku z fotografii. – Wystarczyło, że spotkała na swojej drodze jednego niewłaściwego człowieka, by straciła wszystko...

– Nic nie zrobiłem pańskiej córce – oświadczam, a wtedy klawisz piorunuje mnie wzrokiem i uderza zaciśniętą pięścią w stół.

– Łżesz! Wiem, że to ty! Świadek, który widział ją jako ostatni, zeznał, że wsiadła do białego dostawczaka, który podjechał po nią na przystanek autobusowy w Puławach. – Podnosi się z krzesła i staje za mną. – Był siedemnasty maja osiemdziesiątego czwartego. Po tym, jak zrobiło się o tobie głośno, wszystko dokładnie sprawdziłem. Wiem, że wciąż wtedy pracowałeś dla PKS Puławy.

– Tak, ale zajmowałem się przewozami ponadgabarytowymi. Nie jeździłem dostawczakami, a starami 29 – zauważam.

– Przeważnie nie jeździłeś – zaznacza pracownik więzienia. – Firma dysponowała różnymi pojazdami i zdarzało się, że delegowała kierowców starów do mniejszych transportów.

– Dlaczego próbuje mi pan wmówić coś, czego nie zrobiłem? – Obracam się na krześle i kieruję przodem do stojącego na środku pomieszczenia klawisza. – Przykro mi z powodu tego, co spotkało pańską córkę, ale naprawdę nie mam nic wspólnego z jej zniknięciem.

Mężczyzna zagryza dolną wargę i wsuwa dłonie do kieszeni ciemnych spodni. Przez następne pół minuty chichocze nerwowo, przystępując z nogi na nogę.

– Nie wierzę ci, skurwielu... Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Łżesz jak pies, i to jeszcze bez najmniejszego zajknięcia... Uprowadziłeś ją. Zbyt wiele faktów za tym przemawia. Musiałeś być wtedy w Puławach. – Nagle podbiega do mnie, szarpie za ramię i zaciąga pod ścianę. – Gadaj, co jej zrobiłeś!

– To nie ja! – podnoszę głos. – Ile razy mam powtarzać?!

– GADAJ, KURWA! – Klawisz pluje mi w twarz i przyciska głowę do zimnej ściany. – GDZIE JEST MILENA?!

– Nie wiem – syczę, krzywiąc się z bólu. – Naprawdę nie wiem!

Słyszając to, mój oprawca ściska mi szyję z taką siłą, że na moment tracę kontakt z rzeczywistością, a przed oczami rozpościera mi się ciemność. Z niebytu wydobywa mnie grad spadających na mnie pytań, na które nie znam odpowiedzi:

– Jak się poznaliście? Ile to trwało? Zabiłeś ją? Bardzo cierpiała? – Z każdym kolejnym pytaniem do oczu napływa mu coraz więcej łez. – Dlaczego akurat ona? Gadaj, śmieciu! Dlaczego Milena?!

– J-ja... n-nie... – Otwieram szeroko usta, walcząc o każdy oddech. Jednocześnie próbuję resztkami sił odciągnąć mu rękę od szyi, bezskutecznie. Czuję, jak powoli uchodzi ze mnie życie. Robię się coraz lżejszy, a wściekłe krzyki klawisza przemieniają się w niewyraźny szum. Mimo to walczę zaciekle, bo przecież to sobie obiecałem. Nie po to znosiłem tyle cierpienia, by skończyć w tak bezsensowny sposób. Mój oprawca jest jednak silniejszy. Wiem, że nie odpuści. Tacy jak on nie mają zahamowań.

W pewnym momencie ponownie przenoszę się do próżni i uwalniam od wszystkich emocji. Nie czuję niczego, przestałem istnieć. I wtedy, gdzieś w oddali, spostrzegam biały okrąg, który dynamicznie się poszerza. Następnie wchłania mnie i przywraca do rzeczywistości.

– Musiałeś go tak urządzać? – Słyszę znajomy głos. To Jordan.

– Puściły mi nerwy. Skurwiel wszystkiego się wyparł – odpowiada mu towarzysz. – Muszę się dowiedzieć, co zrobił mojej córce...

– I dlatego omal go nie udusiłeś?

– Nic mu nie będzie.

– A jeśli następnym razem się nie powstrzymasz? Jak to wytłumaczysz górze? – dopytuje oburzony Jordan.

– Myślisz, że ich obchodzi los tego śmiecia? Jeszcze mi podziękują za to, że pokazuję mu jego miejsce w szeregu.

– Sam nie wiem...

– Nie przejmuj się nim. To mój problem. Po prostu trzymaj się z boku i udawaj, że niczego nie widzisz – radzi mu mój oprawca.

– Jak chcesz, ale wiedz, że nie podoba mi się to, co odpierdalasz – stwierdza Jordan. Gdy parę sekund później otwieram oczy, spostrzegam go krocącego w stronę drzwi.

– Wiem, że mnie słyszysz. – Ojciec Mileny podnosi mnie z podłogi. Jestem jednak tak słaby, że natychmiast tracę równowagę. Na szczęście on w porę mnie podtrzymuje i zaciąga do krzesła. A potem popycha mnie na oparcie i chwyta za twarz. – Chcę, byś zapamiętał sobie to, co teraz powiem... – Oczy płoną mu z nienawiści. – Nazywam się Maciej Skórski i od dziś jestem twoim największym przekleństwem. Dopilnuję, byś w każdej sekundzie swojego pobytu tutaj czuł na plecach mój oddech. Zbyt długo uważałeś się za Boga, który może decydować o życiu innych. Czas, by role się odwróciły. Twój los spoczął w moich rękach i zrobię z tobą wszystko, na co tylko będę miał ochotę. Im dłużej będziesz się wzbraniał przed powiedzeniem mi prawdy, tym bardziej będziesz cierpiał. Bo widzisz, miesiącami przygotowywałem się do twojego przybycia tutaj. I gwarantuję ci, że to, czego przed chwilą zaznałeś, to zaledwie przedsmak atrakcji, jakie dla ciebie przygotowałem. – Rechoce złowieszczo. – A teraz wstawaj. Wracamy do celi. Dziś daruję ci izolatkę, ale niebawem znów urządzimy sobie małą pogawędkę. Lepiej zastanów się, co mi wtedy powiesz...

Z pomocą Skórskiego udaje mi się doczołgać do celi. Po otwarciu drzwi mężczyzna popycha mnie na podłogę jak najgorsze ścierwo, a następnie dwukrotnie na mnie spluwa.

– Śniadanie będzie później. To cena za brak współpracy – oznajmia. A gdy jego usta układają się w pogardliwy uśmieszek, coś we mnie pęka. Doświadczyłem w życiu zbyt wielu upokorzeń, by to przemilczeć. Nie mogę, po prostu nie mogę okazać przed tym popierdoleńcem słabości. Wiem, że tak byłoby najrozsądniej, biorąc pod uwagę moją sytuację, ale jeśli teraz to zignoruję, to potem będzie tylko gorzej. Zresztą czuję, że będzie, tak czy siak. Mimo to wzmagający gniew nasila we mnie potrzebę uświadomienia temu draniowi, że wybrał sobie trudnego przeciwnika.

– Błagała mnie o litość – rzucam tuż po tym, jak Skórski opluwa mnie po raz trzeci i rusza w stronę drzwi. Moje słowa sprawiają, że na trzy sekundy zastyga w bezruchu. Następnie obraca się na pięcie i warczy:

– Coś ty, kurwa, powiedział?!

W ciemnościach nie dostrzegam jego twarzy, ale przyspieszony oddech i wydawane przez niego ciche, rozpaczliwe jęki, sugerują, że moje kłamstwo zadziało.

– Zanim poderznięłem jej gardło, przerażona wzywała tatusia – blefuję, czym jeszcze bardziej wyprowadzam go z równowagi.

– Ty skurwy...

– Zdechła, wiedząc, że nie może na ciebie liczyć.

– Zaj... – urywa, zapewne nie chcąc rozbudzić pozostałych więźniów. Następnie przez dobrą minutę krąży po sali, na zmianę chichocząc i przeklinając pod nosem. – Zajebię cię. Zniszczę. Rozpierzolę w drobny pył. Już po tobie, kurwo. To nawet nie jest wojna. Zgotuję ci pierdolony armagedon. Lepiej zmów paciorek.

Zaciskam zęby i spinam wszystkie mięśnie w ciele, oczekując na decydujący atak Skórskiego. Mam pełną świadomość tego, że dałem się ponieść emocjom i swoimi słowami jeszcze bardziej go rozjuszyłem. Może i popełniłem taktyczny błąd, ale o dziwo wcale tego nie żałuję. Jeśli mnie teraz zabije, to spędzi resztę życia w przekonaniu, że pozbawił się szansy na odnalezienie ciała córki. Ku mojemu zaskoczeniu Skórski wychodzi powoli z celi, zamykając za sobą cicho drzwi i przekręcając klucz w zamku. Odczekuję dłuższą chwilę, po czym rozluźniam się i wypuszczam powietrze ustami.

– Ja pierdolę – mruczę, starając się ogarnąć umysłem to, czego właśnie doświadczyłem. A potem dociera do mnie, że Skórski wcale nie blefował i to dopiero początek koszmaru. Teraz, gdy wierzy, że zamordowałem Milenę, nie spocznie, dopóki nie wskażę mu miejsca ukrycia zwłok. Chryste, co ja zrobiłem? Czy będę w stanie to jakoś odkręcić?

Buzują we mnie skrajne emocje. Strach przed tym, co nadejdzie, miesza się ze zgodą na to, co nastąpi. Z kolei satysfakcja z odegrania się na Skórskim ściiera się z wyrzutami sumienia. Cokolwiek przyniosą najbliższe dni, miesiące i lata, wiem jedno: muszę zrobić wszystko, by to przetrwać. Inaczej lata mojej walki o harmonię na świecie pójdą na marne.

ROZDZIAŁ 2

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

ROK 1999

Po wielu godzinach wegetacji w kompletnej ciemności wreszcie oślepia mnie blask.

– Na dziś wystarczy – mówi z satysfakcją Skórski, wyciągając mnie z ciasnego, dźwiękoszczelnego pudła w kształcie sześcianu. Nie wiem, jaki sadysta wpadł na pomysł zamykania w nim ludzi, ale podobno ta forma tortur doprowadziła już do obłądu niejednego więźnia. – No chyba że chcesz tam sobie jeszcze posiedzieć?

– Pierdol się – cedzę przez zęby, krzywiąc się i zaciskając mocno powieki, gdy ten jebaniec świeci mi latarką prosto w twarz. Odwiedza mnie w izolatce codziennie od dwóch tygodni, a mimo to moje oczy nie oswoiły się z tym światłem, nie udaje mi się też zapanować nad silnymi zawrotami głowy i mdłościami. Zwykle ustają dopiero po dwóch, jak nie trzech, kwadransach.

– Coś powiedział? – Skóra gasi latarkę, a następnie prostuje się i kopie mnie w brzuch.

– Co tak słabo? Czyżbyś się zestarzał? – prowokuję go, sycząc z bólu. Wtedy on kopie mnie z taką siłą, że na moment tracę świadomość.

– Sam chciałeś – mówi drżącym z nerwów głosem Skóra. A potem spluwa na mnie i zaciąga z powrotem do izolatki.

Nie mam pojęcia, ile czasu spędzam w kompletnym mroku, słysząc jedynie własny oddech i bicie serca. W pewnym momencie zasypiam z wycieńczenia i śnię o Zosi. Mój umysł przywołuje nagle nasze najpiękniejsze wspomnienia. Zupełnie jakby próbował ułatwić mi pobyt w izolatce. Znów uczestniczę w wielogodzinnych spacerach po okolicznych łąkach i patrzę, jak

zrelaksowana Zosia wystawia uśmiechniętą twarz na słońce. Tak bardzo nie chcę się budzić z tego snu. Niestety odgłos otwieranych drzwi sprawia, że wpadam w tunel, który wysysa mnie z polany i przenosi z powrotem do ciemnego pudła.

– Wystarczy, Skóra – odzywa się męski głos. Dopiero po chwili orientuję się, że to inny z klawiszy. Pozostali mówią o nim: „Marek”. – Ja pierdolę, chcesz z niego zrobić warzywo?

– Zasłużył sobie. Niech wie, że brak współpracy ma swoją cenę... – Po tych słowach obaj opuszczają pomieszczenie, zostawiając mnie wycieńczonego z głodu i pragnienia na podłodze.

Przez następne minuty leżę obok czarnego pudła i zastanawiam się, jak to możliwe, że po tylu godzinach przebywania w nim nie postradałem jeszcze zmysłów. Skóra dotrzymał danego mi przed rokiem słowa i przygotował dla mnie tortury rodem z horroru. W najstraszliwszych koszmarach nie byłem jednak przygotowany na izolatkę. Czy ten szalenięc liczył, że w niej zada mi decydujący cios, po którym odpuszczę walkę i wyśpiewam mu wszystko na temat jego córki? Nie mam zielonego pojęcia, gdzie jest Milena. W ciągu roku powiedziałem mu to chyba z tysiąc razy. Jakiś czas temu zasugerowałem nawet, że być może znudziła się chujowym ojcem i postanowiła zacząć gdzieś wszystko od nowa. Skóra jednak nie wierzy w ani jedno moje słowo i z uporem maniaka powraca do naszej pierwszej konfrontacji, gdy pod wpływem impulsu nakłamałem mu na temat Mileny.

– Przyznałeś się, psie! Pamiętam, co powiedziałeś! – wykrzyczał mi w twarz jakieś pół roku temu, a gdy wszystkiego się wyparłem, założył mi na głowę worek, mocno go ścisnął i wylał mi na twarz wiadro wody. Powtarzał to jeszcze kilka razy. Opuścił dopiero gdy zrozumiał, że prędzej mnie utopi, niż czegokolwiek się ode mnie dowie. – Wrócę tu jutro na powtórkę. Obyś tym razem był bardziej rozmowny.

Nazajutrz przywiązał mnie grubym sznurem do łóżka polowego i zostawił na mnie więcej kwadrans. A potem wrócił ze szczypcami i niedużym wiadrem z rozżarzonymi kawałkami węgla.

– To jak? Przypomniało ci się coś?

Z początku leżałem nieruchomo, zatapiając wzrok w jednym punkcie na suficie. Milczałem, bo cokolwiek bym powiedział, Skórze by to nie wystarczyło.

Wtedy on chwycił szczypcami żarzący się kawałek i przyłożył mi go do uda.

– AAA! – zawyłem z bólu, a Skóra wydał z siebie złowieszczy rechot i przyłożył mi węgiel do brzucha na wysokości pępka.

– GADAJ, PSIE! GADAAAJ!

Ból był tak straszliwy, że dostałem silnych drgawek i poczułem się, jakby poraził mnie prąd, a walące jak młot serce omal nie roztrzaskało mi klatki piersiowej. Wtedy stało się dla mnie jasne, że jeśli zaraz nie rzucę mu jakiegoś ochłapu, to ogarnięty szałem Skóra posunie się jeszcze dalej i być może wysypie na mnie zawartość wiadra.

– POWIEM! WSZYSTKO POWIEM! WSZYSTKO POWIEM!

Moje krzyki sprawiły, że Skóra zabrał szczypce i przez pewien czas przyglądał mi się nieufnie, marszcząc przy tym czoło i nerwowo drapiąc się po karku.

– Gadaj – rzucił wreszcie, a ja zacząłem snuć wymyśloną na poczekaniu opowieść o dziewczynie, która popełniła największy błąd swojego życia, wsiadając do prowadzonego przeze mnie białego dostawczaka. Wyczerpany torturami naiwnie liczyłem, że Skóra odpuści, gdy zrelacjonuję mu z najmniejszymi szczegółami ostatnie dni życia jego córki i skłamię, że wrzuciłem jej ciało do Wisły. On jednak bez wahania oskarżył mnie o kłamstwo: – Ty nie pozbywasz się ciał. Wszystkie ofiary zakopałeś w odludnych miejscach. Nawet ich nie rozebrałeś.

– Przysięgam, że wrzuciłem ją do rzeki – upierałem się. Wtedy Skóra spojrzał błagalnie w sufit i pokręcił nerwowo głową.

– Dałem ci tyle szans na powiedzenie prawdy, a ty wciąż brniesz w te kłamstwa... Gdzie ją zakopałeś? Podaj chociaż nazwę miejscowości lub lasu.

– Powiedziałem wszystko! Mileny już nie ma! Jej szczątki pewnie już dawno pływają w Bałtyku! – wykrzyczałem, a potem zamknąłem oczy, modląc się w myślach, by ten skurwiel nad sobą zapanował. Na szczęście moje modlitwy zostały wysłuchane i Skóra w pośpiechu opuścił pomieszczenie. Po paru minutach do środka wszedł Jordan, który odprowadził mnie do celi.

Przez kolejny tydzień Skóra trzymał się ode mnie z daleka. Wiedziałem jednak, że to tylko cisza przed burzą. Od tamtej pory regularnie, co dwa dni, zaciąga mnie do pustego pomieszczenia na dole i próbuje zmusić do mówienia. Chwilami odnoszę wrażenie, że pogodził się z tym, że nie zabiłem jego córki,

ale czując kompletną bezradność i rozpacz, wytworzył sobie w tym ogarniętym szaleńczo iluzję posiadania kontroli. Biedak okłamuje samego siebie, obarczając mnie winą i usprawiedliwiając swoją nieudolność w poszukiwaniu Mileny. Na dodatek traktuje mnie jak worek bokserski, wyładowując na mnie frustracje i zagłuszając sumienie. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić, by go powstrzymać. Nie pomogły ani rozmowy z innymi klawiszami, ani donos do dyrekcji. Wszyscy przymykają oczy na występki Skóry, dając mu tym samym zgodę na nasilanie agresywnych zachowań. Czy ten psychol kiedykolwiek odpuści? Jak długo jeszcze zamierza się nade mną pastwić? W chwilach największego zmęczenia snuję w głowie scenariusze swojej samobójczej śmierci. Wyobrażam sobie, że wieszam się na prześcieradle lub podcinam sobie żyły kawałkiem szkła, który zgarnąłem niedawno z podłogi na korytarzu. Z emocjonalnej ruiny wyciąga mnie za każdym razem obietnica, którą złożyłem sobie lata temu: muszę przeżyć, choćbym miał przejść przez piekło.

*

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

ROK 2000

– Jak się czujesz? – pyta fałszywie troskliwym tonem Jordan, trzymając przed sobą tacę ze śniadaniem dla mnie, pierwszym od trzech dni. Gdy nie doczeka się odpowiedzi, podchodzi bliżej i stawia ją na brzegu łóżka. Znajduje się na niej talerz z małą kostką masła, dwiema kromkami chleba, a także kilkoma plasterkami wędliny, ogórka i pomidora. – Jeśli chcesz, mogę pogadać z naczelnikiem, by wezwał lekarza. Ktoś powinien cię zbadać. Skóra wczoraj przegiął. Wszyscy jesteśmy tego zdania.

– Spierdalaj – syczę, strącając nogą tacę.

– Oszalałeś?! Musisz jeść!

– To trzeba było mnie nie głodzić przez ostatnie trzy dni! Wypierdalaj stąd! – odpowiadam mu podniesionym głosem. Z początku łudziłem się, że może

znajdę w Jordanie sojusznika, który ukróci psychozę Skóry, ale teraz już wiem, że niczym się od niego nie różni. Od dwóch lat przygląda się zadawanym mi torturom, a jego troska o mnie ogranicza się do sporadycznego strofowania mojego oprawcy. Za każdym razem reaguje jednak dopiero po jakimś czasie, gdy uzna, że Skóra wystarczająco sobie na mnie poużywał. Cholerny hipokryta.

– Pójdę po kolejne śniadanie – oferuje. – Dawno nie widziałem cię w takim stanie. Musisz mieć siły.

– A co? Twój kumpel szykuje dla mnie jeszcze bardziej chore akcje?

Jordan przygryza dolną wargę, sprawiając wrażenie, jakby debatował wewnętrznie nad tym, czy powinien mi wyjawiać plany Skóry.

– Posłuchaj: tu już dawno nie chodzi o jego córkę. W głębi duszy Skóra wie, że błędnie cię oskarżył o jej uprowadzenie.

– Tak myślałem, że zrobił sobie ze mnie worek treningowy. – Wzruszam ramionami i dodaję: – Powiedz temu psychopacie, że nie pozwolę mu wygrać. Zniosę wszystko, a gdy wreszcie nadejdzie dzień jego emerytury, zaśmieję mu się w ten parszywy ryj i złamię go kolejną bajeczką o jego pierdolonej córeczce.

– Na twoim miejscu nic bym już nie mówił. Po prostu zamknij się i jedz. – Jordan spogląda na drzwi, po czym ponownie zwraca się twarzą do mnie i szepcze: – Skóra ci nie odpuści. Ma przyzwolenie od naczelnika, a poza tym gnębiąc cię, buduje sobie szacunek pozostałych więźniów. Od paru miesięcy już się nie kryje z tym, co ci robi.

– To znaczy, że... wszyscy wiedzą? – Przętykam ślinę.

– Może nie wszyscy, ale wytworzyła się już spora kolejka chętnych do spuszczenia ci łomotu. Wierz mi, że wielu tu marzy o tym, by dać w pysk samemu Bydlakowi z Chełma. Oczywiście naczelnik nigdy się na to nie zgodzi, by nie destabilizować sytuacji. Zresztą myślę, że Skóra też nie zamierza się tobą z nikim dzielić.

– Czyli co? Mam siedzieć cicho i dalej pozwalać, by mnie katował?

– Albo się zabić – stwierdza bez zająknięcia Jordan.

– Że co, kurwa?

– Czego nie rozumiesz? Masz dwa wyjścia: wytrzymać albo ze sobą skończyć. Którą opcję wybierasz?

– Obie są kuszące – prychem.

– Sam jesteś sobie winien. Trzeba było nie mordować stu osób – rzuca Jordan, po czym rusza w kierunku drzwi. – I lepiej zjedz to śniadanie.

*

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Późnym wieczorem Skóra wchodzi do mojej celi, trzymając w dłoni policyjną pałkę. W zeszłym roku notorycznie mnie nią okładał. Po pewnym czasie wymienił ją na paralizator.

– Słyszałem, że w ramach buntu odmawiasz jedzenia. Co chcesz przez to osiągnąć?

Milczę, ale nie dlatego, że nie mam mu nic do powiedzenia. Ostatnie dni osłabiły mnie do tego stopnia, że nawet wypowiedzenie jednego słowa stanowi dla mnie ogromny wysiłek. Po łomocie, jaki Skóra spuścił mi w zeszłym tygodniu, było ze mną tak źle, że wezwano do mnie lekarza. Gdy zdesperowany błagałem go, by mnie stąd wyciągnął, poinstruował mnie jedynie, jak dawkować leki przeciwbólowe i przeciwzapalne. A potem wyszedł i więcej go nie widziałem. Po raz kolejny przekonałem się, że mogę liczyć wyłącznie na siebie. Nikt, absolutnie nikt nie nadstawi dla mnie karku. Właśnie dlatego przestałem jeść. Dotarło do mnie wreszcie, że moje życie nie ma już sensu. Trzymałem się go kurczowo, tłumacząc sobie, że moje cierpienia nie mogą pójść na marne. Poza tym wierzyłem, że jeśli wytrwam, to prędzej czy później będę miał szansę uświadomić ludziom, jak wielki popełnili błąd, ignorując mój przekaz. Dłużej nie dam już rady żyć w tych iluzjach. Nie mam siły. Najwyższy czas pogodzić się z porażką.

– Wstań – mówi do mnie Skóra.

– Zostaw mnie – odzywam się tak cicho, że klawisz każe mi powtórzyć. – Zostaw... Zostaw...

– Idziemy na kolację. – Mój oprawca wyciąga mnie siłą z łóżka i podtrzymuje, obejmując w pasie. Dotarcie do pokoju tortur zajmuje nam więcej czasu niż zwykle. W połowie drogi osuwam się bowiem na podłogę, przez co Skóra zmuszony jest wziąć mnie na ręce. – Zaraz wracam – oznajmia

po tym, jak sadza mnie na krześle. Gdy wychodzi, opuszczam głowę na stół i natychmiast zasypiam. Budzę się w chwili, gdy Skóra wraca i stawia przede mną miskę z cuchnącą, brązową breją. Nigdy nie widziałem równie obrzydliwego dania.

– Nie zjem tego – mówię, odsuwając się na krześle. Widząc to, Skóra zachodzi mnie od tyłu i przysuwa z powrotem do stołu.

– Masz zjeść i koniec dyskusji.

Wystarcza minuta, by straszliwy odór przypawił mnie o odruchy wymiotne.

– Co to, kurwa, jest?!

– Nie pytaj, tylko wpierdalaj – warczy stojący nade mną Skóra.

– Nie ma mowy!

– Wpierdalaj! – powtarza z jeszcze większą agresją w głosie klawisz.

Przez dwa lata pozwalałem, by ten chory psychicznie dziad bił mnie po całym ciele, kopał, raził paralizatorem i podtapiał. Wiedziałem, jaki kawał z niego skurwysyna, ale w najśmielszych snach nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będzie chciał mnie zmusić do jedzenia gówna!

– Ty chory człowieku! – wykrzykuję w twarz spoglądającemu na mnie z góry Skórze. Wtedy on zaciska szczękę, szarpie mnie za włosy i pociąga za nie tak, że ląduję twarzą w misce z odchodami.

– Smacznego! – rechocze, przytrzymując mnie drugą ręką za szyję i uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Walczę z nim resztkami sił, wstrzymując oddech i czując wdzierającą mi się do nosa i ust breję. On jednak nie daje za wygraną. – Co, nie smakuje ci? – Odciąga mi ubrudzoną odchodami głowę od stołu, po czym ponownie opuszcza ją z taką siłą, że roztrzaskuję czołem talerz. – ŻRYJ, KURWO!

Nie wiem, co dzieje się potem, bo tracę przytomność. Odzyskuję ją dopiero w swoim łóżku i od razu gwałtownie na siebie wymiotuję, bo po dotknięciu palcem czoła wyczuwam na nim zaschnięte gówno. Następnie biegnę do kącika sanitarnego i roztrzęsiony zmywam z siebie cały ten syf. Zasypiam ze stresu i zmęczenia na podłodze. Budzę się rano, gdy Jordan przynosi mi śniadanie. Czuję, że chce mi coś powiedzieć, ale ostatecznie się powstrzymuje i wychodzi w milczeniu. Jestem głodny jak wilk, ale na widok jajecznicy ze szczypiorkiem dostaję tak gwałtownych mdłości, że nie dobiegam do sedesu. Przede mną kolejny dzień głodówki. Tym razem mimowolnej. Chce mi się

spać. Jestem słabszy niż kiedykolwiek... Po tamtym wojowniku nie ma już śladu. Skóra wygrał, odbierając mi człowieczeństwo i chęć do życia. Zawsze marzyłem o tym, by umrzeć we śnie. Szybko, spokojnie i bezboleśnie. Mam nadzieję, że dziś dostąpię tego zaszczytu. Pragnę śmierci.

*

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

ROK 2001

Od godziny spaceruję po deptaku, na zmianę obserwując z dystansu pozostałych więźniów i podziwiając rozchmurzone niebo. Jeszcze do niedawna mogłem o tym jedynie pomarzyć. Wszystko zmieniło nagłe zniknięcie Skóry. Od trzech tygodni przebywa na urlopie i nie wiadomo, kiedy wróci. Przedwczoraj, w trakcie obiadu, jeden z zapoznanych więźniów, Ryszard, sprzedał mi plotkę, że podobno wykryto u niego raka:

– Nie wiem, jaki typ, ale mówią, że już po nim. Nie spodziewałbym się jego powrotu.

Z początku nie wierzyłem, że wszechświat wreszcie by się nade mną zlitował. Im więcej jednak o tym myślałem, tym bardziej prawdopodobna wydawała mi się wersja o chorobie. Skóra nie poszedłby na urlop z własnej woli. Kiedyś zażartował nawet przy mnie, że gdyby mógł, zamieszkałby w więzieniu i nękał mnie przez całą dobę. Podejrzewam, że po zaginięciu córki praca stała się dla niego sensem życia. Wcale mu się nie dziwię. Nie od dziś wiadomo, że najlepszym lekiem na traumę jest ucieczka w zajęcie, które pozwoli odsunąć myśli od bolesnych spraw.

– Nawet jeśli mam go już z głowy, to wcale się nie dziwię, jeśli wkrótce jakiś inny skurwysyn obierze mnie sobie za cel.

– Oj, wcale nie byłbym tego taki pewien – odparł siedzący obok Ryszard, po czym wyjaśnił, że jego zdaniem Skóra wyrządził mi swoim bestialstwem wielką przysługę: – Na początku każdy pragnął tylko twojej krwi. Później, gdy wyszło na jaw, co Skóra z tobą wyprawia, przyjmowano zakłady, kiedy

wreszcie cię wykończy. Przez pewien czas baliśmy się z nim zadzierać. Nikt nie chciał podzielić twojego losu. Wszystko zmieniły akcje z miską gówna i podwieszaniem. Nagle wszyscy nabrali do ciebie szacunku i wręcz zaczęli ci kibicować. Co prawda nikt nie odważył się podskoczyć Skórze, ale nie budził już w nikim respektu. Za to ty tak.

– Jakoś nie chce mi się w to wierzyć. Bez przerwy czuję na sobie nienawistne spojrzenia tych dzikusów. – Zerknąłem w kierunku siedzącej po skosie grupy mężczyzn w podobnym wieku do mojego. Wszyscy byli jednak ode mnie dużo mocniej zbudowani i w razie bezpośredniej konfrontacji nie mieliby żadnego problemu z przerobieniem mnie na miazgę.

– Ten łysy z odstającymi uszami to Orzeł. On akurat nikogo nie szanuje. Aczkolwiek gdyby chciał, już dawno by się do ciebie przypieprzył. Najwyraźniej popiera to, jak stawiasz się Skórze – wyjaśnił Ryszard, a następnie poklepał mnie po ramieniu i dodał z niekrytym podziwem: – Dokonałeś wielkiej rzeczy, stary. Jeśli wszystko, co mówią na twój temat, jest prawdą, to przetrwałeś mordęgę, z której mało kto uszedłby z życiem. Myślę, że po czymś takim już nikt ci nie podskoczy.

Słowa Ryszarda pobrzmiwają mi z tyłu głowy, gdy spaceruję samotnie po deptaku. Czy to możliwe, że wygrałem? Nie mieści mi się w głowie, że jeszcze rok temu modliłem się o śmierć, a teraz to Skóra wpatruje się w jej widmo na horyzoncie. Udało się, przetrwałem najstraszliwszą nawałnicę w moim życiu. Pokazałem temu parszywcowi, że nikomu nie uda się mnie złamać. A jakby tego było mało, zaskarbiłem sobie szacunek innych skazańców. Dlaczego zatem nie triumfuję? Powinienem płakać ze szczęścia, a tymczasem na myśl o Skórze nie czuję absolutnie nic. Jest mi już wszystko jedno, co przyniesie przyszłość. Ten człowiek pozbawił mnie resztek godności i pozostawił mi w psychice trwałe ślady. Choćby zdechł nawet jutro, jego cień zawsze będzie za mną podążał. Wątpię, by komukolwiek udało się powrócić do równowagi po takich potwornościach. Muszę po prostu jakoś żyć dalej... Może z czasem wszystko się ułoży.

Wieczorem, po kolacji, leżę w łóżku i staram się wyciszyć. Gdy jestem już bliski zaśnięcia, słyszę dźwięk przekreścanego w drzwiach klucza.

– Mayer, musisz ze mną pójść – odzywa się Jordan.

– O co chodzi? – Zmieniam pozycję na siedzącą i przyglądam się jego zgarbionej, przyciemnionej sylwetce.

– Nie pytaj, tylko chodź – mówi pozbawionym emocji głosem klawisz.

Po wejściu na schody głowę wypełniają mi ponure myśli. Krew gwałtownie uderza mi do głowy, a plecy oblewa zimny pot.

– Proszę... Nie... Dość... Nie dam rady – jęczę niczym zbuntowany pięciolatek, kurczowo trzymając się poręczy. Dobrze wiem, dokąd zmierzamy.

– Musisz ze mną pójść – stwierdza Jordan.

– Nie mogę... Dlaczego mu na to pozwalasz?

Dopiero teraz dostrzegam w jego oczach współczucie.

– Tytus, przecież wiesz, że nie masz wyjścia. – Po raz pierwszy zwraca się do mnie po imieniu. – To już ostatni raz. Skóra nie byłby sobą, gdyby odszedł bez pożegnania. Wytrzymaj, a zaręczam, że dopilnuję, byś już nigdy nie musiał przechodzić przez coś podobnego.

Serce bije mi jak oszalałe, a instynkt przetrwania nakazuje zawrócić i zabarykadować się od środka w celi. Pierdolony Skóra chce mieć ostatnie słowo. Nie pozwolę mu. Już więcej mnie nie tknie. Nie, kurwa!

– Nigdzie nie idę – wyduszam z siebie, a wtedy Jordan doskakuje do mnie i chwyta mocno za ramię.

– Wytrzymałeś trzy lata, chłopie, to wytrzymasz jeden, ostatni wieczór.

Nie pamiętam drogi do pokoju tortur. Odzyskuję świadomość dopiero po wejściu do środka.

– Kogo my tu mamy... Stęskniłeś się? – Z drugiego końca pomieszczenia dobiega mnie znajomy głos. – A co ty taki wstydlivy? Spójrz na mnie... No spójrz, kurwa!

Drżę z przerażenia na samą myśl o tym, co zobaczę, gdy uniosę głowę.

– Błagam – jęczę cicho do stojącego obok mnie Jordana. Ten jednak nie reaguje. Przelykam więc ślinę, a następnie zaciskam zęby i spoglądam w jego stronę. – NIE! – Rzucam się do ucieczki, jednak Jordan błyskawicznie zachodzi mi drogę. – NIE! ZOSTAWCIE MNIE!

– Chodź tu... Czekamy na ciebie – mówi Skóra, któremu towarzyszy sześciu wielkich, brodatych goryli w cienkich podkoszulkach. Wśród nich są Orzeł i dwóch innych więźniów, których kojarzę ze stołówki.

Szarpię się rozpaczliwie z silniejszym ode mnie Jordanem, któremu udaje się mnie zaciągnąć do stołu.

– Dzięki – odzywa się do niego Skóra. – Chłopaki, do roboty.

– KURWAAA! – wrzeszczę, gdy jeden z goryli przygniata mi twarz do stołu, a drugi ściąga spodnie. – NIE! KURWA, NIE!

– Nie udawaj, że tego nie chcesz – zwraca się do mnie rozbawiony Skóra. – Zasługujesz na odrobinę przyjemności. Potraktuj to jako moje podziękowanie za ostatnie trzy lata. Byliśmy tacy szczęśliwi, czyż nie? – Parska śmiechem. – Jaka szkoda, że to już koniec...

Za plecami wybrzmiewa mi rechot goryli, po którym rozlega się odgłos rozpinanych rozporków i opuszczanych spodni. Nagle któryś z więźniów klepie mnie w pośladek.

– O tak, kurwa... Męska cipka... Zerżnę cię jak ostatnią szmatę...

– NIE! – krzyczę, siłując się z przytrzymującym mnie gorylem. Wtedy dwóch pozostałych chwyta mnie za łydki, unieruchamiając nogi.

– Jest wasz. Możecie z nim zrobić, co chcecie – odzywa się Skóra. Zanim zostawia mnie zdanego na łaskę tych zwyrodnialców, siada przy stole i patrzy mi prosto w oczy. – Będę cię odwiedzał w koszmarach. Już nigdy cię nie opuszczę. Cieszysz się? – Szczerzy do mnie żółte, krzywe zęby.

– Spierdalaj – syczę, przyprawiając go o gromki śmiech.

– Dajcie znać, gdy skończycie. Nie spieszcie się. Tytus Mayer zasługuje na wyjątkowe traktowanie.

ROZDZIAŁ 3

OBECNIE

– Ja... Nie wiem, co powiedzieć. – Julia Karpień wyłącza dyktafon w telefonie i kręci głową z niedowierzaniem. – To wszystko jest...

– Chore? Nieludzkie? Obrzydliwe? – Podwijam szpitalną koszulę i pokazuję jej bliznę na brzuchu. – Myślę, że znalazłoby się jeszcze kilka adekwatnych do tej sytuacji epitetów.

– Chciałam raczej powiedzieć niewiarygodne. Dlaczego jeden człowiek miałby chcieć zgotować komuś takie piekło?

– Trzeba było spytać o to Hitlera, Stalina i wielu innych zbrodniarzy. Pod względem charakteru Skóra niczym się od nich nie różnił. Po prostu nie dysponował wystarczającą władzą.

Po tych słowach dziennikarka unosi wysoko brwi.

– Porównuje pan strażnika więziennego do największych zbrodniarzy w historii?

– Tak, i choć widzę po pani minie, że uważa mnie pani teraz za szaleńca, to odważę się zaryzykować stwierdzenie, że pod pewnymi względami był od nich nawet gorszy. Jedno wiem na pewno: Maciej Skórski był największym zbrodniarzem w moim życiu. I cieszę się, że zaczęliśmy książkę od nakreślenia sylwetki tego skurwysyna.

– No właśnie, à propos wstępu... Po tym, co usłyszałam, mam wątpliwości, czy umieszczanie więziennego epizodu już na starcie jest dobrym pomysłem – mówi niepewnie Julia.

– Jak to? Ale dlaczego?

– Obawiam się, że niektórzy mogą odebrać ten zabieg jako próbę rozmiękczenia czytelnika. Rozumie pan, co chcę powiedzieć?

– Eee... Nie do końca. – Mrużę oczy, czekając na jej wyjaśnienie.

– Chodzi mi o to, że wolałabym uniknąć oskarżeń o to, że książka służy wybieleniu pana wizerunku. Jeszcze bardziej bym się wtedy pograżała.

– Przecież wspomnimy też o popełnionych przeze mnie zbrodniach – zauważam, ale kobieta nie wydaje się przekonana. W pewnym momencie wstaje z krzesła i podchodzi do okna, opierając się tyłem o wysoki parapet.

– Ujmę to tak: są w tym kraju ludzie, którzy wierzą, że zabił pan nawet sto osób. Sama nie wiem, jaka jest prawdziwa liczba, i nie ukrywam, że liczę, iż wkrótce mi ją pan wyjawisz. Nikogo nie interesuje to, że po trafieniu za kratki, na co zresztą pan zasługiwał, padł pan ofiarą sadystycznego strażnika.

– To bardzo istotny epizod z mojego życia. Nie może go zabraknąć w mojej biografii – naciskam.

– I nie zabraknie. Wspomnimy o nim pod koniec, gdy już rozliczy się pan z przeszłością. Ludzie chcą wiedzieć, dlaczego pozbawił pan życia tych wszystkich niewinnych ludzi. Pragną wejść w umysł być może najgroźniejszego seryjnego mordercy w historii Polski.

– Pragną mnie jeszcze bardziej znienawidzić – dopowiadam, a Julia rozkłada ręce.

– Dziwi im się pan?

– W takim razie co pani proponuje? – pytam z dużo mniejszym entuzjazmem w głosie.

– Powinniśmy snuć opowieść chronologicznie. Najpierw skupimy się na traumatycznym dzieciństwie i wydarzeniach, które rzuciły cień na resztę pańskiego życia. W trakcie procesu sądowego kilka razy wspomniał pan o trudnej relacji z ojcem i...

– Chwila – wchodzę jej w słowo. – Najpierw twierdzi pani, że nie chce zostać posądzona o wybielenie mojego wizerunku, a teraz proponuje rozpoczęcie książki od mojego dzieciństwa? Wtedy też padłem ofiarą bezdusznych ludzi, wcale nie mniej okrutnych niż Skórski – zauważam.

– Owszem, ale to jednak dwie różne sytuacje. Nie chcę umniejszać tego, co pana spotkało za kratami, ale w pewnym sensie było to efektem decyzji podejmowanych przez pana w dorosłym życiu.

– Już to słyszałem: gdybym nie zabijał, nie trafiłbym do pierdła – burczę.

– Taka jest prawda. Dla odmiany w dzieciństwie nie miał pan większego wpływu na swoje życie. Zatem nie zostanę oskarżona o manipulację, jeśli

opowieść krzywdzonego przez najbliższe osoby chłopca wzbudzi w czytelnikach współczucie. Natomiast nie zamierzam nigdzie sugerować, że przeżycia z dzieciństwa uczyniły z pana mordercę. Chyba że pan tak uważa, to zawsze mogę zamieścić pański cytat. Ma pan pełne prawo do wyrażania swojej opinii.

– To wszystko jest dużo bardziej skomplikowane – wzdycham, powoli robiąc się senny. Nie chcę jednak, by pisarka już szła. Poza tym, jeśli teraz zasnę, to nie będę mógł spać w nocy. Muszę wytrzymać. – To o czym chciałaby pani teraz porozmawiać?

– Zanim przejdziemy do dzieciństwa, może streściłby pan swoje późniejsze lata w więzieniu? – Julia ponownie włącza dyktafon w telefonie. – Czytelnicy na pewno będą zciekawieni, jak odejście oprawcy wpłynęło na pana sytuację.

– Skóra zmarł pół roku po naszym ostatnim – chrząkam – spotkaniu. Po wyjściu na wolność próbowałem nawet ustalić, na którym cmentarzu go pochowano. Przez lata wyobrażałem sobie, że stoję nad jego grobem, rozpinam rozporek i zalewam go ciepłym moczem. Słowa, które wypowiedział mi prosto w twarz, zanim wyszedł z pokoju tortur, przez wiele miesięcy śniły mi się noc w noc. – Wzdycham głośno. – Skóra dotrzymał słowa i nękał mnie nawet z za grobu.

– A jak wyglądała pańska relacja z innymi więźniami? – dopytuje Julia.

– Dużo lepiej. Ryszard miał rację i wielu rzeczywiście podziwiało mnie za niezłomność. Najważniejsze jednak okazało się dla mnie wsparcie Jordana...

– Drugiego strażnika – precyzuje dziennikarka.

– Tak. Przede wszystkim interweniował w sprawie zbiorowego gwałtu, którego za zgodą Skóry dopuścili się na mnie współwięźniowie. Wszyscy dostali porządny łomot, po którym trafili do izolatek. Bałem się, że po takiej karze spróbują się na mnie zemścić, ale na szczęście już żaden nigdy nie wyrządził mi krzywdy.

– Jak udawało się panu z nimi koegzystować za więziennymi murami?

– Z początku nie było łatwo, bo ich widok notorycznie przypominał mi o tamtej nocy. – Przelykam ślinę, a ręce pokrywają mi się gęsią skórką. – Najgorsze były szydercze uśmieшки Orła. Robił to jeszcze przez pewien czas po wyjściu z izolatki. Parę razy oblizał też demonstracyjnie językiem górną wargę, jakby dając mi do zrozumienia, że chętnie znów by się do mnie dobrał.

Nie chciałem mieć w nim wroga. Pragnąłem świętego spokoju, dlatego gdy tylko nadarzyła się okazja, wyświadczyłem mu parę przysług. Wie pani, raz na przykład kryłem go przed strażnikami, gdy pobił jednego z więźniów.

– Sprytnie – chwali mnie Julia.

– Najważniejsze, że po jakimś czasie udało mi się wypracować z nim i jego kumplami neutralną relację.

– Wróćmy jeszcze do Jordana...

– Przyjaźń to może za duże słowo, ale w kolejnych latach zrekompensował mi swoją bierność za czasów Skóry. Przyczynił się między innymi do tego, że przydzielono mi większą i lepiej umeblowaną celę. Nie sądziłem, że możliwa jest tak serdeczna relacja między strażnikiem i więźniem. Gdy przed dziesięcioma laty odszedł na emeryturę, długo nie mogłem się przyzwyczaić do nowej rzeczywistości.

– Zachowaliście kontakt?

– Tak. Regularnie do siebie pisaliśmy, a raz Ernest, bo tak miał na imię, przysłał mi nawet zdjęcie swojej wnuczki. Gdy pojawiła się szansa na moje przedterminowe zwolnienie, obiecaliśmy sobie, że przyjadę w jego rodzinne strony i spędzę trochę czasu z nim i jego bliskimi. Niestety nie wyrazili na to zgody. W sumie nie dziwię się im. Kto by chciał się zadawać z Bydlakiem z Chełma? – Wzruszam ramionami. – Na szczęście Jordan nie planuje zrywać ze mną kontaktu. Niedawno rozmawialiśmy przez telefon. Możliwe, że wkrótce mnie odwiedzi.

– Myślę, że tym pozytywnym akcentem powinniśmy zakończyć książkę – proponuje Julia, po czym spogląda na zegarek. – Dochodzi piąta. Chyba już dziś nie zdążymy porozmawiać o dzieciństwie. Pana lekarka upierała się, bym nie siedziała tu dłużej niż dwie godziny.

– Proszę jeszcze zostać. Przekonam doktor Przymorską, że dodatkowa godzina mi nie zaszkodzi. Chciałbym przynajmniej zacząć kolejną opowieść...

– W porządku. I tak nigdzie mi się nie spieszy. – Pisarka bierze do ręki zeszyt i przegląda w nim jedną z początkowych stron. – Zanotowałam sobie kilka faktów, które chciałabym potwierdzić...

– Proszę bardzo.

– W roku 1961, niedługo po tym jak pański ojciec, Sylwester, stracił pracę w Centralnym Ośrodku Badań i Rozwoju Techniki Drogowej, opuścili

państwo Warszawę i zamieszkali w Chełmie.

– Dokładnie pół roku po zwolnieniu – precyzuję. – Miałem wtedy dziewięć lat.

– Chełm to rodzinne strony pańskiego ojca, prawda?

– Tak. Jego dziadek był Niemcem i mieszkał z rodziną w Berlinie. Z kolei jego syn, czyli mój dziadek, Leon, przyjechał do Polski i zakochał się w mojej babci. Ponoć pobrali się kilka miesięcy po pierwszej randce, i to mimo trudności z komunikacją. Dziadek prawie wcale nie znał bowiem polskiego, a babcia strasznie kaleczyła niemiecki.

– Jak widać, miłość potrafi czasem obejść najróżniejsze przeszkody...

– W ich przypadku na pewno. W każdym razie mimo początkowej niechęci teściów dziadek szybko zaskarbił sobie ich sympatię. Na pewno na jego korzyść zadziałało to, że poświęcił się dla babci i zamieszkał w jej rodzinnym Chełmie. Nauczył się też z czasem mówić płynnie po polsku.

– Udało mi się ustalić, że Kazimiera Mayer zmarła niecały rok przed waszą wyprawą do Chełma...

– Owszem. Zginęła w tragicznym wypadku. Wracała rowerem do domu, gdy potrącił ją pijany kierowca. Dziadek kompletnie się załamał i z niczym sobie nie radził. Na domiar złego przez problemy z cukrzycą groziła mu amputacja stopy. Ojciec podjął decyzję, że ktoś musi się o niego zatroszczyć. Poza tym dowiedział się, że otwarta rok wcześniej cementownia poszukuje pracowników. Upiekł więc dwie pieczenie na jednym ogniu.

Rozmowę przerywa nam pojawienie się doktor Przymorskiej.

– I jak się pan czuje?

– Dobrze. Jeśli to nie problem, chciałbym porozmawiać trochę dłużej z panią Julią...

– Umawialiśmy się na dwie godziny – zauważa lekarka.

– Wiem, ale tak dobrze nam idzie, że aż żal przerywać. Bardzo proszę – mówię błagalnym tonem. – Chociaż godzina, pani doktor...

Przymorska namyśla się przez dziesięć sekund, po czym odpowiada:

– Godzina, ale ani sekundy dłużej. Musi się pan oszczędzać.

– Dziękuję – odpowiadam, po czym czekam, aż wyjdzie, i zwracam się do Julii: – *Postuszna*.

– Słucham?

- Chciałbym, żeby taki tytuł nosiła kolejna część książki – wyjaśniam.
- Dlaczego tak?
- Zrozumie pani po wysłuchaniu całej historii. To jak, mogę już zacząć?

CZEŚĆ 3
POSŁUSZNA

ROZDZIAŁ 1

ROK 1963

– Szlag! – warczę pod nosem, gdy po przejechaniu paru metrów orientuję się, że mam kaptura w obu oponach roweru. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. Jak zawsze wybiegłem ze szkoły i zgarnąłem rower, marząc o tym, by znaleźć się już w domu. Wiem, że to sprawka tego gnoja Mikołaja. Dokucza mi, odkąd na początku roku nasi ojcowie posprzeczali się o coś po pijaku. Najgorsze, że w ślad za nim poszła reszta naszej grupy. Nagle straciłem kolegów i stałem się bez powodu najbardziej znienawidzonym uczniem. Myślałem, że przez wakacje wszyscy zdążą o tym zapomnieć, ale nic z tego. Choć minęły dopiero trzy tygodnie roku szkolnego, Mikołaj zdążył już mi napsuć krwi. Mam dość tej szkoły. Tęsknię za Warszawą. Tam wszyscy byli dla mnie mili, a zwłaszcza nauczyciele. Tutaj każdy zachowuje się tak, jakby pracował za karę.

Najgorsza jest nauczycielka matematyki, Konstancja Gronowska. Wszyscy się jej cykają, bo nigdy się nie uśmiecha, a w trakcie lekcji krąży po klasie z długą, drewnianą linijką. Jeśli ma gorszy dzień, potrafi nią zdzielić po dłoniach lub ramionach uczniów, którzy jej podpadną. Ostatnio Bernard z mojej klasy nie wytrzymał i rozplakał się przy wszystkich po tym, jak Gronowska zwyzywała go od niedorozwojów, a potem kazała mu położyć na biurku obie dłonie i przyrznęła mu w nie trzy razy linijką. Na szczęście mi póki co się nie oberwało, ale boję się, że Mikołaj coś wymyśli i spróbuje nastawić Gronowską przeciwko mnie. Próbowałem porozmawiać o nim z mamą, ale ciągle jest zajęta. Budzi się z samego rana i biegnie nakarmić kury i krowy. Później przygotowuje śniadanie dla mnie, taty i dziadka, a gdy tata wychodzi do pracy, na zmianę zajmuje się dziadkiem i gospodarstwem. I tak dzień w dzień. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni widziałem ją wypoczywającą. Nawet w niedziele biega po podwórku, dźwigając ciężkie

wiadra z karmą, wodą czy nawozem. Na szczęście w tym roku nie będzie się musiała zajmować wykopkami. Tata obiecał, że zapłaci paru chłopom ze wsi. Gdyby nie to, że mama jest w zaawansowanej ciąży i w każdej chwili może zacząć rodzić, pewnie zagoniłby ją na pole. Sam w niczym jej nie pomaga, zasłaniając się robotą w cementowni.

Odkąd ojciec stracił pracę w Warszawie, między nim i mamą wszystko zaczęło się psuć. Dawniej dużo się śmiali, przytulali i rozmawiali na najróżniejsze tematy. Później tata jakby zgasł. Coraz częściej wychodził z domu wieczorem i wracał pijany nad ranem. Bez przerwy o coś się nas czepiał, a raz nawet próbował mi dać w twarz. Wiedziałem, że stresuje go brak pracy, ale nie rozumiałem, dlaczego wyżywał się akurat na mnie i mamie. Przecież to nie przez nas go zwolnili. Niestety mama, zamiast próbować załagodzić sytuację, tylko dolewała oliwy do ognia. Wyrzucała tacie, że wyleciał na własne życzenie. A gdy po pewnym czasie atmosfera w domu stała się nie do zniesienia, przekonywał nas, że przeprowadzka do Chełma to w danej sytuacji najlepsze wyjście:

– Mam już wstępnie dogadaną fuchę w cementowni, dzięki czemu zaoszczędzimy pieniądze ze sprzedaży mieszkania. Wszystko się ułoży, obiecuję. To będzie dla nas nowy początek.

Nie wiem, czy już wtedy mama spodziewała się, jaka czeka ją katorga. Myślę, że tak, bo tata wiele razy mówił, że facet ma pracować i przynosić pieniądze, a baba zajmować się całą resztą. O ile w Warszawie na jej głowie było tylko nasze skromne mieszkanie na Mokotowie, o tyle w Chełmie miała robotę od rana do wieczora. Od dwóch lat usługuje tacie i schorowanemu dziadkowi, który praktycznie nie wychodzi z domu. Całymi dniami leży w łóżku lub siedzi na kanapie, domagając się jedzenia. Któregoś razu zobaczyłem, jak mama samodzielnie pomogła mu wstać z kanapy, przełożyła sobie przez szyję jego rękę i zaprowadziła go z ugiętymi kolanami do łóżka. Od tamtej pory staram się jej pomagać. W przeciwieństwie do starego, który siedzi obok i ogląda telewizję z piwem w dłoni, kompletnie ignorując otoczenie. Z jakiegoś powodu mama nigdy nie zwraca mu uwagi. W Warszawie na pewno coś by mu powiedziała. Nie rozumiem, co się z nią stało. Wcześniej nie bała się taty, a teraz patrzy na niego ze strachem

w oczach. Kilka miesięcy temu widziałem, jak płacze przy kurniku. Gdy mnie zobaczyła, szybko otarła dłonią oczy i poprosiła, bym dokończył zbieranie jajek.

– Pójdę zobaczyć, co z twoim dziadkiem.

Bardzo się cieszę, że nasza rodzina niebawem się powiększy. Po porodzie mama będzie bowiem musiała poświęcić całą uwagę dziecku. Wiem, że opieka nad noworodkiem to też męcząca praca, ale przynajmniej nie będę musiał już patrzeć, jak nosi ciężkie wiadra, czy pozwala, by dziadek opierał na niej swoje tłuste cielsko. Oby tylko tata stanął na wysokości zadania i wziął na siebie choć część domowych obowiązków. W przeciwnym razie nasz dom szybko przeobrazi się w chlew.

Od godziny zdyszany prowadzę rower wzdłuż ulicy i układam w głowie scenariusz rozmowy z mamą. Muszę jej powiedzieć, że dłużej nie zniosę nękania przez kolegów i chcę zmienić szkołę. Jeśli będzie trzeba, mogę nawet dojeżdżać rowerem do najbliższego przystanku autobusowego i podróżować na drugi koniec Chełma. Wszystko, byle nie użerać się z Mikołajem. Przez niego ciągle boli mnie brzuch i prawie wcale nie sypiam. Wciąż rozmyślam o tym, gdzie tym razem schować się w przerwach między lekcjami. Dotychczas korzystałem z pomieszczenia gospodarczego w piwnicy, nieopodal szatni. Ktoś doniósł jednak o tym mojemu oprawcy, który w zeszłym tygodniu zablokował drzwi od zewnątrz, uniemożliwiając mi wydostanie się. W efekcie ominął mnie sprawdzian z historii, a złośliwa nauczycielka nie pozwala mi go napisać w innym terminie. Cała nadzieja w mamie. Nawet nie próbuję rozmawiać o tym z tatą, bojąc się, że zwyzywa mnie od mięczaków i stwierdzi, że przynoszę mu wstyd. To wszystko jego wina. Gdyby nie pił tyle po pracy, nie wdałby się w awanturę z ojcem chłopaka. I pomyśleć, że uchodził kiedyś w moich oczach za bohatera. Nazwałem nawet jego imieniem swojego ulubionego robota. Stary kojarzył mi się ze wszystkim, co dobre. Dziś, patrząc na niego, czuję jedynie złość. Po moim bohaterze nie pozostał nawet ślad.

Wreszcie dostrzegam w oddali drzewo rosnące przy bocznej drodze prowadzącej do naszego gospodarstwa. Jakiś czas później opieram rower o ścianę domu, wydaję z przedniego koszyka plecak i wykończony siadam na najwyższym schodku przy drzwiach. Pot dosłownie się ze mnie leje, a to wszystko przez tego durnia Mikołaja. Potrzebuję paru minut, by nabrać sił i uspokoić oddech. A potem podnoszę się i wchodzę do środka, licząc na to, że

nie zastanę mamy szorującej podłogę na kolanach lub stojącej na drabince i zmieniającej franki. O dziwo nigdzie nie mogę jej znaleźć. Drzemiący w fotelu dziadek sugeruje, że mogła pojechać rowerem do warzywniaka.

– Narzekała, że Sylwek zjadł wczoraj wszystkie udka na rosół. Ale to było parę godzin temu... Potem zasnąłem...

– Musi być tutaj. Widziałem nastawiony w kuchni rosół. Poza tym minęlibyśmy się po drodze.

– Nie wiem, dziecko. Przestań mnie męczyć... – Dziadek przykłada dłoń do czoła i wydaje z siebie głośne westchnięcie. Nie przypominam sobie, by przez ostatnie dwa lata powiedział mi coś miłego. Mama usprawiedliwia go, twierdząc, że cierpi z powodu cukrzycy i smutku po stracie babci. Moim zdaniem to tylko wymówka. Tacy ludzie już tak mają. Żyją bez celu, z niczego się nie ciesząc. Nie chcę być taki, nie zamierzam skisnąć na wsi. Gdy dorosnę, wyprowadzę się stąd i zamieszkam w jakimś ciepłym kraju. Kiedyś tata obiecał, że zabierze nas na wczasy do Hiszpanii. Oczywiście nic z tego nie wyszło. Podobno nawet zimą jest tam ciepło i zielono. Nie cierpię zimy, bo muszę wtedy chodzić do szkoły na piechotę. Najgorsze są odwilże, gdy droga zmienia się w błotnistą rzekę. Zeszłej zimy dzieci śmiały się ze mnie, gdy przyszedłem do szkoły przemoczony i ubrudzony błotem od stóp do głów. Wszystko przez wariata za kierownicą, który nie zwolnił, gdy mnie mijał.

Biegnę za dom i sprawdzam, czy mamy nie ma przy kurniku. Zauważam ją dopiero na polu. Ma na sobie białą chustę osłaniającą głowę przed słońcem i zwiewną sukienkę w tym samym kolorze. W dłoni zaś trzyma motykę.

– Mamo! – Maszeruję w jej stronę. W pewnym momencie zatrzymuję się na granicy łąki i pola. – Co ty robisz?

– Dobrze, że już jesteś. Idź sprawdź, co u dziadka.

– Nic mu nie jest. Siedzi w dużym pokoju – odpowiadam.

– A patrzyłeś może, czy rosół przypadkiem nie wykipiał?

– Nie wykipiał – rzucam i wchodzę na pole. – Dlaczego kopiesz ziemniaki? Powinnaś odpoczywać...

– Skończyły się, a przecież twój ojciec i dziadek muszą je mieć do schabowego.

– Idź, połóż się, a ja dokończę – oferuję, po czym przejmuję od niej motykę i pochylam się nad wiadrem. – Powinno wystarczyć na dwa dni. Wracajmy do

domu.

– Widać, jak słabo znasz swojego ojca – odpowiada mama, przykładając dłoń do odznaczającego się pod sukienką brzucha. – Strasznie jest dzisiaj ruchliwy... Chyba faktycznie powinnam odpocząć. – Pochyla się do przodu i sięga po wiadro.

– Ja poniosę.

– Nie trzeba. Poradzę sobie – upiera się mama. Nie zamierzam jednak odpuścić, dlatego wyrywam jej wiadro z ręki.

– Dlaczego zawsze musisz wszystko robić sama? – pytam z wyrzutem, siłując się z ciężkim wiadrem. Że niby mama chciała je sama dźwigać taki kawał drogi?

– Może dlatego, że nie chcę, by później twój ojciec wyzywał mnie od nierobów i pasożytów?

– Ale... przecież ty cały czas mu usługujesz i opiekujesz się dziadkiem, choć to nie twój tata – zauważam.

– Ale mój teść. Jeśli ja się nim nie zajmę, to nikt tego nie robi. Jestem jedyną kobietą w domu i muszę trzymać w ryzach ten bałagan.

– Tata ci to wmówił, bo nie chce mu się nic robić po pracy. – Mój komentarz sprawia, że mama piorunuje mnie wzrokiem.

– Tylko nie mów tego przy ojcu, a już broń Boże, gdy jest pijany. Ostatnio omal nie zwałił porcelany z regału, gdy go spytałam, czy kiedyś w końcu pomoże dziadkowi wstać z fotela.

Czuję, że to nie moment na poważną rozmowę, ale dłużej nie dam rady tego w sobie dusić.

– Chcę wrócić do Warszawy. Nienawidzę tego domu, szkoły i w ogóle całej tej okolicy. W Warszawie mieliśmy przystanek autobusowy od razu za rogiem, a tutaj nawet do szkoły muszę dojeżdżać rowerem.

– Mówisz tak, jakbyśmy mieszkali na końcu świata. – Mama przewraca oczami. – Naprawdę wolisz siedzieć w dusznym mieszkanku i przez cały dzień słuchać samochodów za oknem?

– Tam przynajmniej wszyscy byliśmy szczęśliwi – odpowiadam, nie chcąc jej już zamęczać opowieściami o agresywnych rówieśnikach. Wtedy ona kładzie mi dłoń na ramieniu i szepcze:

– Obiecuję ci, że wszystko się ułoży. Twoja siostra wniesie do naszej rodziny nową energię.

– Siostra? Skąd wiesz, że to dziewczynka?

– Nie wiem, ale tak czuję. – Mama delikatnie się uśmiecha. – Zanim się urodziłeś, twój tata powiedział, że o niczym nie marzy tak bardzo jak o synu i córce. Wierzę, że jeśli jego marzenie się spełni, zmieni swoje zachowanie.

– Chciałbym, żeby wrócił dawny tata. Ten nowy ciągle się mnie czepia, a poza tym traktuje cię jak służącą i wciąż wraca do domu pijany.

– Po prostu ostatnimi czasy zbyt często widuje się po pracy z kolegami, którzy lubią sobie pogadać przy flaszcze. Chłopy takie już są... Zresztą nie powinieneś się tym zamartwiać. Skup się na nauce, a problemy dorosłych zostaw mnie i tacie.

W pobliżu domu dochodzę do wniosku, że mama powinna jednak wiedzieć o tym, co przechodzę w szkole. Nie wspominam jej jednak o Mikołaju, bo akurat w chwili, gdy zamierzam to zrobić, mama przykłada nagle obie dłonie do brzucha i zaczyna głośno jęczeć.

– Mamo?

– Wszystko w porządku... Maleństwo mocniej kopnęło.

– Może powinnaś zadzwonić do doktor Olczykowskiej? – wspominam o znajomej lekarce, która od paru miesięcy odwiedza nas przynajmniej raz w tygodniu i dokładnie bada mamę.

– Nie ma takiej potrzeby. Renata wspominała, że na tym etapie ciąży to normalne. – Mama wspiera się ręką o moje ramię, gdy wchodzimy po schodkach. – Pójdę się położyć, a ty obierz ziemniaki i zagotuj wodę. Poradzisz sobie?

– Nie jestem jak tata – odpowiadam ze złością.

– A powinieneś być. Gdyby nie on, nie mielibyśmy nic. Docień to, co dla nas robi – mówi mama, po czym zostawia mnie samego w przedpokoju. Nawet z bolącym brzuchem nie przestaje wychwalać taty. Albo naprawdę nie dostrzega, jak źle ją traktuje, albo wmówiła sobie, że na to zasługuje. Bez względu na to, jaka jest prawda, chyba nie ma sensu zwierzać jej się z moich problemów. Jak niby ma mi pomóc, skoro nie potrafi zatroszczyć się o siebie?

ROZDZIAŁ 2

TRZY DNI PÓŹNIEJ

Budzę się w sobotę o ósmej rano po jakichś trzech godzinach snu. Strasznie boli mnie głowa i już wiem, że ten dzień będzie stracony. Żadne słowa nie opiszą tego, jak bardzo wyczekiwałem piątkowego wieczoru. Po całym tygodniu męczarni w szkole i robienia za mamę większości rzeczy w domu, marzyłem o tym, by położyć się wcześniej spać, a w sobotę leniuchować w łóżku do południa. I gdy wreszcie, po długiej kąpieli, czysty i pachnący opuściłem głowę na mięciutką poduszkę, usłyszałem dobiegające z za okna krzyki. To był tata i jego koledzy. Od razu wiedziałem, co to oznacza.

– Nie... Tylko nie to – jęknąłem, po czym wyskoczyłem z łóżka i podbiegłem do okna. Zanim wszyscy weszli do środka, doliczyłem się poza tatą pięciu osób. „Dlaczego akurat dziś?” – spytałem samego siebie w myślach, szykując się na bezsenną noc.

Ostrożnie wstaję z łóżka, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów. Każdy zryw nasila bowiem ból głowy. Następnie krocę powoli ku drzwiom, mając nadzieję, że tata i jego kumple zostawili coś w lodówce. Po wyjściu na korytarz uderza mnie smród alkoholu, a na podłodze przy ścianie znajdują dwie butelki po wódce i puszkę po piwie. Gdy zaglądam do dużego pokoju, w oczy rzuca mi się najpierw stół z opróżnionymi puszkami i paroma pustymi butelkami wódki. Następnie spoglądam na rozwalonego w fotelu tatę i leżącego obok na dywanie otyłego mężczyznę w podkoszulku i slipach. Na rozłożonej kanapie śpi trzech ich kolegów. Jeden z nich chrapie głośniejszym niż dziadek. Myślałem, że to niemożliwe. Ostatni z mężczyzn znajduje się w kuchni. Siedzi na krześle przy stole, opierając głowę o ścianę. Na jego gęstej brodzie i koszuli znajdują się ślady zaschniętych wymiocin. Dawno nie widziałem czegoś równie obrzydliwego. W pośpiechu zaglądam do lodówki

i wyjmuję z niej ostatni kawałek kiełbasy, którą dostarcza nam sąsiad. W chlebaku znajduję dwie wczorajsze kromki pieczywa. Będą musiały mi wystarczyć.

Po wyjściu z kuchni zatrzymuję się przy drzwiach do sypialni rodziców. Powinienem sprawdzić, czy z mamą wszystko dobrze, ale boję się, że niepotrzebnie ją obudzę. Pewnie tata zamęczał ją do rana i biedaczka padła z wycieńczenia. Postanawiam wrócić do swojego pokoju. I wtedy słyszę dobiegający z za drzwi jęk mamy. Gwałtownie skaczę do drzwi i popycham je do środka.

– Mamo! – wołam do siedzącej na podłodze w rozkroku i trzymającej się za brzuch mamy. Ma czerwoną, mokrą od potu twarz, a na dywanie obok niej widzę dużą ciemną plamę.

– Zaczęło się – mówi to z zadziwiającym spokojem w głosie.

– Idę po tatę.

– Zaczekaj! – powstrzymuje mnie. – Twój tata śpi i nie wolno go budzić.

– Co? Przecież ty rodzisz! – Z emocji cały drżę. – Tato! Tato!

– Synu, proszę! Tylko go rozzłościł. Poradzę sobie sama.

– Ale jak? – pytam, pomagając jej wstać.

– Wytrzymam jakoś – odpowiada po tym, jak zaprowadzam ją do łóżka. – Doktor uczyła mnie, jak prawidłowo oddychać. Może uda mi się wytrzymać jeszcze parę godzin.

Nie znam się na ciążyach, ale nie wydaje mi się, by wstrzymywanie porodu było dobrym pomysłem. Proponuję więc, że zawołam jednego z sąsiadów, pana Loskę.

– On na pewno zawiezie cię do szpitala.

– Nie, zostań! Później twój tata będzie się wściekał, że upokarzam go przed sąsiadami.

– To w takim razie zadzwonię po Olczykowską.

– Na pewno jest teraz w pracy i nie ma czasu.

– To co mam robić?! – pytam z rozłożonymi rękami. Wszystko we mnie krzyczy, że mama musi czym prędzej trafić pod opiekę lekarzy, ale ona upiera się, że zostanie w łóżku. – Dość tego! – Biegnę do dużego pokoju i rzucam się na tatę. – Wstawaj! Mama rodzi! Słyszysz?! Tato!

– Co jest... Cicho... Jezu, przestań... – Jest tak pijany, że nawet nie otwiera oczu.

– Mama rodzi! – powtarzam, ale tata nie reaguje. Próbuję zatem obudzić jego kolegów. Jeden przez parę sekund przygląda mi się pytająco, po czym ponownie zasypia. Biegnę do drzemiącego w swoim pokoju dziadka, ale nie mam wystarczająco siły, by pomóc mu podnieść się z łóżka.

– Powoli! – syczy, gdy ciągnę go mocniej za rękę. W końcu zrezygnowany wracam do sypialni rodziców i staję nad zaciskającą zęby mamą. Biedaczka powstrzymuje się od krzyku, byle tylko nie zbudzić taty. Gdyby to było możliwe, wziąłbym na siebie jej cierpienie. Niestety mogę się jedynie bezradnie przyglądać jej wykrzywionej twarzy.

– Auuu! – jęczy po raz kolejny, a ja decyduję się wbrew jej woli wezwać sąsiada. – Synu! – krzyczy mama, próbując mnie zatrzymać, ale ignoruję ją i wybiegam bez słowa z pokoju.

Ze wszystkich sił pedałuje w kierunku gospodarstwa Losków. Na szczęście od ostatniego incydentu z przebitą oponą Mikołaj nie dorwał się do mojego roweru. Dla bezpieczeństwa zostawiam go w krzakach, nieco dalej od szkoły. Póki co chłopak nie odkrył mojej kryjówki.

– PROSZĘ PANA! PROSZĘ PANA! – wrzeszczę, ile sił w płucach, gdy zauważam pana Władysława wysiadającego z ciągnika. – MAMA RODZI!

– Co takiego? – Starszy, tęgi mężczyzna z gładką twarzą i burzą białych włosów na głowie mruży oczy, jakby mnie nie rozpoznawał. Udaje mu się to chyba dopiero, gdy zeskakuję z roweru i szarpnię go mocno za rękę. – Jak to rodzi, chłopcze? A gdzie twój tata?

– Śpi! Szybko, musimy jechać! – Ciągnę go w stronę zaparkowanej nieco dalej syreny.

Pan Loska początkowo się wzbrania, ale gdy wyjawiam mu, że tata upił się do nieprzytomności, a mama krzyczy z bólu, każe mi czekać przy samochodzie.

– Pójdę po kluczyk.

Pięć długich godzin później stoję przy uchylonym oknie w swoim pokoju i przysłuchuję się rozmowie trzeźwiejącego taty z panem Władysławem, doktor Olczykowską i jednym z jego kolegów, który wcześniej był zbyt pijany, by opuścić nasz dom.

– Dzięki, że zostałeś i pomogłeś z... no wiesz – zwraca się tata do naszego sąsiada.

– Nie ma problemu. Jeszcze raz gratuluję córki. – Loska poklepuje tatę po ramieniu, a potem dodaje: – Tylko Sylwek... Nie, żebym się wtrącał, ale od teraz lepiej uważaj z piciem. Bogna będzie potrzebować twojego wsparcia.

– Taa... – Widzę po minie taty, że nie spodobała mu się uwaga sąsiada. – Pani też dziękuję.

– Przyjadę w środę. Gdyby coś było nie tak, dzwońcie.

– Na pewno zadzwonimy – odpowiada, masując się po czole. – Odprowadzę was.

Wykorzystuję nieobecność taty i biegnę do sypialni. Widok mamy siedzącej na łóżku i trzymającej na rękach owinięte kocykiem maleństwo sprawia, że do oczu napływają mi łzy.

– A nie mówiłam, że dziewczynka? – odzywa się cichym, chrypliwym głosem mama. – Podejdz, nie bój się...

– Wcale się nie boję – rzucam, po czym siadam na brzegu łóżka, próbując zapanować nad wzruszeniem. – Jak się czujesz?

– Jestem szczęśliwa, że Zosia jest już z nami. – Nawet w takiej chwili nie pozwala sobie na okazanie słabości. – Chcesz ją potrzymać?

– Nie wiem... A jak jej coś zrobię?

– Spokojnie, nic jej nie będzie. – Mama ostrożnie przekazuje mi leciutką jak piórko siostrę. – Jest taka piękna, prawda?

Przez kolejne minuty przyglądam się jej różowej buzi, smyram ją kciukiem po policzku i dotykam jej malutkiej, mięciutkiej dłoni. Wcześniej nie zastanawiałem się nad tym, jak zmieni się moje życie, gdy zostanę bratem. Nawet w trakcie ciąży mamy skupiałem się na mojej trudnej sytuacji w szkole i coraz bardziej niepokojącym zachowaniu taty. Dopiero teraz dociera do mnie, jak wielka spadła na mnie odpowiedzialność. Zosia będzie potrzebowała wsparcia starszego brata, który ochroni ją przed złem tego świata. I nie ma znaczenia, że sam jestem jeszcze dzieckiem. Będę musiał szybciej dorosnąć i upewnić się, że moja siostra nigdy nie będzie musiała przechodzić przez to samo co ja.

– Kiedyś nauczę ją się bić i grać w piłkę – mówię zadowolony.

– Z tym biciem bym nie przesadzała – chichocze mama. Wtedy do pomieszczenia wchodzi tata.

– Pojechali. – W jego głosie słyszę ulgę. – Idę się położyć.

– Zostań. Spędź trochę czasu z córką – proponuje nieśmiało mama, ale tata nawet na nią nie spogląda.

– Łeb mi pęka. Zajrzę jeszcze do ojca – odpowiada, a następnie prosi mamę, by w trakcie jego drzemki wysprzątała dom: – Nie da się patrzeć na ten burdel. Co za wstyd przed Władkiem i Olczykowską... Że też musiałaś sobie wybrać taki dzień na poród – mruczy z niezadowoleniem. Wtedy przenoszę wzrok na mamę i czekam na jej reakcję. Ona jednak pozostawia słowa taty bez komentarza. Nie mogę w to uwierzyć.

– Ja to zrobię – zwracam się do mamy, która w odpowiedzi unosi kąciki ust i ściska mi lekko dłoń.

– Jesteś kochany.

Przed wyjściem tata stwierdza, że ma ochotę na krupnik i schabowego.

– Tylko z mizerią. Najlepiej zrób teraz, żebyśmy nie musiał długo czekać.

A potem jak gdyby nigdy nic zamyka za sobą drzwi.

*

DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Nie cierpię jeździć rowerem w deszczu. Niestety od czterech dni pada od rana do wieczora, a mimo to mama nie pozwala mi zostać w domu.

– Chcesz sobie narobić zaległości w szkole? – spytała wczoraj, karmiąc piersią Zosię. Moja siostra rośnie jak na drożdżach i ma tyle energii, że prawie nie sypia. Nocami wierci się i płacze, co na początku do tego stopnia denerwowało tatę, że przez cały tydzień spał na kanapie w dużym pokoju. Ewidentnie nie cieszy go pojawienie się nowego członka rodziny. Ciągłe narzeka na Zosię i w ogóle nie pomaga mamie w opiece nad nią. Właściwie to od porodu nic się nie zmieniło, no może z tą różnicą, że po powrocie z pracy tata jeszcze więcej pije. Pewnie uznał, że dzięki temu zniesie krzyki mojej siostry w nocy. Szkoda tylko, że stał się jeszcze bardziej agresywny. W zesłą

niedzielę wydarł się skacowany na mamę, bo ta po bezsennej nocy ucięła sobie dłuższą drzemkę w południe, przez co nie wyrobiła się z obiadem. Tego samego dnia na moich oczach popchnął ją przed domem z taką siłą, że mama straciła równowagę i upadła w błoto. Poszło o to, że zapomniała nakarmić zwierzęta i zwróciła mu uwagę, że mógł sam to zrobić.

– Zapierdalam od rana do wieczora, żebyście mieli co zjeść, a ty nie potrafisz zrobić jednej rzeczy?! – krzyczał ojciec.

Cieszyłem się, że mama mu odpysknęła, mimo iż jej się za to oberwało. Przynajmniej pokazała wreszcie charakter. Dzięki temu wiem, że jeszcze nie wszystko stracone. Może kiedyś przyjdzie dzień, w którym powie mu „dość”. Tylko ona może wyprowadzić naszą rodzinę na prostą. Przestałem się już ludzić, że tata pójdzie po rozum do głowy. Wlewa w siebie takie ilości wódki, że spodziewam się jedynie pogorszenia sytuacji. Oby tylko nie zaczął znowu bić mamy. Ona już i tak wystarczająco się nacierpiała. I pomyśleć, że kiedyś byli tacy szczęśliwi... Im częściej wspominam dawne czasy w Warszawie, tym bardziej nienawidzę tego domu i dziadka, który pozwala, by jego syn traktował kobietę jak rzecz. Gdy będę dorosły, dopilnuję, by Zosia związała się z mężczyzną, który będzie ją szanował. Mężczyzną, dla którego będzie kimś więcej niż kucharką i sprzątaczką.

*

Wieczorem wszyscy razem jemy kolację, która o dziwo upływa w spokojnej atmosferze. Zosi wreszcie udaje się zasnąć, a tata od powrotu z pracy nie sięgnął po alkohol. Nawet dziadek mniej narzeka na ból nóg. Tylko mama sprawia wrażenie nieobecnej. Siedzi ze spuszczoną głową, zatapiając wzrok w nietknięty talerz bigosu. Najgorsze, że choć tata widzi jej przygnębienie, to nawet nie raczy o to spytać. Zamiast tego każe jej przynieść więcej chleba, co mama posłusznie wykonuje.

Po dwóch dokładkach tata rozwała się na kanapie i masuje po brzuchu.

– Trzeba narąbać drewna. Nie będziemy przecież spać w takim mrozie. Jeszcze ojciec dostanie zapalenia płuc i co wtedy? – zwraca się do mamy, która z moją pomocą sprząta naczynia ze stołu.

– Sylwek, jestem wykończona po całym dniu. Zosia nie dawała się uspokoić, a na dodatek umyłam wszystkie okna. – Zapomniała wspomnieć o wykąpaniu dziadka i staniu trzy godziny nad garami. – Naprawdę nie możesz zrobić chociaż tego?

Nerwowo spoglądam na tatę, ściskając w dłoni nóż do masła. Niech tylko ruszy na mamę z podniesioną ręką, a przysięgam, że wbiję mu go prosto w serce. Ku mojemu zaskoczeniu nawet nie spogląda w naszą stronę. Stwierdza jedynie, że mama nie ma pojęcia, czym jest zmęczenie.

– Popracuj chociaż jeden dzień w cementowni, a się przekonasz.

Wzdrygam się na samą myśl, że wciąż dochodząca do siebie po porodzie mama miałaby rąbać drewno.

– Mogę to zrobić za ciebie, mammo? – proponuję.

– Nie ma mowy. Twój ojciec by mi nie darował, gdybyś wyrządził sobie krzywdę – szepcze pochylona w moją stronę.

– Jakoś pozwala mi jeździć do szkoły rowerem po ruchliwej ulicy – zauważam. – A co, jeśli pewnego dnia potrąci mnie samochód?

Mama wzrusza ramionami i odpowiada:

– Wtedy to ja będę miała pretensje do twojego ojca. Wiesz, że nalegałam, by cię woził, albo zapłacił za to któremuś z sąsiadów.

Czuję, że nic nie wskóram, dlatego zanoszę naczynia do kuchni i udaję się do swojego pokoju. Mniej więcej godzinę później nerwowy krzyk ojca przerywa mi naukę do sprawdzianu z matematyki.

– KURWA MAĆ! TYTUS, CHODŹ TU SZYBKO! TYTUS, KURWA!

Wyskakuję jak z procy z łóżka i biegnę do dużego pokoju, w którym zastaję leżącą na podłodze i trzymającą się za brzuch mamę oraz stojącego nad nią tatę.

– Mammo!

– Stawaj na stole – rozkazuje mi tata. – Szybko!

Zdezorientowany bez namysłu wykonuję polecenie taty i patrzę, jak ten chwyta mamę za łydkę, obraca nogami w stronę stołu, a potem sam na niego wchodzi.

– Mammo, co się dzieje? – Drżę z zaniepokojenia, widząc malujący się na jej twarzy ból.

– Łap za nogę! – krzyczy tata. – Bogna, unieś ją!

– Nie dam rady! Auuua! – jęczy mama. Wtedy tata każe mi przykucnąć i chwycić ją za łydkę.

– A teraz z całych sił do góry. – Ciągnie ją tak mocno do góry, że mama uderza udami w stół, a jedyną częścią jej ciała, która dotyka podłogi, jest głowa. Wtedy tata puszcza lewą dłoń i przenosi ją z łydki na udo. Po chwili robi to z drugą. – Ciągnij, synu!

– Nie dam rady! – Próbuję robić to, co tata, ale mama jest za ciężka. Poza tym nie jestem tak wysoki jak tata, przez co mam utrudnione zadanie.

– CIĄGNIJ, KURWA!

Zaciskam zęby i spinam wszystkie mięśnie w ciele. A potem ciągnę ją ze wszystkich sił za nogę. Nagle mama zawisa w powietrzu, a tata gwałtownie nią potrząsa.

– Głowa! Uważaj na głowę! – krzyczy mama, gdy w pewnym momencie uderza jej czubkiem o podłogę. To jednak nie powstrzymuje taty od posługiwania się jej ciałem jak ubijaczką do masła.

– TRZĄŚ NIA! – rozkazuje mi zdyszany, ale dłużej nie zdołam jej utrzymać. Nagle wszystkie mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa. – TYTUS, KURWA! – Tata próbuje jeszcze chwycić mamę za drugą nogę, ale jest już za późno. Mama ląduje głową na podłodze i nie daje znaku życia. Na szczęście po trzech sekundach otwiera oczy i wydaje z siebie cichy jęk.

– On nie da rady, Sylwek. Biegnij po pana Władka.

– Oszalałaś?! I tak już widział za dużo. Przyprawdę ojca.

– Przecież on ledwo trzyma kubek herbaty!

Spanikowany tata przejeżdża dłońmi po głowie, a następnie masuje się po czole.

– Do kurwy nędzy, Bogna... – rzuca cicho, po czym kuca i ponownie ściska mamę za łydkę. – Dawaj, synu.

– Sylwek, nie! – Mama przykłada obie dłonie do brzucha, wykonując szybkie, okrężne ruchy. – Tu potrzeba dwóch silnych chłopów. Biegnij po Loskę!

– Nigdzie nie biegnę! – Tata podejmuje jeszcze jedną próbę samodzielnego podniesienia mamy, ale wyraźnie brakuje mu sił.

– DO KURWY NĘDZY! – warczy, zanim puszcza ją i zeskakuje ze stołu. – Zostań z matką. Zaraz wracam.

W oczekiwaniu na powrót taty siedzę obok mamy na podłodze i masuję ją po brzuchu.

– Boję się – wyznaję w pewnym momencie, a wtedy mama wymusza uśmiech i zapewnia mnie, że wszystko będzie dobrze.

– Czasem tak się dzieje, że gdy po porodzie kobieta zbyt ciężko pracuje fizycznie, to wypada jej macica. – Nie rozumiem, o czym mówi, ale „wypadnięcie macicy” brzmi poważnie. Mama chyba widzi, że nie udało jej się mnie uspokoić, dlatego dopowiada: – Spokojnie, doktor Olczykowska nas uprzedzała i mówiła, jak mamy w takiej sytuacji postępować.

– Może powinnaś pojechać do szpitala? – Obrzucam ją troskliwym spojrzeniem.

– Nie ma takiej potrzeby. Twój tata wie, co robić. Synku...

– Tak?

– Posiedzisz w tym czasie z Zosią? Gdyby bardzo płakała, weź ją na ręce i zaśpiewaj jej kołysankę...

– Ale ja żadnej nie znam – zauważam.

– Wystarczy, że zanucisz jej jakąś melodię bez słów. Możesz to dla mnie zrobić?

*

Tata i pan Władysław męczą się z mamą prawie do północy. W pewnym momencie przestałem już liczyć, ile razy podnosili ją i opuszczali. Po wszystkim tata wyjmuje ze skórzanego portfela banknoty i wciska je sąsiadowi w dłoń.

– Nie trzeba, Sylwek. Naprawdę.

– Weź. Bez ciebie bym sobie nie poradził – nalega tata, ale pan Władysław konsekwentnie odmawia. Zamiast tego proponuje, że weźmie butelkę wódki.

– Najlepiej daj wszystko, co masz. Nie potrzebujesz tego.

Niepewnie przekraczam próg dużego pokoju i podchodzę do leżącej na kanapie mamy. Na mój widok unosi kąciki ust i próbuje przejść do pozycji siedzącej.

– Synku, co z Zosią?

– Dobrze. Prawie przez cały czas spała. Jak się czujesz?

– Już lepiej. Jutro odwiedzi nas doktor Olczykowska i zdecyduje, czy muszę jechać do szpitala. Oby nie było takiej potrzeby.

Po chwili dołącza do nas tata. Ma łzy w oczach, a na jego twarzy maluje się ulga.

– Władek ma rację. Muszę skończyć z piciem i bardziej się o was zatroszczyć. – Po tych słowach okrąża kanapę i klęka przy mamie. – Przepraszam, kotku... – Całuje ją w wierzchnią część dłoni. – To wszystko przeze mnie...

– Nie obwiniaj się. Najważniejsze, że mamy to już za sobą.

W pewnym momencie tata przybliżyła głowę do mamy i składa na jej ustach czuły pocałunek. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni widziałem, jak to robi. Znowy wyglądają jak zakochana para, która za warszawskich czasów nie mogła bez siebie żyć. Nie sądziłem, że jeszcze to kiedyś zobaczę. Z początku nie mogę przestać się uśmiechać na myśl o tym, że ojciec poszedł po rozum do głowy. Po raz pierwszy od dawna zachowuje się jak głowa rodziny, a co najważniejsze, przyznał się do błędu i przeprosił mamę. Czy to znaczy, że wrócimy do tego, co było kiedyś? Mam nadzieję, że tak. Muszę wierzyć, że odzyskam mojego najlepszego przyjaciela. On musi gdzieś tam jeszcze być.

ROZDZIAŁ 3

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

ROK 1966

Koledzy z klasy od rana wyśmiewają mnie za to, że postanowiłem wziąć udział w organizowanym przez szkołę wiosennym sprzątaniu okolicy. Nie pomagają tłumaczenia, że robię to, bo mój ojciec urządza wieczorem przyjęcie urodzinowe i wolę już zbierać po lekcjach śmieci niż wyręczać mamę w myciu podłóg i dekorowaniu domu.

– Pewnie nawet nie wytrzymałibyście dnia z moimi rodzicami – rzucam, ale Mikołaj i reszta nic sobie z tego nie robią. I tak powinienem się cieszyć, że nie muszę już przechodzić przez to, co jeszcze parę lat temu. Wszystko dzięki temu, że w pewnym momencie nasi ojcowie wyjaśnili sobie nieporozumienia i wrócili do wieczorów przy flasce. Czuję, że Mikołaj nadal za mną nie przepada, ale chyba ojciec kazał mu zachowywać się w stosunku do mnie neutralnie. Mimo to czasem, jak choćby dzisiaj, zdarza mu się powrócić do dawnych nawyków. Nie muszę się już jednak obawiać, że ten kretyn przebiję mi opony w rowerze albo kopnie we mnie piłką na wuefie. Gdyby jeszcze atmosfera w domu się poprawiła, życie w Chełmie stałoby się znośne. Niestety nie zanoszą się na to...

Po czwartej nasza grupa sprzątająca wraca do szkoły, a ja pytam wychowawczynię, czy mogę jeszcze w czymś pomóc. Pani Zborowska twierdzi jednak, że jest już późno i moi rodzice pewnie się niepokoją.

– Tata jest jeszcze w pracy – zauważam.

– W takim razie mama.

– Taaa... – Nie wyprowadzam jej z błędu. Prawda jest taka, że mama od dawna nie przejmuję się moim losem. Przestała już nawet prać moje rzeczy

i robić mi śniadania. W zasadzie to niczym się już nie przejmuję. Całymi dniami leży w łóżku i wstaje jedynie po to, by nakarmić Zosię. Najgorsze, że moja siostra przez większość czasu pozostaje praktycznie bez opieki. Ojciec nie chce słyszeć o wysłaniu jej do przedszkola. Nie widzi, że przyspieszyłoby to rozwój Zosi, a przede wszystkim zintegrowało ją z rówieśnikami. Upiera się, że nigdzie nie będzie jej lepiej niż w domu. Czyżby? Raz po powrocie ze szkoły zastałem ją bawiącą się nożami w kuchni. Z kolei jakiś miesiąc temu w ogóle nie było jej w domu. Gdy obudziłem pijaną mamę, upierała się, że Zosia śpi w swoim pokoju – tym samym, który do zeszłego roku zajmował nieżyjący już dziadek. Na szczęście udało mi się odnaleźć siostrę biegającą po łące nieopodal głębokiego i szerokiego rowu, który nazywam kraterem. Dziadek powiedział mi kiedyś, że to pozostałość po bombie, którą w czasie wojny zrzucili tam Niemcy. Straszyl mnie, że na dnie krateru wciąż leżą szczątki poległych żołnierzy. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale to miejsce zawsze wzbudzało we mnie strach. Jeszcze tego brakuje, by przez nieuwagę rodziców Zosia do niego wpadła lub, co gorsza, dotarła do ulicy i wbiegła prosto pod rozpędzony samochód. Tylko czy potrzeba aż takiej tragedii, by rodzice się opamiętali?

Ostatnio dużo płaczę w samotności. Wszystko przez to, że nasza rodzina rozpada się na moich oczach, a ja nie mam pojęcia, co robić. Odkąd ojciec zbliżył się do swojego kierownika, pana Malczyka, pije więcej niż kiedykolwiek. Do dziś pamiętam słowa, które wypowiedział do mamy po tym, jak parę lat temu w wyniku zbyt ciężkiej pracy fizycznej nabawiła się problemów zdrowotnych. Przez pewien czas naprawdę wierzyłem, że mu na nas zależy. Odstawił alkohol, przestał zapraszać kolegów do domu i wyręczał mamę w wielu obowiązkach. Pewnego dnia podjął się nawet ulepiania pierogów, ale kompletnie mu nie wyszły. Zdarzyło mu się też podać nam na obiad niedosmażonego schabowego. Docenialiśmy jednak z mamą jego dobre chęci i pilnowaliśmy, by ojciec zbyt szybko nie stracił zapału. A potem dziadek trafił do szpitala z poważną infekcją i przez długi czas nie było wiadomo, czy się z tego wyleczy. Ojciec regularnie znieczulał się wódką, co w pewnym sensie rozumiałem. Gdy jednak po powrocie dziadka do domu nadal się upijał i stopniowo stawał się coraz bardziej agresywny, dotarło do mnie, że problem powrócił. Nie miałem jednak pojęcia, jak wielkie piekło ojciec zgotuje nam w następnych miesiącach...

Wkrótce parkuję rower przed domem i wbiegam do środka. Najpierw zaglądam do sypialni rodziców, która okazuje się pusta. Przechodzę zatem do pokoju Zosi i zastaję mamę siedzącą na podłodze przy jej łóżeczku. Zdaje się, że śpi.

– Co się dzieje? Coś z Zosią?

Mama wzdryga się i otwiera oczy. Przez dłuższą chwilę wpatruje się we mnie pytająco, jakby nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje.

– Która jest godzina?

– Wpół do szóstej. Ojciec pewnie niedługo wróci i będzie się wściekał, że nic nie jest gotowe na przyjęcie.

Czekam na jakąś reakcję mamy, ale ona jedynie siedzi nieruchomo, zatapiając nieobecny wzrok w mojej siostrze. Z początku myślałem, że przebywa w transie po gwałtownym przebudzeniu. Teraz widzę, że powód jest inny. Mama powoli staje się jak tata i od nadmiaru alkoholu traci kontakt z rzeczywistością.

– Zaraz się wezmę za sprzątanie. Jeszcze tylko posiedzę parę minut przy Wandzi – odpowiada.

– Zosi – poprawiam ją, a wtedy ona mruży oczy i na zmianę patrzy na mnie i moją siostrę.

– Hę? A co ja powiedziałam?

– Nieważne. Przetnę stół w dużym pokoju – rzucam i ze łzami w oczach wychodzę na korytarz.

Za każdym razem, gdy mama wymawia imię mojej zmarłej siostry, targają mną sprzeczne emocje. Z jednej strony czuję smutek, bo Wandzia mogła wnieść do naszej rodziny szczęście. Z drugiej ogarnia mnie gniew, gdyż to przez nią mama doświadczyła załamania nerwowego i wpadła w alkoholizm. Pragnęła kolejnego dziecka i łudziła się, że dzięki niemu ojciec się zmieni. Zachowywała się tak, jakby nie wyciągnęła wniosków z historii z Zosią. Tymczasem ojciec regularnie zaganiał mamę do roboty, zupełnie nie przejmując się jej stanem. Wyręczałem ją, kiedy tylko mogłem, ale to nie wystarczyło. W ósmym miesiącu ciąży mama trafiła do szpitala, gdzie urodziła martwego wcześniaka. Najgorsze, że nie miałem nawet możliwości zobaczyć siostry. Ojciec uznał, że może to być dla mnie zbyt traumatyczne. Przez trzy dni mieszkałem więc u Losków i drżałem o życie mamy. Odetchnąłem z ulgą,

gdy ojciec wreszcie przywiózł ją do domu. Pamiętam jej spokojny wyraz twarzy i zamyślane spojrzenie, gdy siedziała przy stole w kuchni. Miałem wrażenie, jakbym nagle cofnął się w czasie o kilka lat i doświadczał zwyczajnego dnia w naszym domu. Ojciec czytający gazetę przy włączonym telewizorze, mama niespiesznie jedząca sałatkę jarzynową... A potem zaszedłem mamę od tyłu, wtuliłem się w nią i pocałowałem w policzek. Nie doczekałem się jednak z jej strony żadnej reakcji. Zupełnie jakby myślami przebywała gdzieś indziej. Gdziekolwiek to jest, do dziś stamtąd nie powróciła. Boję się, że straciłem ją na zawsze.

Ojciec wraca dopiero po dziewiątej wieczorem. Towarzyszą mu pan Malczyk i pięciu kolegów, z których rozpoznaję trzech. Wszyscy są już tak pijani, że nie zwracają uwagi na panujący w domu bałagan. Choć starałem się, jak mogłem, w tak krótkim czasie zdążyłem jedynie przetrzeć kurze w dużym pokoju i umyć podłogę. Kuchnia wciąż wygląda jak pobojuwisko: w zlewie zalegają brudne naczynia i wszędzie walają się butelki po wódce. Najgorsze, że mama nie przygotowała dla swojego męża i jego gości żadnych przekąsek. Po naszej ostatniej rozmowie udała się do kuchni, wyjęła z szafy flaszkę i zamknęła się w sypialni. Gdy zajrzałem do niej jakieś pół godziny temu, spała w łóżku z opróżnioną do połowy butelką pod pachą. Tak mi jej żal, że nawet nie umiem się na nią złościć. Przez lata brała na siebie więcej obowiązków, niż była w stanie udźwignąć. Jednocześnie znosiła alkoholizm ojca i robiła, co była w stanie, by utrzymać wszystko w ryzach. W pewnym momencie musiało się to na niej odbić. Czy mogłem coś zrobić, by ją przed tym ochronić? Nie wiem, mam dopiero czternaście lat i nic ode mnie nie zależy. Choćbym nie wiem jak się starał przemówić mamie do rozsądku, ona i tak by mnie nie posłuchała. Odciążałem ją więc w obowiązkach domowych, ale ojciec nieustannie nam ich dokładał. Im więcej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że katastrofa była nam po prostu pisana. Tylko co dalej?

Od blisko trzech godzin zachowuję się jak chłopiec na posyłki. Kursuję między kuchnią i dużym pokojem, donosząc ojcu alkohol i kanapki, które na bieżąco przygotowuję. Gdy wybija północ, wykończony osuwam się na podłogę przy lodówce i zamykam oczy. Marzę o głębokim śnie, z którego nie byłyby mnie w stanie wybudzić nawet krzyki nachlanego ojca. Niestety ten cholerny egoista nie daje mi nawet chwili na odpoczynek.

– Tytus! Gdzie jesteś? Chodź tu, synu!

Po każdej opróżnionej przez nich butelce wódki łudzę się, że kolejna będzie tą ostatnią. Oni jednak konsekwentnie wyprowadzają mnie z błędu. Zamiast opadać z sił, jeszcze głośniejsze rozmawiają, śmieją się i śpiewają polskie szlagiery. Koło pierwszej Malczyk proponuje partię pokera na pieniądze. Po pierwszej rundzie odpuszczają, gdyż żaden z nich nie jest w stanie skupić się na grze. Wtedy ojciec proponuje więcej wódeczki na rozluźnienie.

– Skończyła się – mówię po powrocie z kuchni.

– Jak to skończyła się? Przecież była cała szafka...

– Wszystko wypiliście – stwierdzam, a wtedy niepokieszony ojciec każe mi iść do Losków.

– Władek na pewno ma coś w zapasie.

– Ale... na zewnątrz jest strasznie ciemno. Poza tym Loskowie pewnie już dawno śpią – zauważam, ale tata kompletnie się tym nie przejmuje.

– Nic im nie będzie. Pospiesz się, bo zaraz sami tu pośniemy.

Wkrótce docieram zziębnięty na posesję Losków i omal nie zostaję pogryziony przez ich agresywnego psa. Na szczęście pan Władysław w porę odgania zwierzątko, a potem niechętnie wręcza mi butelkę spirytusu.

– To wszystko, co mam. – Zanim się rozstajemy, dodaje: – Chłopcze, gdyby coś się działo, pamiętaj, że zawsze znajdziesz u nas pomoc.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc zawstydzony posyłam mu jedynie delikatny uśmiech i uciekam w stronę drogi.

Dochodzi wpół do trzeciej, gdy udaję się do swojego pokoju i opadam na łóżko. Czuję tak potworne zmęczenie, że w zaśnięciu nie przeszkadza mi nawet piąte czy szóste odśpiewane przez gości w ciągu ostatniej godziny *Sto lat*. Może to i dobrze, że ojciec idzie na całość... Przynajmniej nie będzie w stanie funkcjonować za dnia i da nam trochę spokoju.

Przed piątą budzę się roztrzęsiony z koszmaru i potrzebuję chwili, by uspokoić oddech. Następnie udaję się do mamy i upewniam, że wszystko z nią w porządku. Miałem koszmar, że rozpałała ognisko w dużym pokoju, po czym przeszła do sypialni i powiesiła się na kłamce. Na szczęście mama wciąż śpi z butelką wódki pod pachą, cicho przy tym chrapiąc. Gdyby coś sobie zrobiła, pewnie już nigdy nie pogodziłbym się z jej stratą.

Już mam wracać do swojego pokoju, gdy postanawiam sprawdzić, co z ojcem. Ku mojemu zaskoczeniu nie zastaję nikogo ani w dużym pokoju, ani w kuchni. Wygląda na to, że przyjęcie dobiegło końca. Tylko gdzie się podział ojciec? Czyżby ruszył z kolegami w miasto, by kontynuować popijawę? Jeśli tak, to mam nadzieję, że prędko nie wróci. Mam już po dziurki w nosie chaosu, który nieustannie rozpętuje. Człowiek, który dawniej kojarzył mi się z bezpieczeństwem i spokojem, dziś wzbudza we mnie jedynie niepewność i strach.

Czasem zastanawiam się, jak wyglądałoby nasze życie, gdyby nagle ojca zabrakło. Wiem, że mama sądzi, iż nie poradziłaby sobie bez niego, ale ja zawsze dostrzegałem w niej więcej siły, niż ona sama potrafiła. Zresztą nie powinienem się jej dziwić: wszak ojciec latami pozbawiał ją poczucia własnej wartości, wypominając siedzenie w domu i lekceważąc jej ciężką pracę. Zabawne, że mówił to człowiek, który nigdy nie nauczył się nawet usmażyć schabowego. Prawda jest taka, że to on nie przeżyłby dnia bez mamy. Gdyby zniknął, szybko bym o nim zapomniał. Nie przekazał mi żadnej wartościowej wiedzy o świecie, no może z wyjątkiem tego, że kobiety zasługują na ogromny szacunek za to, z jaką godnością znoszą humory swoich leniwych, roszczeniowych mężów.

Po wyjściu z kuchni zatrzymuję się przy drzwiach do pokoju Zosi, ze zdziwieniem słysząc dobiegające zza nich mruczenie. A potem naciskam na klamkę i zamieram na widok Malczyka siedzącego po turecku na podłodze i trzymającego na kolanach moją nagą siostrę. Kompletnie pijany kierownik cementowni całuje nad wyraz spokojną Zosię w głowę, jednocześnie masując ją po brzuszku i powoli przesuwając dłoń coraz niżej.

– Grzeczna dziewczynka... Bardzo grzeczna.

Tymczasem ojciec leży obok na sofie i w milczeniu się temu przygląda. Z początku jestem w takim szoku, że dosłownie nie mogę się poruszyć. Dopiero po jakiejś minucie wparowuję do pokoju.

– Zostaw ją! – krzyczę, podbiegając do Malczyka i próbując mu wyrwać Zosię. Wtedy moja zdeorientowana siostra wydaje z siebie cichy, długi jęk. – Oddaj mi siostrę, zboczeńcu!

– Sylwek, zrób coś! – odzywa się Malczyk.

– Do pokoju – słyszę za plecami syczenie ojca, ale nie odpuszczam i coraz mocniej ciągnę wystraszoną Zosię za rękę.

– Sylwek!

– Powiedziałem coś, kurwa! – Ojciec szarpie mnie za włosy z taką siłą, że przez moment mam wrażenie, iż mi je wszystkie wyrwał. – Puść ją.

– Ale tato...

– Puść, do kurwy nędzy! – Ciągnie jeszcze mocniej, sprawiając, że z oczu wypływają mi strużki łez. Ból jest tak silny, że dłużej nie dam rady walczyć. – Właśnie tak... Grzeczny chłopiec... A teraz wypierdalaj do swojego pokoju i zapomnij o tym, co tu widziałeś. Nie możesz pisnąć nikomu słowa. Rozumiesz? Nawet jednego pierdolonego słowa.

Oszołomiony odbijam się od ścian, a gdy wreszcie docieram do swojego pokoju, wskakuję do łóżka i narzucam sobie na głowę kołdrę i poduszkę. To się nie wydarzyło... Nie, to musiał być tylko zły sen... Ojciec nie jest idealny, ale przecież nie pozwoliliby obcemu facetowi obmacywać trzyletniej córki. No bo jakim trzeba być potworem, by się na to zgodzić? Nabieram ustami powietrza w płuca, a następnie powoli je wypuszczam. I tak jakieś dwadzieścia razy. Przez cały czas powtarzam sobie w myślach, że mózg płata mi figle. Zosia na pewno śpi teraz grzecznie w swoim łóżeczku, a ojciec baluje na mieście z kolegami. Pewnie wróci ledwo żywy koło południa, runie na łóżko w sypialni i obudzi się dopiero następnego dnia. Tak, na pewno tak będzie. Zosia jest bezpieczna. Musi być bezpieczna, bo w przeciwnym razie wszystko straci sens...

ROZDZIAŁ 4

OBECNIE

Julia od dłuższego czasu siedzi w milczeniu, wpatrując się we mnie z niedowierzaniem.

– Wszystko w porządku? – pytam, gdy kończę swoją opowieść.

– Tak... To znaczy nie... – Karpiel przejeżdża dłonią po głowie, po czym wyłącza dyktafon w telefonie. – Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

– Nie dziwię się pani. Taki nadmiar tragedii potrafi przytłoczyć. Proszę sobie zatem wyobrazić, co ja czułem, gdy zobaczyłem tego skurwiela z moją siostrzyczką na kolanach. – Na samo wspomnienie tamtej nocy łamie mi się głos, a serce zaczyna bić przyspieszonym rytmem.

– Może jednak nie... Wystarczy mi to, co usłyszałam.

Chwilę później do sali wchodzi siostra Dominika.

– Doktor Przymorska powiedziała, że koniec na dziś.

– Dziesięć minut, dobrze? – odzywam się błagalnym tonem do pielęgniarki. Ta w odpowiedzi zwraca się do Julii:

– Idę na obchód. Jak wrócę, ma tu pani nie być.

Gdy zostajemy sami, wyraźnie poruszona Julia nawiązuje do tytułu tej części książki:

– Z początku byłam przekonana, że tyczy się pańskiej matki, ale teraz rozumiem, że równie dobrze pasuje do Zosi... Niewinna, niczego nieświadoma... posłuszna.

– Tak naprawdę wszyscy byliśmy posłuszni ojcu – zauważam. – Ja też mogłem zrobić więcej. A jednak godziłem się na jego ciągłe wysoki i pozwoliłem na to, by wpuścił do naszego domu pedofila.

– Był pan dzieckiem. To nie pana wina – pociesza mnie Julia.

– Miałem piętnaście lat. Powinienem był zrobić więcej...

Julia wzrusza bezradnie ramionami, a następnie wypytuje o następstwa tamtego incydentu.

– Po tym, co zobaczyłem, nie zmrużyłem już tamtej nocy oka. Pamiętam, że do południa nie wychodziłem z łóżka, drżąc ze strachu i niepewności co do tego, jak zachowa się ojciec, gdy już wytrzeźwieje. Bałem się, że wtargnie do mojego pokoju i rzuci się na mnie z pięściami, licząc, że poprzez przemoc uda mu się mnie skutecznie zastraszyć. Tymczasem byłem już aż nadto zastraszony. Ojciec na dobrą sprawę nie musiał nic robić.

– To znaczy, że nie powiedział pan nic matce? – Dziennikarka ponownie włącza dyktafon.

– Początkowo milczałem jak grób. Koło pierwszej skacowana mama przyszła do mnie i spytała, czy pomógłbym jej z przygotowaniem obiadu. Lepiłem pierogi, przysłuchując się rozprawiającej o nieistotnych sprawach mamie i zabawiając siedzącą przy stole i bawiącą się klockami Zosię. Na szczęście moja siostra była zbyt mała, by rozumieć krzywdę, którą jej wyrządzono. Niestety to był dopiero początek jej koszmaru...

– A zatem podobne incydenty się powtarzały?

– Zaraz do tego przejdę. Pozwoli pani, że dokończę, co się działo tamtego dnia... Wtedy w kuchni wszystko we mnie krzychało, że powinienem donieść mamie na ojca i Malczyka. Czułem jednak, że nic bym nie wskórał i jedynie narobił nam obojgu kłopotów. Ojciec wyraził się bowiem jasno: miałem trzymać gębę na kłódkę. W razie nieposłuszeństwa oboje ponieśliśmy z mamą karę.

– No właśnie, a jak po przebudzeniu zachowywał się pański ojciec? – dopytuje Julia.

– Wrócił do żywych późnym popołudniem i do wieczora do nikogo się nie odzywał. Odsmażył sobie nawet pierogi, czego nigdy wcześniej nie robił, a potem pojechał do sklepu i wrócił z paroma flaszkami. Przez kolejne godziny siedział na kanapie i czytał książkę. Albo udawał, że to robi, bo nie wierzę, że po wypiciu takiej ilości alkoholu ktokolwiek na drugi dzień byłby w stanie skupić się na lekturze. W pewnym momencie mama posadziła przy nim Zosię i powiedziała, by się nią zajął. A potem poszła do kuchni, skąd wróciła z butelką wódki w dłoni i zamknęła się w sypialni.

– Co było potem?

– Nie mogłem pozwolić, by ojciec przebywał tak blisko Zosi, dlatego wziąłem ją bez pytania na ręce i zamknąłem się z nią w swoim pokoju. Po jedenastej, gdy leżałem w łóżku przy zapalonej lampce i przyglądałem się grzecznie śpiącej obok siostrze, ojciec wszedł bez pukania i nakazał mi odnieść ją do łóżeczka. Odmówiłem, co oczywiście mu się nie spodobało. Pamiętam, że stanął nade mną i wyszeptał, że dla własnego dobra powinienem być jego przyjacielem, a nie wrogiem.

– Czy pański ojciec był pedofilem? – pyta wprost kobieta.

– Nie... Nigdy nie nakryłem go na molestowaniu siostry. Wobec mnie też nie miał żadnych seksualnych zapędów.

Julia marszczy brwi.

– Nie rozumiem. Wspomniał pan o „początku koszmaru”...

– Owszem. Koszmaru, który za zgodą ojca zgotował mojej siostrzyczce Waldemar Malczyk. – Przełykam ślinę i kontynuuję: – Przez następny rok regularnie ją... widywał – urywam pod wpływem silnego wzruszenia.

– Co jej robił?

– On... – Zaciskam mocno powieki, gdy do oczu napływają mi łzy.

– Wiem, że to trudne, ale czytelnicy na pewno będą chcieli znać szczegóły. Poza tym, jakkolwiek to zabrzmie, uda się panu w ten sposób zyskać ich współczucie, a może nawet i sympatię – przekonuje mnie Julia.

Zamykam oczy i staram się zapanować nad chaosem w głowie i traumatycznymi wspomnieniami, po których odechciało mi się żyć.

– Przepraszam, ale nie dam rady... Nie dziś – mówię, gdy wyrzuty sumienia przygniatają mi klatkę piersiową i odbierają dech.

– Oczywiście. Wrócimy do tego jutro. I tak już przekroczyliśmy czas wizyty. – Julia wstaje z krzesła i zakłada plecak. – Proszę odpocząć i spróbować nie myśleć o przeszłości.

– Jak mam o niej nie myśleć, skoro to przez nią wylądowałem na dwadzieścia pięć lat za kratkami? – odpowiadam drżącym głosem, czekając, aż wreszcie zostanę sam i będę mógł się w spokoju wypłakać.

– Chyba lubi pani tropiki – odzywam się, gdy moja rozmówczyni wchodzi nazajutrz do sali. Wtedy ta posyła mi pytające spojrzenie.

– Słucham?

– Nawiązuję do pani sukienek. Wczoraj były pomarańczowe nadruki, a dziś cytrynowe...

– Ach, to... – Julia gładzi dłońmi sukienkę na wysokości bioder. – Ale pan spostrzegawczy. Powiedzmy, że nie lubię się ubierać nudno i ponuro. A tak się składa, że cytrusy kojarzą mi się z Portugalią, w której spędziłam najszcześniejsze lata swojego życia – wyznaje, po czym siada na ustawionym przy łóżku krześle i wyjmuje telefon oraz zeszyt z notatkami. – Jak się pan dziś czuje?

– Zaskakująco dobrze. Nie czuję już wszędzie ogórkowego płynu po goleniu ojca, a to już coś... Jeśli zaś chodzi o moją opowieść...

– Zawsze możemy przejść do innego okresu z pana życia – proponuje Julia. – Wrócimy do dzieciństwa, gdy będzie pan gotowy.

– Jestem gotowy – deklaruję. – Widzi pani, jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiłem... Ba, sam przez wiele lat przechowywałem te wspomnienia w zamkniętej na klucz i ukrytej na dnie mojej podświadomości skrzyni. Tylko dzięki temu jakoś funkcjonowałem. Wszystko zawaliło się w chwili, gdy jako dorosły mężczyzna postanowiłem ją otworzyć... Ale może wróćmy do dzieciństwa...

– Dobrze. – Kobieta włącza dyktafon i zagląda do notatek. – Powiedział pan, że Malczyk za zgodą pańskiego ojca przez rok wykorzystywał Zosię. Gdzie była wtedy pańska matka?

– Przebywała w świecie głębokiej depresji i alkoholizmu. Nigdy nie pogodziła się ze śmiercią drugiej córki. Myślę jednak, że kluczowe dla jej załamania było to, jak w tamtym czasie traktował ją ojciec. Zamiast ją wspierać, obwinił ją o poronienie. Wcześniej mama karmiła się kłamstwami: wmawiała sobie, że jeszcze wszystko się ułoży, a ojciec nie jest wcale taki zły. Śmierć Wandzi odarła ją ze złudzeń. Dłużej nie mogła udawać, że problem nie istnieje. Tym bardziej że ojciec był coraz bardziej agresywny, a czasem wręcz wymuszał seks. Przyparta do muru mama spojrzała wreszcie prawdzie w oczy: ojciec nigdy nie widział w niej kobiety. Była dla niego jedynie zabawką i służącą.

– Poddała się...

– Będę z panią szczery: był taki moment, gdy nienawidziłem mamy może nawet bardziej niż ojca. Nie pojmowałem, jak mogła odwracać wzrok od dramatu, który rozgrywał się w jej domu.

– Może czuła, że nie ma szans w starciu z mężczyzną? – sugeruje Julia. – Nawet w dzisiejszych czasach, gdy głos kobiet jest zdecydowanie bardziej słyszalny, a one same są bardziej niezależne, wiele kobiet jest sterroryzowanych przez partnerów, często bojąc się im sprzeciwić. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak stłamszona musiała być pańska matka...

– Myślę, że ma pani rację. Nie zmienia to jednak faktu, że swoim milczeniem dawała ojcu przyzwolenie na oddawanie Zosi w ręce tego potwora Malczyka.

– Dlaczego w ogóle pana ojciec to robił? – pyta dziennikarka.

– Jak to dlaczego? Chodziło o pieniądze i pozycję w firmie. W krótkim czasie ojciec awansował z szeregowego pracownika na zastępcę kierownika. Nasza sytuacja finansowa uległa znacznej poprawie, dzięki czemu ojciec wyremontował wszystkie pomieszczenia w domu, wymienił dach, wyburzył budynek gospodarczy i postanowił na jego miejsce nowy, większy.

– Ale... przecież mówimy o jego córce. Jaki normalny ojciec pozwalałby na jej wykorzystywanie przez innego mężczyznę? – Julia wzdycha z rezygnacją.

– Zosia nigdy nie obchodziła ojca. Ja zresztą też. Zaryzykuję jednak stwierdzenie, że gdyby nie pogłębiony alkoholizm, ojciec zachowałby jakieś resztki instynktu samozachowawczego i powstrzymał Malczyka. Pamiętam, jak kiedyś zastałem go pijanego w kuchni w trakcie jednej z wizyt jego szefa... Spytałem go roztrzęsiony, dlaczego na to pozwala. Spojrzał na mnie wtedy zagubiony i odparł, że przecież Zosia ma dopiero cztery lata i gdy dorośnie, nawet nie będzie tego pamiętać...

– Boże...

– Ten zboczeniec Malczyk miał naprawdę ułatwione zadanie – kontynuuję.

– Wystarczyło, że poczęstował ojca drogim trunkiem i sypanął gotówką, a ten bez namysłu otwierał przed nim drzwi do pokoju Zosi. Mógł z nią robić, co tylko chciał...

– Dlaczego po trzech latach przestał? – pyta Julia.

– Wszystko zaczęło się od mojej rozmowy z wychowawczynią – zaczynam, przywołując tamto październikowe popołudnie...

ROZDZIAŁ 5

ROK 1967

Od dziesięciu minut siedzę na ławce przy gabinecie dyrektora Saderskiego i zdenerwowany obgryzam już trzeci paznokieć. Dlaczego jeszcze nie zaprosił mnie do środka? O czym tak długo rozmawia ze Zborowską? A jeśli naradzają się po to, by zamieść sprawę pod dywan? Wcale bym się nie zdziwił, gdyby postanowili to zrobić. W ostatnich latach ojciec dużo udzielał się w szkole, zwłaszcza w czasie, gdy stawiano dobudówkę. Użyczył wtedy dyrektorowi ciągnik i przyczepę, które kupił za pieniądze od Malczyka. Domyślam się, że taki skandal nie będzie Saderskiemu na rękę, ale naprawdę nie miałem się do kogo zwrócić o pomoc. Matka rzadko kiedy jest trzeźwa, a nawet wtedy trudno mi z nią o tym rozmawiać. Gdy kilka tygodni temu po wizycie Malczyka zapłakany błagałem ją o interwencję, jak zwykle wzruszyła ramionami i stwierdziła, że to ojciec rządzi w tym domu. No tak, najłatwiej jest zrzucić z siebie całą odpowiedzialność i odwrócić wzrok. Nigdy jej tego nie wybaczę. Mam nadzieję, że Zosia też nie.

Wreszcie drzwi do gabinetu dyrektora otwierają się, a Saderski wychodzi na korytarz w towarzystwie Zborowskiej.

– Mayer, do środka – mówi stanowczym, pozbawionym emocji tonem.

Zanim wykonuję jego polecenie, zerkam na wychowawczynię, która uśmiecha się zdawkowo, a następnie kiwa głową w stronę wejścia, jakby mnie popędzała.

Chwilę później dyrektor zamyka drzwi i rozsiada się naprzeciwko mnie przy biurku.

– A teraz opowiedz mi wszystko ze szczegółami.

Z początku płacze mi się język i nieustannie muszę uważać na to, co mówię, by nie wyjawiać dyrektorowi pewnych szczegółów, jakby w obawie, że ojciec mi

tego nie daruje. W pewnym momencie dochodzę jednak do wniosku, że skoro wykonałem krok do przodu, to nie mogę nagle zrobić dwóch wstecz. Przez kolejne pół godziny słowa wystrzeliwiają mi z ust niczym z kałasznikowa. Opowiadam przysłuchującemu mi się w milczeniu Saderskiemu o wszystkim, co ten potwór Malczyk wyprawiał z moją siostrą. Przestaję w chwili, gdy natężenie skumulowanego we mnie gniewu jest tak duże, że zacynam odczuwać ból w klatce piersiowej.

– Proszę nam pomóc – mówię cichym, łamiącym się głosem.

Saderski składa dłonie jak do modlitwy i mierzy mnie podejrzliwym wzrokiem.

– Zdajesz sobie sprawę, chłopcze, że to bardzo poważne oskarżenia?

– Mówię prawdę! Przysięgam! – Omal nie podskakuję z nerwów na krześle.

– Błagam, niech pan pomoże mojej siostrze!

Mężczyzna odchodzi w milczeniu od biurka, a następnie wsuwa dłonie w kieszenie spodni i przez dłuższy czas wpatruje się w widok za oknem. W zniecierpliwieniu czekam na jego decyzję. Od niego zależy przyszłość mojej rodziny i bezpieczeństwo Zosi. Wreszcie Saderski zwraca się przodem do mnie i stwierdza, że najpierw chciałby porozmawiać z ojcem.

– Zobaczymy, co ma do powiedzenia.

– Ale proszę pana...

– Wracaj do domu i powiedz ojcu, żeby jak najszybciej się ze mną skontaktował.

– Jest w pracy i wróci dopiero wieczorem.

– Dobrze, zatem niech przyjedzie do mnie, gdy już będzie miał czas. Zna adres.

Opuszczam gabinet dyrektora z poczuciem przegranej. W idealnym świecie Saderski bez wahania powiadomiłby milicję i doprowadził do aresztowania ojca. Niestety wszystko wskazuje na to, że popełniłem błąd, wtajemniczając go w tę sprawę. I co teraz? Może powinienem wrócić i poprosić go, by zapomniał o tej rozmowie? Albo zasugerować, że zanim spotka się z ojcem, mógłby w tajemnicy porozmawiać z matką? Przyprowadziłbym ją na przykład jutro koło południa, gdy już wytrzeźwieje... Tak, to jedyne słuszne rozwiązanie. Dyrektor prędzej uwierzy jej niż mnie.

Już mam wchodzić bez pukania do środka, gdy dopada mnie nagłe zwątpienie. Co ja wyprawiam? Przecież to bez sensu. Matka nigdy nie zrobi niczego wbrew ojcu. Latami biegała wokół niego jak służka, znosząc jego niewdzięczność, a gdy zaczął pić, nie zrobiła nic, by pomóc mu wyjść z nałogu. Miała do siebie tak mało szacunku, że harowała nawet będąc w zaawansowanej ciąży. Ta kobieta nigdy nie była moim sojusznikiem. Prędzej oskarży mnie o kłamstwo, niż pozwoli, by ojcu spadł włos z głowy. Boże, co ja narobiłem?

*

O dziewiątej wieczorem wchodzę do śpiącej przy zapalanej lampce Zosi i siadam na brzegu jej łóżka. Następnie kładę dłoń na jej ramieniu i delikatnie je masuję. W pewnym momencie Zosia wzdryga się i instynktownie drapie mnie w rękę, cicho przy tym powarkując.

– Nie... Boję się... Chcę do mamy – mówi chwilę później przez sen. Zmartwiony pochylam się nad nią i szepczę jej do ucha:

– Ciii... Jestem przy tobie. Nic ci nie grozi...

Wtedy Zosia rozchyła powoli powieki i na mój widok podrywa się z łóżka.

– Nie! Nie chcę! To boli!

– Zosiu, to ja, Tytus. To ja, twój brat – próbuję ją uspokoić. – Jestem z tobą, nikt cię nie skrzywdzi. Nie musisz się bać...

W odpowiedzi moja siostra niepewnie siada na drugim końcu łóżka i uważnie mi się przygląda.

– Tytus? – Gdy mnie wreszcie rozpoznaje, cicho wzdycha, po czym rzuca mi się w ramiona. – Miałam straszny sen. Śniło mi się, że ten pan, z którym pracuje tata...

– Spokojnie, Zosiu... – Masuję ją po plecach. Cała drży, jakby dopiero co wyszła z lodowatej wody. – Już nic ci nie grozi – powtarzam, przyciskając ją do siebie i powstrzymując się od płaczu.

– Obiecujesz? – Jej pytanie sprawia, że omal pęka mi serce. Powinienem ją okłamać czy powiedzieć prawdę?

– Obiecuję – szepczę jej do ucha, a potem przykrywam nas oboje kołdrą i tulę się do niej, nucąc jej wymyśloną na poczekaniu melodię. Na szczęście

mała zasypia, zanim kompletnie się załamuję i wydaję z siebie rozpaczliwy jęk. Powiniennem wyjść, by nie ryzykować, że ją obudzę, ale tak bardzo boję się ją zostawić samą... Zostanę z nią jeszcze trochę, przynajmniej do powrotu ojca. A potem niech będzie, co ma być.

*

– Wstawaj – budzi mnie głos ojca. Gdy unoszę szybko głowę, spostrzegam go stojącego w uchylonych drzwiach ze skrzyżowanymi na piersiach dłońmi. Następnie przenoszę wzrok na leżącą obok mnie Zosię. Nawet nie wiem, kiedy odpłynąłem. – Wstawaj albo wywelekę cię siłą z tego łóżka. – Ojciec robi dwa kroki do przodu, a ja ze strachu zasłaniam się kołdrą.

– Dobrze, wychodzę – mówię, gdy staje nade mną z uniesioną ręką i zaciśniętymi zębami. – Już wychodzę.

W pośpiechu opuszczam pokój Zosi, której na szczęście nie zbudziło warczenie ojca.

– Idziemy. – Ojciec ściska mnie mocno za przedramię i prowadzi do kuchni. A potem popycha mnie na ścianę i otwiera górną szufladę, z której wyjmuje duży nóż.

– MAMO! – krzyczę odruchowo. Wtedy on uśmiecha się złowieszczo i wyciąga ku mnie srebrzyste ostrze. Mało brakuje, by wbił mi czubek w szyję.

– Twoja matka ci nie pomoże, szczyłu. – Ma wściekłe, nienawistne spojrzenie, a z ust cuchnie mu alkoholem. – Naprawdę myślałeś, że cokolwiek wskórasz, wygadując dyrektorowi te wszystkie głupoty na mój temat?

– Ale... ale to przecież...

– Morda, śmieciu!

Wpadam w panikę, gdy czuję bolesne szczyknięcie tuż poniżej podbródka.

– Nie! Tato, proszę... Tatusiu... – jęczę, zaciskając powieki i spinając wszystkie mięśnie w ciele. Wystarczy jedno dociśnięcie noża, bym przestał istnieć.

– Powiniennem z tobą skończyć. Przynajmniej miałbym spokój – syczy mi w twarz pijany ojciec. W jego oczach dostrzegam obłąd. Zupełnie jakby wódka wyprała mu mózg. – Tym razem ci daruję, bo Saderski wyśmiał twoją historyjkę. Porozmawialiśmy sobie, wznieśliśmy toast za dalszą współpracę

i ustaliliśmy, że nie było tematu. – Zabiera nóż i pozwala mi wziąć kilka głębszych wdechów. Następnie dodaje: – Jeśli się dowiem, że wciąż rozmawiasz z obcymi ludźmi na temat tego, co dzieje się w naszym domu, zapierdolę twoją matkę i siostrę. Będziesz stał nad ich ciałami i przyglądał się rozkwaszonym łbom. A gdy już wystarczająco znienawidzisz mnie i cały ten chory świat, poderżnę ci gardło i pozwolę spocząć obok tych dwóch kurew, których zawsze zaciekle broniliś. Nawet was nie zakopię. Wyjdę, zostawiając was na zimnej podłodze. Z czasem zainteresują się wami robactwo i bezpieczeństwa psy, które zwabi zapach rozkładających się ciał. Wasza śmierć przynajmniej nie pójdzie na marne.

Robię, co mogę, by się przed nim nie rozplakać. Wiem, że tylko dałbym mu satysfakcję. Nie jestem jednak w stanie udźwignąć tych wszystkich skrajnych emocji. To dla mnie za dużo.

– Dlaczego nam to robisz?! – krzyczę mu w twarz, po czym osuwam się na podłogę i zakrywam twarz dłońmi, głośno przy tym szlochając. – Dlaczego?!

– Pytasz, dlaczego staram się wam zapewnić dostatnie życie? – Ojciec parska śmiechem i otwiera szafkę, z której wyjmuje butelkę wódki. – Gdyby nie ja, pewnie siedziałbyś teraz gdzieś pod mostem i modlił się o choćby kromkę chleba. Zamiast całować mi nogi z wdzięczności, spiskujesz za moimi plecami i wywlekasz prywatne sprawy. Koniec z tym, rozumiesz? Zbyt długo ci pobłażałem. Od teraz będziesz tańczył tak, jak ci zagram. A jeśli mi się sprzeciwisz, poniesiesz najgorszą karę z możliwych. Naprawdę tego chcesz?

ROZDZIAŁ 6

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

ROK 1968

Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, ale oddałbym wszystko, by wakacje już się skończyły. Zamiast odpoczywać i ładować baterie przed wrześniem, muszę użerać się z ojcem i jego humorami. Przysięgam, że ten człowiek doprowadzi mnie kiedyś do obłądu. Że też musiał wziąć urlop akurat teraz... Najgorsze, że i tak nie ma z niego żadnego pożytku. Całymi dniami obija się i wydaje mi rozkazy. W efekcie nie dość, że dbam o zwierzęta, to jeszcze regularnie sprzątam dom, zajmuję się siostrą, a nawet gotuję. Mogłoby się wydawać, że fizycznie nie będę w stanie wziąć na siebie więcej obowiązków, a tymczasem ojciec dołożył mi kolejny. Stwierdził, że ma już dość widoku sterty kamieni po zburzonym budynku gospodarczym i musimy się ich pozbyć. Sugerowałem, że na pewno znalazłby się ktoś, kto chętnie by je zabrał nawet za darmo, ale ojciec miał lepszy pomysł:

- Przetransportujesz je taczka do tego rowu na łące.
- Do krateru?
- Jak zwał, tak zwał.
- Ale... przecież tego jest tak dużo...
- Bez przesady. Uwiniesz się w jedno popołudnie.

To był jeden z najgorszych dni w moim życiu. Żar dosłownie lał się z bezchmurnego nieba, a ja godzinami kursowałem między gospodarstwem a kraterem. Nie wywoziłem nawet połowy sterty, gdy wymęczony i odwodniony osunąłem się na ziemię pod wystającym dachem nowego budynku gospodarczego i omal nie zemdlałem. Na szczęście udało mi się jakoś doczołgać do domu i ubłagać starego, by darował mi tego dnia resztę wywózki.

– Dokończysz, gdy się ochłodzi.

Irytuje mnie to, że ojciec odciął mnie na czas wakacji od świata. Nie pozwala mi zapuszczać się dalej niż do krateru. Nie wiem, czy robi to z czystej złośliwości, czy dlatego, że mi nie ufa. Podejrzewam, że jedno i drugie. Nasza relacja od dawna była zła, ale mój ubiegłoroczny donos do dyrektora pozbawił ojca resztek zahamowań w stosunku do mnie. Z jednej strony odniosłem sukces, bo ojciec przestał sprowadzać do nas Malczyka, ale z drugiej stałem się jego największym wrogiem. To na mnie od miesięcy wyładowuje frustracje i obwinia mnie o wszystko, co najgorsze. Początkowo jakoś to znosiłem, bo ograniczał się głównie do chamskich komentarzy i krzyków. Wszystko się zmieniło w dniu, w którym Malczyk w ramach zemsty usunął go ze stanowiska swojego zastępcy. Po powrocie z pracy ojciec w kwadrans wlał w siebie całą butelkę wódki, a potem wtargnął do mojego pokoju i tłukł mnie tak długo, aż straciłem przytomność. Po wszystkim przez trzy dni nie miałem siły wstać z łóżka. Najgorsze, że ani ojciec, ani matka nie pomyśleli o wezwaniu lekarza. W efekcie do dziś czuję ból na wysokości żeber, gdy biorę głębszy wdech. Czuję, że ktoś powinien był mnie wtedy zbadać.

Później wcale nie było lepiej. Konflikt z Malczykiem jeszcze bardziej pogłębił alkoholizm ojca i nasilił jego agresję w stosunku do mnie. Obecnie po każdym jego ataku furii dosłownie odechciewa mi się żyć. Nie jestem już dzieckiem i wiem, że mógłbym mu się przeciwstawić. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że mam od niego więcej siły. Nie robię tego jednak ze względu na mamę i Zosię. Ojciec z pewnością by się na nich odegrał, a na to nie mogę pozwolić. Nadstawiam więc policzek i przyjmuję ciosy. Pamiętam, jak w marcu leżałem zmordowany na podłodze w łazience i obserwowałem krew leącą mi z nosa. Po pewnym czasie utworzyła się obok mnie spora czerwona plama. Zadałem sobie wtedy pytanie: czy warto się tak męczyć? Ku mojemu zaskoczeniu w głowie miałem tylko jedną myśl: muszę wytrwać dla Zosi. Czułem, że gdyby mnie zabrakło, ojciec zaatakowałby ją. No bo kogo innego? Matka dawno nie była już dla niego atrakcyjnym celem. Sadysta karmi się strachem i cierpieniem swoich ofiar, a wyprutej z emocji i wiecznie skacowanej matce było już wszystko jedno, co się z nią stanie. Na placu boju zostaliśmy już tylko ja i moja siostra. Zaciśnąłem zęby i miałem nadzieję, że nie będzie bolało. A bolało coraz bardziej. Gdy miesiąc temu ojciec zauważył

mnie rozmawiającego z panem Loską, wpadł w taki szal, że po moim powrocie chwycił mnie za fraki i kazał przysiąc na życie matki i Zosi, że na niego nie doniosłem. Parę dni później uderzył mnie z całej siły w twarz za to, że zbyt długo rozmawiałem na podwórku z panią Zborowską. Wychowawczynie odwiedziła nas pod pretekstem zaproszenia całej rodziny na letni piknik nad rzeką Uherka. W rzeczywistości chciała wy badać sytuację w domu.

– Wszystko dobrze, Tytus? Powiedz prawdę. Możesz mi zaufać... – Gdy to mówiła, uśmiech nie schodził jej z twarzy. Chyba wiedziała, że ojciec przez cały czas nas obserwuje.

– Proszę pani, on mnie... – zdążyłem tylko tyle powiedzieć, zanim ojciec zjawił się przed domem i zagonił mnie do środka. Przez następne minuty stałem bezradnie przy uchylonym oknie w kuchni i przysłuchiwałem się słynnym anegdotkom ojca, które każdego doprowadzały do śmiechu. Pani Zborowska umiejętnie udała rozbawienie, a potem ruszyła w stronę drogi, nie dając po sobie nic poznać. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że widzę ją po raz ostatni w życiu.

– Ładnie się goi... Już prawie nic nie widać – mówi dziś przy śniadaniu mama, gładząc mnie palcem po skroni i policzku. To jej pierwszy komentarz na ten temat. Zabawne, że gdy paradowałem po domu z ogromnym, pokrywającym prawie połowę twarzy siniakiem, nawet nie zwracała na mnie uwagi. Chętnie bym jej to wypomniał, ale uznaję, że nie ma sensu się z nią kłócić. Zwłaszcza teraz, gdy od prawie tygodnia nie sięgnęła po alkohol. Wczoraj nawet po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ugotowała obiad. Zapomniałem już, jak znakomitą jest kucharką. Ileż można się żywić suchym chlebem, kielbasą i zebranymi koło domu warzywami? Wprawdzie zdarza mi się sporadycznie usmażyć naleśniki z serem czy mielonego, to jednak daleko mi do umiejętności mamy.

Po posiłku mama zaskakuje mnie propozycją spaceru po pobliskiej łące. Zgadzam się, licząc, że może wreszcie będziemy mieli okazję poważnie porozmawiać. Poza tym ojciec śpi jak zabity po wczorajszej popijawie i nie przebudzi się pewnie jeszcze długo. Warto zatem wykorzystać okazję.

Po niecałym kwadransie powolnego marszu mama oznajmia, że musi odpocząć. Zbaczamy więc z polnej dróżki i siadamy pod rosnącą nieopodal dziką jabłonią.

– Chyba muszę cię częściej wyciągać z domu. Nie martw się. Nim się obejrzysz, wrócisz do formy – motywuję ją. Ona jednak siedzi w milczeniu ze spuszczoną głową i ponurą miną. – Mamo... Możemy porozmawiać?

– A o czym?

– Przecież wiesz – stwierdzam, a w odpowiedzi mama mruży oczy i czeka, aż sprecyzuję. – Chodzi o ojca. Nie wiem, jak długo jeszcze dam radę znosić jego ataki. Boli mnie każda część ciała. Błagam, pomóż mi. – Ściskam jej wątlą dłoń. – Potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek. Musimy go jakoś powstrzymać.

– Twój tata przechodzi teraz trudny okres. Nie układa mu się w pracy, a na dodatek popadł w długi. Powinniśmy go wspierać, zamiast dokładać mu problemów.

– Naprawdę mówisz tak o potworze, który nie dość, że pozwalał, by stary zboczeniec gwałcił twoją córkę, to od miesiący traktuje twojego syna jak worek treningowy? – pytam z wyrzutem. Mama jednak pozostaje niewzruszona.

– Jesteś jeszcze młody i nie rozumiesz, że czasem życie wymaga od nas podejmowania trudnych decyzji. – Z każdym kolejnym padającym z jej ust słowem tracę dla niej resztki szacunku. A gdy stwierdza, że kiedyś podziękujemy ojcu z Zosią za to, co dla nas zrobił, coś we mnie pęka.

– Co ty pierdolisz?! – Podrywam się z ziemi i w ostatniej chwili powstrzymuję się przed zdzieleniem jej w przepitą gębę. – Dlaczego nas nie bronisz?! Jaka z ciebie, kurwa, matka?!

– Nie krzycz, synu... – Mama krzywi się i przykłada palce do skroni. – Nie możemy spokojnie porozmawiać?

– Spokojnie?! – wybucham, jednocześnie kręcąc z niedowierzaniem głową. – Teraz pragniesz spokoju? Dlaczego, kurwa, nie pragnęłaś go przez ostatnie lata, gdy ojciec fundował nam piekło na ziemi?!

– Nie przeklinaj – zwraca mi uwagę moja rodzicielka.

– Nie mów mi, co mam robić! – Zaciskam pięść w prawej ręce. Czuję, że jeśli teraz się nie uspokoję, to puszczą mi wszelkie hamulce. – Co, zapomniałaś już, jak ojciec traktował cię w trakcie trzeciej ciąży? Jak cię kopał po brzuchu i gonił do noszenia ciężkich wiader?

– Nie mieszaj w to Wandzi... – mówi drżącym głosem mama. – Nie mieszaj w to mojej córeczki!

Nie chcę jej ranić, dlatego zostawiam ją pod drzewem, a sam biegnę w stronę domu, cały czas płacząc. Już wcześniej czułem, że bezpowrotnie ją straciłem, ale teraz mam na to namacalny dowód. Dość tego. Wypowiem ojcu wojnę. Zrobię to, by ratować siebie i Zosię. Może jeszcze nie jest dla nas za późno...

ROZDZIAŁ 7

PIĘĆ DNI PÓŹNIEJ

To już ostatnie godziny urlopu ojca. Oddycham z ulgą na myśl o tym, że od jutra nie będę musiał całymi dniami oglądać jego gęby. Do końca wakacji zostały prawie trzy tygodnie. Zamierzam jak najlepiej wykorzystać ten czas i wkroczyć w nowy, bardzo ważny dla mnie rok szkolny z pozytywną energią. Przede wszystkim skupię się na Zosi, którą tego lata mimowolnie zaniedbywałem. Tymczasem moja pięcioletnia siostra wymaga uwagi i troski bardziej niż kiedykolwiek. Nie jest już malutką dziewczynką, która wydaje się nie rozumieć większości rzeczy. Zosia rozumie bardzo dużo. I wszystko wskazuje na to, że pamięta krzywdy, których doznała niegdyś za przyzwoleniem ojca. No bo jak inaczej wytłumaczyć to, że gdy tylko ojciec pojawia się w zasięgu jej wzroku, na jej twarzy natychmiast pojawia się strach? Dobrze, że chociaż nie budzi się już zapłakana w środku nocy. Muszę zrobić wszystko, by tamte wydarzenia nie odbiły się na jej psychice w późniejszym życiu. I żeby Malczyk już nigdy nie stanął jej na drodze. Otoczę Zosię miłością i opieką. Zapewnię, że ma przy sobie osoby, które ją kochają, i jeśli będzie trzeba, to skoczą za nią w ogień.

Wieczorem, po zachodzie słońca, przed dom zajeżdża auto, z którego wysiada jakiś wysoki mężczyzna z długimi włosami. Patrząc przez okno w kuchni, jak ojciec wita się z nim mocnym uściskiem dłoni, a potem bierze od niego papierosa i mocno się zaciąga. Po krótkiej wymianie uprzejmości oddalają się powoli w kierunku pola, przez co nie słyszę, o czym rozmawiają. Po jakichś dziesięciu minutach wracają i ku mojemu zaskoczeniu żegnają się bez słowa. Ojciec ze spuszczoną głową maszeruje w stronę domu, a jego znajomy w pośpiechu wsiada do auta i odjeżdża. Przeczuję kłopoty, dlatego uciekam do swojego pokoju, zanim stary zdąży przekroczyć próg domu. Następnie

zaniepokojony nasłuchuję dobiegających zza drzwi przekleństw i huku tłuczonych naczyń. W pewnym momencie mama wychodzi z sypialni i prosi ojca, by się uspokoił.

– Wypierdalaj – warczy do niej ojciec.

– Sylwek, co się dzieje? Tylko nie wazon...

– Zostaw mnie samego, kurwa! – Słyszę huk tłuczonego naczynia, po którym rozlega się pisk mamy. Wybiegam na korytarz i spostrzegam stojącą przy ścianie Zosię.

– Boję się – mówi, przyciskając do siebie swojego ulubionego misia.

– Jestem przy tobie – odpowiadam, po czym zamykam się z nią w swoim pokoju i próbuję odwrócić uwagę od szalejącego za drzwiami ojca. Przez blisko godzinę śpiewam jej piosenki i bawię się z nią w chowanego. – Tu jesteś! – Wyciągam roześmianą siostrę za nogę spod łóżka, a potem pieszczotliwie ją łaskoczę.

Gdy wreszcie udaje mi się ją zmęczyć na tyle, że zasypia w moim łóżku, niepewnie wychodzę na korytarz i udaję się do dużego pokoju. Ojciec od dłuższego czasu milczy, co chyba niepokoi mnie bardziej niż jego krzyk. Gdy zaglądam do środka, spostrzegam go siedzącego w fotelu i pijącego wódkę z niemal pustej butelki. Już mam się wycofać, gdy nasze spojrzenia się krzyżują.

– Podejź tu – mówi zaskakująco spokojnym głosem ojciec. Nie widać po nim, że jest urżnięty. Jego organizm pewnie już się przyzwyczaił do alkoholu i wymaga coraz większych dawek.

– Ja tylko... szukałem mamy – kłamię w nadziei, że da mi spokój.

– Podejź – powtarza ojciec. A gdy niechętnie wykonuję jego polecenie, posyła mi nienawistne spojrzenie i szepcze: – Właśnie się dowiedziałem, że ten jebany śmieć Malczyk postanowił mnie zwolnić. Oficjalnym powodem ma być moje picie w pracy. To bzdura. Najlepsze, że stary chujbas nie miał odwagi powiedzieć mi tego w cztery oczy. Wysłał więc swojego nowego zastępcę, by mi oznajmił, że nie mam jutro po co jechać do fabryki. – Robi pauzę, by wziąć ostatniego łyka wódki. Następnie ciska butelką o ścianę. Ta roztrzaskuje się na tysiące małych kawałków. – To twoja wina. Przez ciebie Malczyk się mnie pozbył – syczy, nie odrywając ode mnie wzroku.

– A-ale...

– Wszystko było dobrze, dopóki trzymałeś głowę na kłódkę, a Malczyk dostawał to, czego chciał. I co teraz zrobimy? Niby gdzie zapłacą mi tyle co w cementowni?!

Serce wali mi jak dzwon, a plecy oblewają się zimnym potem. Powinienem był wcześniej zgarnąć z kuchni nóż i ukryć go w tylnej kieszeni spodni. Być może czułbym się teraz choć trochę bezpieczniej.

– P-przep-praszam – dukam, ale to nie pomaga. Widzę po minie ojca, że jest o krok od tego, by znowu wybuchnąć. Nie mogę tak stać i beczynnie czekać, aż mnie skatuje. Wtedy on zaskakuje mnie swoją propozycją:

– Zrobimy tak: dam ci dziesięć sekund na ucieczkę i ani chwili dłużej. Gdy skończę odliczać, wstanę i ruszę za tobą w pościg. Jeśli uda mi się ciebie dogonić, zajebię cię, a potem zakopię twoje ciało w takim miejscu, by nikt nigdy go nie odnalazł. – Jego wyważony ton głosu kontrastuje z obłędem w oczach. – Jeśli jakimś cudem zdołasz mi uciec, nie możesz tu nigdy wrócić. Wyjedź na drugi koniec Polski, albo najlepiej za granicę, i zapomnij o swojej matce i siostrze. One są moje. Wszystko zrozumiałeś?

Przez kolejne sekundy stoję nieruchomo i staram się przetworzyć w głowie to, co usłyszałem od ojca. Nagle on oznajmia, że rozpoczyna odliczanie.

– Nie! Proszę! – Wzdrygam się, gdy wypowiada ciche „jeden”. – Ale... Zosia! Ona mnie potrze...

– Dwa.

On nie żartuje. Wiem, że byłby zdolny mnie zabić. Muszę uciekać. Tylko gdzie? I co z Zosią?

– Zaczekaj! Pozwól mi chociaż...

– Trzy.

Wpadam w popłoch na myśl o tym, że mogę już nigdy nie zobaczyć siostry. Jeśli jednak nie ruszę teraz do ucieczki, nie dam sobie nawet szansy na to, by w przyszłości wrócić do domu. Spinam więc wszystkie mięśnie i wystrzeliwuję w kierunku drzwi.

– Cztery! – krzyczy ojciec, zanim wybiegam z domu. A potem słyszę szybkie „pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć”. Nie zdążam nawet dobiec do pola, gdy ojciec staje w drzwiach i zaczyna szukać mnie wzrokiem. Po chwili spostrzega mnie przy wysokim świerku i zbiega po schodkach. – Mam cię!

– POMOCY! – krzyczę, biegnąc przed siebie, ile sił w płucach, i nawet się nie odwracając. Wystarczy mi, że nieustannie słyszę za plecami wołanie ogarniętego pijackim szałem ojca.

– I TAK CIĘ DORWEŃ!

Spoglądam w jego stronę dopiero po wbiegnięciu na łąkę. Wydaje mi się, że zwiększyłem dystans. I wtedy, jak na nieszczęście, potykam się o coś twardego, prawdopodobnie wystający z ziemi kamień.

– AUUUA! – jęczę, tracąc równowagę i lądując na czworaka. Gdy próbuję wstać, czuję silne pieczenie na wysokości lewej kostki. Boże, tylko nie to.

– JUŻ PO TOBIE! – krzyczy niebezpiecznie zbliżający się do mnie ojciec. Zaciskam więc zęby i powtarzam sobie w myślach, że muszę biec dalej. Po kilku krokach ból nasila się do tego stopnia, że zmuszony jestem oprzeć ciężar ciała na prawej nodze. Kuśtykam, słysząc dobiegający mnie coraz głośniejszy śmiech ojca.

– TO WSZYSTKO TWOJA WINA! TWOJA WINA!

W pobliżu krateru potykam się o kolejny kamień i upadam na plecy. Wtedy ojciec dopada mnie i przygniata swoim ciałem.

– Dałem ci szansę na ucieczkę. Nie wykorzystałaś jej.

– Proszę! Tato! – krzyczę przerażony, gdy chwyta mnie obiema dłońmi za szyję. – Nie! Proszę, nie!

– Morda! – Nagle ściska dłonie z taką siłą, że słyszę gruchnięcie w szyi, po którym odbiera mi dech. – Zdychaj, śmieciu!

Przed oczami przebiega mi całe życie. Widzę nasze warszawskie mieszkanie i tatę wręczającego mi w prezencie nowe zabawki. Następnie przenoszę się do chwil krótko po narodzinach Zosi. Mama była wtedy taka szczęśliwa. Naprawdę wierzyła, że pojawienie się drugiego dziecka zmieni ojca na lepsze. Po tej scenie trafiam do pokoju Zosi i patrzę, jak roześmiana rzuca mi się w objęcia. Zawiodłem ją. Obiecałem jej, że nikt już jej nie skrzywdzi, i nie dotrzymałem słowa. Za chwilę umrę, a ona zostanie sama, zdana na łaskę tego potwora. Ale może nie wszystko stracone?

Ojciec odcina mi dopływ powietrza do mózgu. Mam ostatnie sekundy na uratowanie się. Zanim odpływam, udaje mi się wyczuć dłońmi leżące po mojej prawej stronie kamienie.

– Zdychaj! – warczy przez zaciśnięte zęby ojciec, a potem pada obok mnie jak kłoda, gdy uderzam go jednym z nich w głowę. – Auuuu...

Chwytam się za szyję i nabieram haustami powietrza. Następnie zmuszam się do wstania, ale moje miękkie jak wata nogi natychmiast się pode mną uginają. Przemieszczam się zatem na czworaka wzdłuż krateru, byle jak najdalej od ojca. Wiem, że go nie zabiłem. Słyszę jego jęk i mogę się jedynie modlić, by prędko się nie pozbierał. Niestety on już po minucie przechodzi do pozycji siedzącej. A potem namierza mnie wzrokiem i powoli wstaje, masując się przy tym po głowie.

– Nie! – krzyczę, widząc go kroczącego chwiejnie w moją stronę i zaciskającego obie pięści. – Boże, nie! – Podnoszę się i przebiegam resztkami sił parę metrów. A potem upadam na kolana i łapię się za skrzyżowaną kostkę. Wtedy ojciec zachodzi mnie od tyłu i owija mi rękę wokół szyi. Następnie zmusza mnie do wstania i dociska rękę mocno do siebie.

– AAA! – Drapię go po przedramieniu, otwierając szeroko usta i próbując nabrać powietrza. Nagle ojciec unosi mnie tak, że tracę kontakt z podłożem.

– ZDYCHAJ!

Po raz kolejny w przeciągu minut moje życie wisi na włosku. I gdy przed oczami zaczyna mi się rozpościerać czarna mgła, po raz ostatni pobudzam swoje ciało i wierzgam zaciekle kończynami. Nagle trafiam ojca butem prosto w krocze. Wtedy ten głośno jęczy i luzuje ucisk na tyle, że udaje mi się z niego wyswobodzić.

– TY MAŁY SKUR...

Popycham go ze wszystkich sił, zanim jest w stanie zareagować. A potem patrzę, jak cofa się o kilka kroków i gwałtownie pochyła do tyłu.

– NIE! KURWAAA! – ryczy przeraźliwie, po czym traci równowagę i wpada do krateru. Rozlega się głośne gruchnięcie oznaczające śmierć Sylwestra Mayera. Po nim nastaje błoga cisza.

Przez kilka minut leżę na boku i próbuję uspokoić oddech. Wreszcie wycieńczony walką o życie przysuwam się do brzegu krateru na tyle, że mogę zobaczyć jego dno. Choć jest już ciemno, widzę wyraźnie nieruchome, leżące pomiędzy kamieniami ciało ojca. Jednak warto było się męczyć i zwozić tu te wszystkie taczki... Chcę odejść, ale mój wzrok pada nagle na leżący nieopodal duży kamień. Podnoszę go z trudem, by zrzucić głaz wprost na ojca i zyskać

pewność, że mój oprawca nigdy nie wróci, gdy postanawiam tego nie robić. Rozkwaszona głowa z wypływającym z niej mózgiem na pewno wzbudziłaby podejrzenia służb. Upadek z tej wysokości nawet na kamień nie spowodowałby raczej takich obrażeń. Wolę nie ryzykować, bo jeszcze zaczną mnie podejrzewać o morderstwo. Z chęcią sprzedam im bajeczkę o tym, jak ojciec wpadł w rozpacz po utracie pracy, a jakiś czas później pijany w sztok wybiegł bez słowa z domu i przypadkiem wpadł do rowu na łące. Na pewno pojawią się pytania o ślady duszenia na szyi. Cóż, akurat to, że ojciec latami się nade mną znęcał, nie czyni ze mnie od razu jego mordercy. Mam nadzieję, że śledczy pomyślą to samo.

CZEŚĆ 4
PRZEKLETA UFNOŚĆ

ROZDZIAŁ 1

OBECNIE

– Coraz bardziej przeraża mnie pańska historia – oznajmia krążąca po sali z nietęgą miną Julia. W chwili, gdy zacząłem opowiadać jej o pościgu, stwierdziła, że nie wysiedzi spokojnie na krześle.

– Proszę mi wybaczyć, ale sama pani wyraziła chęć jej poznania – zauważam, a wtedy ona piorunuje mnie wzrokiem.

– Owszem, i chyba powoli zaczynam tego żałować – stwierdza, po czym wzrusza ramionami i wraca na miejsce. – No dobrze, nie ma co tracić czasu... A zatem ojciec był pana pierwszą ofiarą?

– Nigdy go w ten sposób nie postrzegałem. Działałem przecież w obronie własnej. Poza tym nawet gdybym zabił go z premedytacją, bycie pierwszym stanowi pewnego rodzaju nobilitację, zapisanie się wielkimi zgłoskami w historii mojego pełnego wydarzeń życia. Tymczasem ojciec zasługiwał jedynie na zapomnienie. I ostatecznie to go spotkało.

– No właśnie... – Julia otwiera zeszyt i zatapia wzrok w jednej ze stron. – Mam tu napisane, że śmierć pańskiego ojca została potraktowana jako wypadek pod wpływem alkoholu.

– Zgadza się. Nikomu oprócz pani nie powiedziałem prawdy na temat tamtego wieczora. Tak, to przeze mnie ojciec wpadł wtedy do krateru. Zginął, żebym ja mógł żyć. Na tym świecie nie było miejsca dla nas obu.

– Na pewno umieszczę te słowa w książce – deklaruje moja rozmówczyni, po czym proponuje, żebyśmy się skupili na kolejnych latach. Ma pan propozycję tytułu tej części?

– Nazwijmy ją *Przekłęta ufność*.

– W porządku. – Julia zapisuje tytuł w zeszycie i pyta: – Jak poradziliście sobie we trójkę?

– Już pod koniec życia ojca gospodarstwo ledwo przędło, a po jego śmierci było tylko gorzej. Byliśmy zmuszeni sprzedać krowy i kury, by załatać dziurę finansową. Na szczęście z pomocą pana Loski udało mi się znaleźć dorywczą pracę w jednej z fabryk. Po kilku miesiącach stanąłem przed koniecznością dokonania wyboru: kontynuacja nauki w liceum albo całkowite poświęcenie się pracy. Nie byłem w stanie robić tych dwóch rzeczy jednocześnie i jeszcze zajmować się domem.

– Matka panu nie pomagała?

– Nigdy nie wróciła do siebie. Śmierć ojca, zamiast ją uwolnić, jedynie pogłębiła jej depresję. Pierwsze, co matka zrobiła po pogrzebie, to urznęła się przy pomocy whiskey. A potem przez tydzień leżała w łóżku i zanosila się płaczem.

– Rozpaczała z tęsknoty za ukochanym mężem? – dopytuje dziennikarka.

– Nigdy mi tego nie wyjawiała. Szczerze mówiąc, nie chciałem wiedzieć. Jej los był mi już obojętny. Skupiłem się w całości na Zosi. O nią akurat warto było walczyć. Za odłożone pieniądze kupiłem starą syrenę i zapisałem Zosię do przedszkola. Zawoziłem ją tam codziennie przed pracą i odbierałem późnym popołudniem. W siedemdziesiątym Zosia poszła do szkoły, która znajdowała się niedaleko mojej fabryki. Przez kolejne trzy lata prowadziliśmy monotonne, ale spokojne i zaskakująco szczęśliwe życie.

Julia zagląda do zeszytu i czyta na głos:

– Marzec, rok siedemdziesiąty trzeci. Bogna Mayer trafia nieprzytomna do szpitala po pęknięciu tętniaka mózgu i umiera w trakcie skomplikowanej operacji.

– Lekarze sugerowali, że gdyby matka nie chlała, tętniak aż tak by się nie powiększył, a ona sama przy odrobinie szczęścia pewnie pożyłaby jeszcze z dwadzieścia lat.

– Jak wyglądało wasze życie po stracie obojga rodziców? – pyta Julia.

– Z początku nie było łatwo, bo choć już dawno nie miałem głębszych uczuć do matki, to wspominając dzieciństwo, czasami popadałem w nostalgię. Współczułem jej tego, że w ostatnich latach życia los jej nie oszczędzał. Była dobrą kobietą, ale związała się z niewłaściwym mężczyzną. Zosia zniosła to dużo gorzej. Mogła jednak liczyć na moje wsparcie. Zjawiałem się obok, gdy

mnie potrzebowała. Poświęcałem jej więcej uwagi niż kiedykolwiek. Wszak mieliśmy już tylko siebie.

– Zbliżyliście się do siebie...

– Byłem dla Zosi bratem, ojcem i najlepszym przyjacielem w jednym. Czułem się za nią odpowiedzialny i starałem się jej wynagrodzić doznane w dzieciństwie krzywdy.

– Czy zdarzało wam się rozmawiać na temat Malczyka? – dopytuje Julia.

– Nie, ale wiedziałem, że Zosia pamiętała... Kilka miesięcy po śmierci matki natknęliśmy się na niego w centrum Chełma. Szedł pod rękę z żoną, a tuż za nimi kroczyła trójka dzieci: dwóch chłopców i dziewczynka. Sprawiali wrażenie perfekcyjnej rodziny. Gdyby tylko ta biedna kobieta wiedziała, do jakich potworności był zdolny jej mąż... Ich najmłodszy syn wyglądał na nie więcej niż pięć lat. Czy jego też krzywdził?

– Jak Zosia zareagowała na widok dawnego oprawcy?

– Właśnie do tego zmierzam: chwilę wcześniej podekscytowana opowiadała mi o planowanym z koleżankami wyjeździe pod namiot. Nagle, widząc wychodzącego zza zakrętu Malczyka, zastygła w bezruchu i pobladła. A potem wbiegła do pobliskiej kwaciarni i usiadła skulona przy ścianie. Wstała dopiero, gdy zapewniłem ją, że jej oprawca sobie poszedł.

Julia zerka do zeszytu i mówi:

– W kolejnych latach dalej mieszkaliście w Chełmie, prawda? – Odpowiadam skinieniem głowy, a wtedy ona kontynuuje: – Nie myślał pan o wyprowadzce do innego miasta? Nie musielibyście ryzykować, że tego typu incydent się powtórzy.

– Przyznaję, że rozważałem tę opcję, ale uznałem, że ucieczka wcale by nam nie pomogła. Miałem dobrze płatną pracę, a Zosia przyjaciół, z którymi chętnie spędzała czas. Nie byliśmy gotowi na porzucanie dotychczasowego życia i zaczynanie wszystkiego od nowa w obcym miejscu. Poza tym wierzyłem, że uciekając od traum, tylko sprawiamy, że szybciej nas doganiają. Żyliśmy tak jak dotychczas i koncentrowaliśmy się na tym, co dobre. Gdy jakieś dwa lata później natknęliśmy się na Malczyków w restauracji, Zosia była już w stanie nad sobą zapanować. Wzięła kilka głębszych wdechów, a potem uśmiechnęła się do mnie i zaproponowała, byśmy poszli gdzieś indziej. Powiedziała mi: „W końcu to ma być przyjemne popołudnie, prawda?”.

– A zatem udało wam się wyjść na prostą i pozostawić za sobą trudną przeszłość...

– Nie zapomnieliśmy o niej, ale wreszcie z nadzieją patrzyliśmy w przyszłość – precyzuję, a wtedy Julia zerka na zeszyt.

– W siedemdziesiątym szóstym spotykał się pan z niejaką Dorotą Kopec...

– Poznaliśmy się rok wcześniej na urodzinach jej brata, a zarazem mojego kolegi z fabryki. Później wszystko potoczyło się błyskawicznie. Wcześniej, przed Dorotą, nigdy nawet nie całowałem się z kobietą. Wszystko było dla mnie nowe, a zarazem piękne. Niestety jej rodzice uparcie naciskali na nas w kwestii ślubu. Wypominali Dorocie, że jej koleżanki już dawno założyły rodziny. Wiedziałem, że Dorota chce mieć dzieci, ale liczyłem, że zaczeka, aż ja też będę gotowy.

– Nie był pan gotowy? – Julia natychmiast podłapuje moje słowa.

– Nie czułem, by był to dla mnie odpowiedni moment. Poświęcałem się wychowywaniu trzynastoletniej wówczas Zosi. Moja siostra wchodziła w okres dojrzewania i powoli stawała się kobietą. Potrzebowała mnie. Tymczasem dziecko tylko odciągnęłoby od niej moją uwagę.

– Kto podjął decyzję o rozstaniu?

– Dorota. Pewnego dnia oznajmiła mi, że poznała innego mężczyznę i chciałaby z nim spróbować. Rozstaliśmy się w zgodzie. Wiem, że jakiś czas później wyszła za niego i urodziła mu co najmniej piątkę dzieci. Dostała to, czego chciała. – Gdy kończę, Julia jeszcze przez dłuższą chwilę przegląda notatki, a potem zatapia wzrok w podłodze. – Ewidentnie coś panią nurtuje...

– Zastanawiam się nad ewentualną zmianą konstrukcji książki...

– Hm? – Mrużę oczy.

– Dotychczasowe opowieści, choć wstrząsające i na pewno atrakcyjne pod względem fabularnym, przedstawiają pana w zbyt łagodnym świetle – wyjaśnia Julia. – Czytelnik może poczuć dysonans między książkowym wizerunkiem wiecznie krzywdzonego przez innych Tytusa a wyrachowanym seryjnym mordercą, którego ponad dwie dekady temu bała się cała Polska.

– Nie rozumiem... Przecież sama pani zasugerowała, że powinniśmy zacząć od początku – zauważam.

– Fakt, natomiast wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak wiele zła doświadczył pan ze strony ojca. Nie miałam też pojęcia o Malczyku... Oczywiście mam

świadomość, że zaraz dojdziemy do tragedii z siedemdziesiątego dziewiątego i wtedy pańska persona nabierze więcej mroku, ale będziemy musieli rozważyć wplecenie paru rozdziałów z dorosłego życia między te dotyczące dzieciństwa. W ten sposób dodamy książce pazura.

– Chwila, żebym dobrze zrozumiał... Chce pani, by w momencie, gdy czytelnik poczuje do mnie odrobinę empatii, akcja przenosiła się w przyszłość i pokazywała mnie z zupełnie innej strony?

– Takie balansowanie między niewinnym, skrzywdzonym chłopcem i wyrachowanym seryjnym mordercą – odpowiada Julia. – Wydaje mi się, że w świetle tego, czego się dowiedziałam, zaburzenie chronologii wyjdzie książce na plus.

– Nie zgadzam się – odpowiadam stanowczo, a Julia zatapia we mnie pytające spojrzenie.

– Nawet się pan nie zastanowi?

– Obiecała mi pani, że pomoże ukazać prawdę na temat mojego życia. Powiedziała też, że to nawet lepiej, jeśli historia mojego dzieciństwa sprawi, że ludzie zaczną ze mną sympatyzować.

– Pamiętam, co mówiłam, ale...

– Proszę się teraz z tego nie wycofywać. Próbuje pani manipulować narracją, a to mogłoby mi tylko zaszkodzić. Pozwólmy ludziom samym wyciągać wnioski na mój temat.

Kobieta wzrusza ramionami i odpowiada:

– Niech tak będzie. Miałam dobre zamiary. Zresztą nie mówmy już o tym. Skupmy się na roku siedemdziesiątym dziewiątym...

Na samą myśl o tamtym przeklętym listopadowym wieczorze staje mi gula w gardle i przez co najmniej pół minuty nie potrafię wydusić z siebie ani słowa. Gdy w końcu przemawiam, głos drży mi równie mocno jak wtedy, gdy przerażony prosiłem moją dogorywającą siostrzyczkę, by jeszcze trochę ze mną została. Ona jednak zamknęła oczy i już nigdy ich nie otworzyła...

– Cofnijmy się najpierw do lipca, bo już wtedy dotarły do mnie sygnały, które wówczas zlekceważyłem. Gdybym wiedział, czym to się wszystko skończy... – urywam, czując zbliżające się wzruszenie. – Dobrze, zaczynajmy. Nagrywa pani?

ROZDZIAŁ 2

ROK 1979

Od godziny kręcę się po podwórku i nieustannie zerkam w kierunku drogi, licząc, że wreszcie pojawi się na niej czerwony maluch należący do Piotrka, przyjaciela Zosi. Tydzień temu moja siostra pojechała z nim oraz dwójką innych przyjaciół, Elizą i Staszkiem, pod namiot nad jezioro Białe. Gdy się z nimi żegnałem, kazałem Piotrkowi obiecać, że będzie jechał ostrożnie.

– Jasna sprawa – odpowiedział krępy osiemnastolatek z ostrzyżonymi krótko włosami, którego Zosia poznała przez Elizę. Pamiętam, że gdy po raz pierwszy przyprowadziła go do domu, wziąłem ją na bok i kazałem natychmiast zakończyć tę znajomość. Z jakiegoś powodu nie wzbudzał bowiem mojego zaufania. Zosia przekonywała mnie jednak, że Piotrek dużo zyskuje przy bliższym poznaniu. Miała rację. Okazało się, że to w gruncie rzeczy skromny i inteligentny chłopak.

– I jeszcze jedno: dbaj tam o moją siostrę – zwróciłem się do niego, zanim wszedł do auta. – Na polach namiotowych nie brakuje podejrzanych typów, którzy polują na nastolatki.

– Spokojna głowa.

Na koniec przytuliłem mocno stojącą obok mnie Zosię i wyszeptałem jej do ucha:

– Bądź grzeczna. Nie zrób niczego głupiego.

– Przecież wiesz, że nie zrobię.

– Wiem... Jesteś najrozsądniejszą szesnastolatką, jaką w życiu spotkałem.

– I chyba jedyną – zachichotała moja siostra.

– Nie no, jest jeszcze Eliza. – Spojrzałem przez ramię na siedzącą z tyłu najlepszą przyjaciółkę mojej siostry. – Im więcej od ciebie słyszę o jej dziwnych wyskokach, tym bardziej cię doceniam.

– W takim razie muszę ją częściej namawiać na odwalanie za mnie brudnej roboty. – Zosia poklepała mnie po zarośniętym policzku i ruszyła w stronę auta. – Do zobaczenia za tydzień, brat.

– Do zobaczenia.

Wkrótce maluch Piotrek zatrzymuje się przy budynku gospodarczym, a ja oddycham z ulgą i drzę z podekscytowania. Moja mała siostrzyczka wróciła do domu cała i zdrowa. Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo się za nią stęskniłem... Nigdy nie rozstaliśmy się na dłużej niż dzień. Czasem Zosia zostaje na noc u Elizy i zajmują się, jak to określa, babskimi sprawami. Powiedziałem jej któregoś razu, że jeśli te babskie sprawy nie uwzględniają chłopaków, to dla mnie nie ma problemu.

– Aleś ty przewrażliwiony. – Zosia przewróciła oczami, powstrzymując się od śmiechu. To prawda. Bywam przewrażliwiony, ale to dlatego, że muszę mieć pewność, iż nikt niewłaściwy nie stanie już na jej drodze. Nie chcę jednak popadać w paranoję i zamykać jej w domu. W tym wieku nastolatki bardzo łatwo się buntują i choć Zosia to mądra dziewczyna, nigdy nie wiadomo, jakie szaleństwo przyjdzie jej do głowy. Zwłaszcza że zwariowana koleżanka ma na nią duży wpływ.

– Cześć, brat! – Zosia wysiada z auta ubrana w zwiewną, jasnozieloną sukienkę, którą widzę pierwszy raz na oczy. Na głowie ma wykonany z polnych kwiatów wianek.

– No witam, witam. – Kroczę ku niej z kamienną miną. Mam tylko nadzieję, że nie wypomni mi łez w oczach. – Jak minął tydzień?

– Wykąpałam się po wsze czasy – wyznaje, a następnie całuje mnie w policzek i wtula się we mnie jak przed laty, gdy jako mała dziewczynka budziła się z krzykiem i uspokajała dopiero wtedy, gdy poczuła mój dotyk. Rozpiera mnie duma, że wychowałem nastolatkę, która nie wstydzi się okazywać mi uczuć na oczach innych. I jestem pełen podziwu, że niewinna dziewczyna, która doznała w życiu tylu krzywd, wciąż potrafi się tak szeroko uśmiechać.

Chwilę później Piotrek wysiada z auta z ponurą miną. Następnie wyjmuje z bagażnika walizkę i wręcza ją Zosi.

– Dbałeś o moją siostrę, tak jak cię prosiłem? – pytam go żartobliwym tonem.

– Tak, proszę pana – odpowiada cicho, nawet nie patrząc mi w oczy. A potem odwraca się do mnie plecami i wraca do malucha.

– Co go ugryzło? Dawno nie widziałem go takiego przygaszonego – pytam Zosię, gdy ta macha na pożegnanie Elizie i Staszкови.

– Hm... Nie zauważyłam. – Moja siostra wzrusza ramionami, po czym biegnie w podskokach w stronę drzwi.

*

Późnym wieczorem zastaję Zosię siedzącą na ławce przed domem i obserwującą rozpościerające się na niebie w oddali burzowe chmury. Ma na sobie sweterek w swoim ulubionym błękitnym kolorze. Podarowałem jej go na dziesiąte urodziny i nie sądziłem, że będzie go nosiła tyle lat.

– Nie przeszkadzam?

– Nie – odpowiada krótko. Wtedy siadam na przeciwległym brzegu ławki, a ona przysuwa się do mnie i kładzie mi głowę na ramieniu. – Nie mogłam zasnąć.

– Wiesz, że jeśli masz jakiś problem, to zawsze możesz ze mną o nim porozmawiać. – Już wcześniej zauważyłem, że coś ją trapi, ale uznałem, że nie będę drażył tematu. Z doświadczenia wiem, że w takich chwilach najlepiej dać jej przestrzeń i uzbroić się w cierpliwość.

– Sama nie wiem, czy nazwałabym to problemem... Dlaczego to jest takie skomplikowane? – wzdycha.

– Co konkretnie masz na myśli?

W odpowiedzi Zosia podwija rękaw swetra i pokazuje mi bransoletkę wykonaną z niebieskich koralików.

– Dostałam ją od Elizy. Sama zrobiła dla siebie taką samą, tylko zieloną.

– Ładna – mówię, przejeżdżając palcem po gładkich koralikach.

– Zaproponowała, żebyśmy już zawsze je nosiły na znak naszej przyjaźni.

– To miłe – stwierdzam, po czym dodaję: – Ale widzę, że chyba masz z tym jakiś problem...

– To nie tak. – Zosia opuszcza rękaw i dodaje ze smutkiem w głosie: – Po prostu nie jestem pewna, czy zasługuję na ten prezent...

– Dlaczego miałabyś nie zasługiwać? Jesteś przecież wspaniałą, troskliwą przyjaciółką. Eliza zawsze może na ciebie liczyć. Zapomniałaś już, jak wspierałaś ją po śmierci babci? Obserwowałem cię i nie mogłem uwierzyć, że wyrosłaś na tak empatyczną osobę. – Głaszczę ją po głowie. Tymczasem Zosia odsuwa się ode mnie i przez dłuższą chwilę milczy.

– Ja... popełniłam wielki błąd. Zrobiłam coś, co może zniszczyć naszą przyjaźń – wyznaje wyraźnie zmartwiona.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

Zosia zatapia we mnie smutne spojrzenie i odpowiada pytaniem na pytanie:

– Niby jak miałbyś mi pomóc odkochać się w Piotrku?

– Zaraz, zaraz... Że niby ty i on...? – Jej wyznanie kompletnie mnie zaskakuje. Nie zauważyłem wcześniej, by łączyło ich coś więcej niż przyjaźń. Zosia nigdy też nie wypowiadała się o nim w innym kontekście. – Czy między tobą i nim do czegoś...

– Spokojnie, tylko się pocałowaliśmy – Wyznanie Zosi przyprawia mnie o dreszcze. Moja mała siostrzyczka stała się kobietą.

– Pocałowaliście?! Zosiu, prosiłem cię tyle razy, byś dała sobie dużo czasu...

– Nie planowałam tego – tłumaczy moja siostra. – Któregoś wieczora Piotrek zaproponował wszystkim spacer wokół jeziora. Eliza odmówiła, bo źle się czuła i postanowiła się wcześniej położyć. Twierdziła, że zatrula się mięsem w pobliskiej knajpie...

– Już ja dobrze wiem, czym się zatrula – odpowiadam, mając w pamięci incydent sprzed kilku miesięcy, gdy kompletnie pijana Eliza odwiedziła nas bez zapowiedzi z samego rana i wyjawiała, że rodzice wyrzucili ją z domu za upicie się na przyjęciu urodzinowym koleżanki. Ostatecznie jeszcze tego samego dnia udało im się z moją pomocą zażegnać konflikt.

– Staszek też nie miał ochoty na spacer, więc poszliśmy we dwójkę. Było tak miło, że nie chcieliśmy tego kończyć. W pewnym momencie Piotrek zboczył z trasy i zaprowadził mnie na dziką plażę pomiędzy drzewami. Siedzieliśmy na starym pniu i milczeliśmy. A potem on przysunął się do mnie i położył mi dłoń na udzie... Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, aż wreszcie on... – urywa i zamyka oczy. – Ja... nie potrafiłam go powstrzymać...

– Zosiu! – obruszam się. Z jednej strony doceniam fakt, iż siostra ufa mi na tyle, by rozmawiać ze mną o swoich pierwszych doświadczeniach miłosnych,

ale z drugiej nie wiem, czy jako starszy brat i jedyny opiekun jestem gotowy o tym słuchać.

– Całowaliśmy się chyba z pół godziny. Wiedziałam, że robię coś złego, ale to było takie przyjemne... Poza tym od tak dawna o tym marzyłam... W drodze powrotnej rozmawialiśmy szczerze o uczuciach. Okazało się, że Piotrek też się we mnie podkochiwał. Oboje chcieliśmy czegoś więcej niż przyjaźni, ale nie mieliśmy odwagi, by wznieść naszą relację na wyższy etap. – Słyszę w jej głosie nutę żalu. Nie tak powinna się zachowywać osoba, która dopiero co przeżyła najromantyczniejszy tydzień życia.

– Cały czas nie rozumiem, dlaczego uważasz, że to, co między wami zaszło, to coś złego – odpowiadam. – Nie żebym cię do czegokolwiek zachęcał, ale zdążyłem trochę poznać Piotrka i uwierz mi, że mogłaś trafić dużo gorzej. To porządny chłopak, choć będę się musiał z nim spotkać i skarcić go za to, że nie uprzedził mnie o swoich zamiarach...

– Tu nie chodzi o Piotrka, tylko o Elizę – wyjawia Zosia. – Bo wiesz, ona zna go od dzieciństwa. Zawsze byli nierozłączni i wiedzieli o sobie wszystko. Traktowali się jak rodzeństwo i stawiali na pierwszym miejscu. Z czasem ich relacja coraz bardziej się umacniała. W zeszłym roku stwierdziła żartobliwie przy wszystkich, że jeśli w życiu istnieje sprawiedliwość, to ona i Piotrek wezmą kiedyś ślub. Nikt wtedy nie potraktował jej słów poważnie, a zwłaszcza Piotrek, który który stwierdził, że najpierw chce się wyszaleć co najmniej do czterdziestki, a potem pomyśli o ożenku. Pamiętam jej wymuszony uśmiech i łzy. Już wcześniej podejrzewałam, że czuje do Piotrka coś więcej, ale wtedy zyskałam potwierdzenie.

– Rozmawiałaś z nią o tym? – pytam, a Zosia kiwa twierdząco głową.

– Spytałam ją wprost parę dni później. Wahałam się, ale uznałam, że muszę wiedzieć, na czym stoję. Z początku Eliza udawała głupią, ale w końcu przyznała, że kocha Piotrka. Nigdy mu tego nie powiedziała, bo zdawała sobie sprawę, że on nie odwzajemniał jej uczuć. Wierzyła jednak, że kiedyś to się zmieni.

– A czy Eliza wie, że ty też coś czujesz do Piotrka?

– Nie. – Zosia rozkłada ręce. – Nie miałam odwagi jej tego powiedzieć. Zresztą nawet się nie łudziłam, że ja i Piotrek... To, co się stało nad jeziorem, kompletnie mnie zaskoczyło. I właśnie dlatego tak podle się teraz czuję.

Powinam być szczęśliwa, bo Piotrek chce tego samego co ja. A jednak nie jestem, bo mam wrażenie, że próbuję wziąć sobie coś, co nie należy do mnie.

– Piotrek nie jest zabawką, do której można sobie rościć prawa – zauważam.

– Nie można też nikogo zmusić do uczuć.

– Czyli twoim zdaniem powinam powiedzieć o wszystkim Elizie?

– Jeśli o mnie chodzi, byłoby najlepiej, gdybyś przynajmniej do osiemnastki zapomniiała o chłopakach – odpowiadam pół żartem, pół serio. – Skoro już jednak pojawił się taki, który zawrócił ci w głowie, to myślę, że nie warto robić z tego tajemnicy.

– Nawet jeśli zaryzykuję utratę najlepszej przyjaciółki?

– Im szybciej szczerze z nią porozmawiasz, tym lepiej. Ukrywanie się przed Elizą na pewno zniszczy waszą relację – stwierdzam. Wtedy Zosia wtula się we mnie i głośno wzdycha.

– Myślałam, że dorosłość będzie łatwiejsza...

– Życie generalnie nie jest łatwe. Ale najważniejsze, że mamy siebie. – Całuję ją w głowę. – Wiesz, że ja nigdy cię nie opuszczę?

– Wiem, brat, ale mógłbyś sobie w końcu kogoś znaleźć – sugeruje Zosia. – Od rozstania z Dorotą minęły już prawie trzy lata.

– Dzięki za troskę, ale nie czuję na razie potrzeby wchodzenia w kolejny związek. Najpierw oddam cię we właściwe ręce, a dopiero potem zatroszczę się o siebie – deklaruję.

– Może czas najwyższy przestać się ze mną obchodzić jak z jajkiem? Mamy tylko jedno życie, a ty marnujesz na mnie swoje najlepsze lata – nie odpuszcza moja siostra. – Nie chcę, byś kiedyś tego pożałował...

Jej słowa przywołują bolesne wspomnienia i sprawiają, że do oczu momentalnie napływają mi łzy.

– Jeśli czegoś żałuję, to tylko tego, że nie ochroniłem cię, gdy byłaś mała i bezbronna. – Gdy to mówię, znów mam przed oczami widok molestującego ją Malczyka i ojca, który się temu przygląda. – Żyję po to, by się o ciebie troszczyć. Gdyby nie ty, pewnie już dawno by mnie tu nie było.

– Dobra, rozumiem. – Zosia wstaje i unosi ręce w geście kapitulacji. – Po prostu chcę, żebyś był szczęśliwy.

– Będę szczęśliwy jedynie wtedy, gdy ty będziesz – oznajmiam, po czym pytam: – To jak? Zawalczymy o twoje szczęście z Piotrkiem?

ROZDZIAŁ 3

OBECNIE

Julia bierze mały łyk cappuccino, które chwilę wcześniej przyniosła jej siostra Dominika.

– Domyślam się, że Eliza nie była najszcześniejsza, gdy dowiedziała się, że chłopak jej marzeń i najlepsza przyjaciółka mają się ku sobie? – pyta po tym, jak odstawia filiżankę na stolik.

– No właśnie sęk w tym, że Zosia nie odważyła się z nią o tym porozmawiać – wyjawiam, a wtedy Julia marszczy brwi i wpatruje się we mnie ze zdziwieniem. – Podjęła kilka prób, ale za każdym razem dopadał ją strach przed utratą przyjaciółki. Poza tym martwiła się, że Eliza, która przez ciągle imprezy opuściła się w nauce, na wieść o ich kiełkującym związku zacznie pić jeszcze więcej. Postanowiła więc dla dobra przyjaciółki na jakiś czas zdystansować się od Piotrka. Ten jednak uparcie o nią zabiegał. Któregoś dnia przyszedł pijany i czatował przy oknie Zosi. Odgrażał się, że nie odejdzie, dopóki z nim nie porozmawia.

– Jak pan na to zareagował?

– W innych okolicznościach chwyciłbym go za fraki i odciągnął od domu. Widziałem jednak, jak bardzo mu zależało na mojej siostrze. Lubiłem Piotrka i chyba to mnie zgubiło...

– W jakim sensie? – dopytuje Julia.

– Uznałem, że skoro tak poukładany i poniekąd przewidywalny chłopak interesuje się Zosią, to głupotą byłoby pozwolić mu odejść. Tym bardziej że jej też nie był obojętny. Jak mogłem pozbawić ukochaną siostrę szczęścia po tym wszystkim, co przeszła? Miłość i troska o nią przysłoniły mi zdrowy rozsądek. W efekcie nie dostrzegałem potencjalnych konsekwencji, jakie mogła pociągnąć za sobą ich relacja...

– No właśnie, pomówmy o wydarzeniach z szesnastego listopada – proponuje Julia, a ja wzdrygam się na samo wspomnienie tamtego wieczora. – Oczywiście pod warunkiem, że...

– Jestem gotowy – wchodzę jej w słowo. – Muszę to w końcu z siebie wyrzucić.

*

ROK 1979

Po jedenastej wieczorem z drzemki na kanapie budzi mnie dobiegający zza okna odgłos silnika samochodowego. Minutę później rozlega się huk zatrząskiwanych drzwi.

– Zosia? – pytam, widząc moją siostrę w pośpiechu zdejmującą kurtkę i buty. – A co ty tu robisz? Nie miałaś nocować dziś u Elizy?

– Zmiana planów. – Zosia przechodzi do kuchni i wyjmuje z lodówki dzbanek mleka. Następnie przelewa je sobie do kubka i wypija zawartość duszkiem.

– Czy ty jesteś pijana? – pytam nieśmiało, a wtedy ona piorunuje mnie wzrokiem. – Cholera, jesteś. Zosiu, przecież obiecałaś...

W odpowiedzi moja siostra przewraca oczami.

– Wypiłam trzy, może cztery kieliszki. Wielkie mi coś. – Próbuje mnie wyminąć, ale staję jej na drodze. – O co ci chodzi? Przecież wróciłam cała i zdrowa.

– Widzę, że coś się stało na imprezie – nawiązuję do przyjęcia urodzinowego kuzynki Elizy. – Pokłóciłaś się z Elizą?

– Nie – odpowiada szybko Zosia.

– W takim razie dlaczego nie jesteście teraz razem? I kto w ogóle cię odwiózł do domu? Mówiłaś, że Piotrek wyjechał rano na tydzień do Berlina...

– Poprosiłam Staszka, by mnie odwiózł. Zresztą niepotrzebnie go ze sobą zabierałam. Tylko narobiłam mu kłopotów...

– Jak to? – Chwytam Zosię lekko za przedramię i prowadzę do stołu. – Usiądź i opowiedz mi, co tam się wydarzyło.

Przez następne minuty siostra zdaje mi relację z przyjęcia, które przebiegało spokojnie aż do momentu, gdy niektórzy przesadzili z alkoholem. Jeden ze znajomych jubilatki, niejaki Grzegorz, miał się zachowywać na tyle natrętnie w stosunku do Zosi, że w pewnym momencie puściły jej nerwy.

– Wylałam na niego drinka, gdy popchnął mnie na ścianę i próbował zerwać ze mnie sukienkę. Spanikowałam, bo był ode mnie dużo większy i silniejszy. – Wzbiera we mnie gniew na samą myśl o tym, że moja siostrzyczka omal nie padła znów ofiarą nieumiejącego kontrolować swoich seksualnych żądz zwyrodnialca.

– Co było dalej? Błagam, powiedz, że nic ci nie zrobił...

– Nazwał mnie suką i chciał mnie uderzyć w twarz – wyjawia drżącym głosem Zosia. – Na szczęście w porę powstrzymał go jeden z kolegów. Wykorzystałam uwagę i uciekłam. Następnie odnalazłam w tłumie Staszka i o wszystkim mu powiedziałam. Cholera, niepotrzebnie to zrobiłam...

– Co ze Staszkiem? Zosiu...

– Nic. To znaczy, ma podbite oko i rozciętą wargę, ale tamten oberwał dużo bardziej. Martwi mnie jednak to, co wygadywali potem ten facet i jego kumple. – Młoda przełyka ślinę i dodaje: – Odgrażali się, że zabiją mnie i Staszka, a po wszystkim poćwiartują nasze ciała...

– Nie martw się, pewnie byli pijani i rozjuszeni – pocieszam ją, choć sam jestem chyba bardziej zdenerwowany niż ona. – Jutro pojedę do domu tej dziewczyny i porozmawiam z nią o tym zajściu. Może uda się jej zaaranżować spotkanie z tym kretynem i jego kumplami.

– Ale po co chcesz się z nimi spotykać? To niebezpieczne – sugeruje Zosia.

– Przecież nie mogę tego tak zostawić. Trzeba reagować na takie zachowania. Ci ludzie odbierają bierność jako przyzwolenie. A jeśli kolejną dziewczynę potraktują dużo gorzej?

Widząc moje wzburzenie, Zosia ściska mnie za dłoń i mówi ze spokojem:

– Nic takiego się nie stało. Przestań dramatyzować.

Ciągle drzę z nerwów i nie mogę się uspokoić. Zosia znalazła się w niebezpieczeństwie, a mnie nie było obok, by w razie czego zareagować.

– Koniec imprez z podejrzanymi znajomymi Elizy – oświadczam stanowczo.

– W ogóle z nią też chyba muszę się rozmówić. Nie podoba mi się to, że ma na

ciebie coraz gorszy wpływ. Dziewczyna ewidentnie się pogubiła i wpadła w złe towarzystwo.

– Może ostatnimi czasy za dużo pije, ale to wciąż moja najlepsza i jedyna przyjaciółka. Nie mogę się teraz od niej odwrócić. Potrzebuje mnie.

Czuję, że jeśli dalej będę się zachowywał jak przewrażliwiony opiekun, tylko zrażę do siebie Zosię. Żegnając się z nią zatem szybkim uściskiem i proszę, by nie szła spać zbyt późno. Gdy jestem już na korytarzu, dopada mnie poczucie, że powinienem był powiedzieć jej, co mi leży na wątrobie. Wracam więc w pośpiechu do kuchni i patrzę głęboko w oczy wciąż siedzącej przy stole siostrze. A potem mówię, starając się nie okazać przesadnie wzruszenia:

– Dopóki żyję, dopilnuję, by żaden zły mężczyzna cię nie wykorzystał. Możesz to uznać za dramatyzowanie i nadopiekuńczość, ale przed laty zobaczyłem na własne oczy, jakie potwory chodzą po tym świecie. Nikt nie ma prawa cię dotknąć bez mojej zgody. Czy to jasne? Kiedyś mi za to podziękujesz.

*

Z głębokiego snu wyrywa mnie przeraźliwy krzyk. Przez dłuższą chwilę siedzę na łóżku, przecierając zaspane oczy i próbując ustalić, czy ten odgłos był rzeczywisty, czy stanowił jedynie wytwór mojej podświadomości. Gdy jednak rozlega się ponownie, zrywam się z łóżka i wyskakuję niczym z procy na korytarz.

– ZOSIU! ZOSIU! – Biegnę w stronę jej pokoju, gdy nagle zza ściany wyskakuje jakaś wysoka ciemna postać. – Co do chole... – urywam, gdy nieznajomy uderza mnie w twarz z taką siłą, że momentalnie tracę równowagę i ląduję pośladkami na podłodze. Zanim orientuję się, co się dzieje, napastnik powala mnie na plecy i przygniata swoim masywnym cielskiem. Następnie zakleja mi usta grubą taśmą. To samo robi z rękami i nogami na wysokości nadgarstków oraz kostek. Po wszystkim ciągnie mnie za nogi do pokoju Zosi, z którego dobiegają jej coraz bardziej rozpaczliwe wrzaski. Wierzgam kończynami, desperacko próbując się uwolnić, ale nie jestem w stanie.

– TYTUS! POMÓŻ! – Słyszę siostrę i modłę się, by to wszystko działo się jedynie w mojej głowie. Pewnie za chwilę obudzę się złany potem i pobiegnę do pokoju Zosi, a ona będzie spała spokojnie w łóżku. Po kolejnym wrzasku zamykam oczy i powtarzam sobie w myślach, że to tylko sen. Gdy jednak rozchyłam powieki, spostrzegam stojących nade mną dwóch mężczyzn w kominiarkach i ciemnych kurtkach. Wspólnymi siłami podnoszą mnie i sadzają na ustawionym przy ścianie krzesle. Dopiero wtedy zauważam trzeciego, ubranego w czarną koszulkę napastnika, który leży na łóżku i masuje po łydkach skuloną i drżącą ze strachu Zosię. Na mój widok siostra wybucha płaczem, przez co zostaje spoliczkowana przez swojego oprawcę.

– Przestań wreszcie jęczeć!

Jego zachowanie do tego stopnia mnie rozsierdza, że impulsywnie podrywam się z krzesła i ruszam siostrze na ratunek. Niestety od razu ląduję twarzą na podłodze, na co nieznajomi reagują szyderczym śmiechem. Następnie dwóch z nich sadza mnie z powrotem na krzesle. Ze stresu szumi mi w głowie, a po ciele rozchodzą się silne dreszcze. Chryste, to nie może być jawa. Byliśmy już tacy szczęśliwi... Uporaliśmy się z bolesną przeszłością i z nadzieją patrzyliśmy w przyszłość. Dlaczego znowu przytrafia nam się coś tak okrutnego?!

– Ty sobie popatrzysz, a my zajmiemy się twoją siostrą – mówi jeden z nich, podczas gdy drugi okleja mnie taśmą na wysokości torsu i przymocowuje do oparcia krzesła.

Wskakują na łóżko i próbują dobrać się do mojej przerażonej siostry. Łzy ciekną mi po policzkach na widok jęczącej ze strachu małej, która bezskutecznie próbuje od siebie odpędzić napierających na nią napastników. Nagle ten w czarnej koszulce zrywa z niej spodenki od pizamy i rozchyła jej siłą nogi. Serce omal wyskakuje mi z piersi, gdy przykładą obie dłonie do jej ud i przejeżdża nimi powoli w stronę krocza. Tymczasem pozostała dwójka siedzi obok i wszystkiemu się przygląda. Zupełnie jakby czekali na swoją kolej.

– NIE! ZOSTAW! AAA! – piszczy Zosia, po czym przejeżdża napastnikowi po ramieniu długimi paznokciami. Ten wydaje z siebie głośne syknięcie i uderza moją siostrę w twarz.

– Popierdoliło cię, kurwo?! – Masuje się po ramieniu, odsłaniając tatuaż z wizerunkiem trupiej czaszki. Chwilę później rozpina spodnie i opuszcza je do kolan. Błagam go, by zostawił moją siostrę w spokoju, ale ze względu na zaklejone usta wykrzykiwane przeze mnie słowa zlewają się w niezrozumiałe szmer.

– TYTUS! – Przerazona i bezradna mała wybucha płaczem, gdy oprawca jedną ręką gładzi ją po kroczu, a drugą się masturbuje. Zdesperowany kołyszę się wraz z krzesłem, naiwnie licząc, że upadek rozerwie taśmę. Rozsądek podpowiada mi, że nic nie wskóram, ale serce krzyczy, bym się nie poddawał. I wtedy jeden z mężczyzn, widząc moje wysiłki, schodzi z łóżka i kopie mnie mocno w łydki. A potem wyjmuje z kieszeni skórzany pokrowiec, z którego wysuwa ostry nóż myśliwski.

– Jeszcze jeden ruch, a wsadzę go twojej siostrzyczce w cipsko – cedzi przez zęby, przyciskając mi czubek ostrza do policzka. Nagle robi mi się ciemno przed oczami, jakby mój mózg, świadomy tego, że nie mogę pomóc Zosi, postanowił oszczędzić mi bolesnych widoków. Przez kolejne minuty błądzę w mroku, wysłuchując jej jęków i warknięć zwyrodnialców. Jestem całkowicie bezradny. Znów zawiodłem jako brat i opiekun. Przegrałem. To koniec.

Gdy odzyskuję wzrok, widzę trzech potworów wciąż maltretujących półprzytomną Zosię i okładających ją pięściami po całym ciele. Moja siostra już nie jęczy. Przestała się też szarpać, jakby zaakceptowała swój los. Zrozpaczony zaciskam powieki najmocniej, jak tylko mogę, i uderzam energicznie tyłem głowy o ścianę. Chcę umrzeć. Nie mam już po co żyć. Po czymś takim i tak nie będę w stanie spojrzeć Zosi w oczy. Latami obiecywałem jej, że już zawsze będzie bezpieczna, i nie dotrzymałem słowa. Na co jej brat nieudacznik?

– Ej, no co ty... Oszalałeś?! – Jeden z napastników chwyta za przedramię faceta z tatuażem po tym, jak ten z całej siły uderza Zosię w twarz. – Chcesz ją zabić?! Nie taki był plan...

– Właśnie. Wystarczy. Spierdalajmy stąd – odzywa się trzeci.

Facet z tatuażem jeszcze przez dłuższą chwilę zaciska pięść, przyglądając się leżącej bezwładnie na plecach i straszliwie poobijanej Zosi. Moja biedna siostrzyczka ma tak spuchniętą i zakrwawioną twarz, że ledwo ją rozpoznaję. Wreszcie napastnik odpuszcza i zeskakuje z łóżka. Podczas gdy on zapina

spodnie, jeden z jego kompanów przewraca mnie wraz z krzesłem, a potem zadaje mi kilka nokautujących kopniaków w głowę. Zanim odpływam w nicość, słyszę rechot ludzi, którzy pozbawili nas szczęśliwej przyszłości, i o dziwo nie czuję już strachu. Nie obchodzi mnie, co zrobią ze mną. Najważniejsze, że jej nie zabili.

*

Odzyskuję przytomność na dywanie w dużym pokoju. Leżę przykryty wełnianym kocem i nie mam już związanych kończyn. Kątem oka zerkam na wiszący nad drzwiami zegar, który wskazuje za pięć piątą. To znaczy, że przespałem prawie całą noc, podczas gdy Zosia pozostawała zdana na łaskę tych bandytów. Zanim wstaję, cofam się myślami o kilka godzin i odtwarzam na nowo przerażające sceny z pokoju mojej siostry. A potem zaciskam zęby, powstrzymując się od wydania z siebie rozpaczliwego jęku. Czuję, że jeśli to zrobię, wpadnę w histerię i postradam zmysły. Nie mogę się teraz załamać. Muszę odnaleźć Zosię i czym prędzej zawieźć ją do szpitala.

Czuję, jakby płonął mi każdy fragment ciała i mam ochotę wyć z bólu. Mimo to zmuszam się do tego, by wstać i wykonać pierwszy krok w stronę korytarza. W ostatniej chwili spostrzegam leżącą na dywanie i zgiętą w pół kartkę papieru. Z trudem pochylam się i ją podnoszę.

– Boże... – wzdycham po przeczytaniu pierwszego zdania, które brzmi: „Dłużej nie dam rady tak żyć”. – Nie... Boże... Zosiu! ZOSIU!

Upuszczam kartkę na podłogę i biegnę do pokoju Zosi, nie bacząc na zawroty głowy, mdłości i rozrywający mnie od środka ból. Muszę ją znaleźć i powstrzymać przed popełnieniem ogromnego błędu. Gdy nie zastaję jej w swoim pokoju, sprawdzam pozostałe. Pusto. Została łazienka. Zanim naciskam na klamkę, w głowie wybrzmiewa mi dalsza część krótkiego listu. Mała napisała w nim: „Nie obwiniaj się za to. Kocham cię. Proszę, żyj. Jeśli nie dla siebie, to ze względu na pamięć o mnie. I spróbuj być szczęśliwy”.

– Proszę, tylko nie zrób nic głupiego – mruczę pod nosem, po czym wchodzę do łazienki i rzucam się na Zosię leżącą w wannie wypełnionej czerwoną wodą. – NIEEEE! – Wyrywam jej z dłoni brzytwę i unoszę bezwładne ciało. Następnie kładę siostrę na podłodze i mocno nią potrząsam, starając się

ocucić. – ZOSIU, BOŻE! ZOSIU, OTWÓRZ OCZY! ZOSIU, PROSZĘ! –
Zaczynam już tracić nadzieję, gdy Zosia powoli rozchyła powieki i sprawia, że
wydaję z siebie jęk ulgi. – Zosiu, zostań ze mną. Wytrzymaj. – Głaszczę ją po
policzku drżącą dłonią. – Zawiozę cię do szpitala. Wszystko będzie dobrze,
tylko nie usypiaj. Proszę, postaraj się mieć otwarte oczy. To bardzo ważne,
byś... Zosiu... Zosiu, nie zasypiaj. Zosiu, obudź się! Otwórz oczy, proszę cię...
Zosiu, na litość boską... Otwórz oczy! ZOSIU, OTWÓRZ OCZY! DO JASNEJ
CHOLERY, ZOSTAŃ ZE MNĄ! KURWA! POMOCY! NIE! ZOSIU! BOŻE,
NIE! RATUNKU!

ROZDZIAŁ 4

OBECNIE

– Przepraszam za prośbę, ale czy mógłbym pobyc chwilę sam? – pytam łamiącym się głosem poruszoną moją opowieścią Julię. Wtedy ta podnosi się z krzesła, zgarnia filiżankę kawy i odpowiada troskliwym tonem:

– Oczywiście. Proszę się nie spieszyć. Pójdę po coś do jedzenia i zajrzę do pana za jakiś czas, dobrze?

– Dziękuję.

Gdy Julia znika za drzwiami, pozwalam sobie na pierwszy od dziesięcioleci prawdziwy płacz. Poczucie winy ciążyło mi tak bardzo, że teraz łzy ciekną mi po policzkach strumieniami. Przywołuję w myślach wspomnienia najszcześniejszych chwil spędzonych z Zosią. Moja małeńka siostrzyczka była dla mnie wszystkim. Po jej śmierci wpadłem w mroczną otchłań, z której już nigdy się nie wydostałem. Nie zliczę, ile razy chciałem odebrać sobie życie. Niemal codziennie stawałem na stole z zaciśniętą wokół szyi pętlą i przywiązaną do żyrandola końcówką sznura. Od haniebnej śmierci dzielił mnie jeden krok. Mimo to nigdy go nie wykonałem. Każda próba kończyła się zdjęciem pętli i powtarzaniem sobie jak mantry ostatnich słów Zosi: „Proszę, żyj. Jeśli nie dla siebie, to ze względu na pamięć o mnie”. Miesiącami wegetowałem, zadając sobie pytanie: co zrobić, by normalnie funkcjonować? Czułem, że właśnie tego chciała dla mnie siostra. Nie mogłem jej znowu zawieść. Zrobiłem to wystarczająco wiele razy. Nasilająca się rozpacz z każdym dniem coraz silniej pchała mnie jednak ku ciemności. I gdy wydawało mi się, że dłużej już nie wytrzymam, dostrzegłem jasne światło na końcu tunelu. Pojawiła się we mnie nadzieja na wybawienie.

Około dwudziestu minut później siostra Dominika zagląda do środka przez uchylone drzwi.

– Wszystko dobrze, proszę pana?

– Tak, nic mi nie jest. Widziała siostra gdzieś może panią Julię?

– A widziałam. Siedzi na krześle i pyta, czy jest pan gotowy kontynuować rozmowę.

– Jestem. Proszę ją zaprosić – odpowiadam, a wtedy pielęgniarka wycofuje się, robiąc przejście dla Julii.

– Mogę? – pyta nieśmiało.

– Tak, tak.

Julia przekracza próg z dużym kubkiem w lewej dłoni i zamyka za sobą drzwi.

– Nie przesadza pani z kofeiną? – pytam żartobliwie.

– To herbatka z melisy. I nie dla mnie, a dla pana. – Stawia ją na stoliku, a następnie siada na krześle i posyła mi pełne współczucia spojrzenie.

– Już lepiej?

– Lepiej. Przepraszam za to niepotrzebne przedstawienie.

– Nie musi pan przeproszać. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, przez co pan przeszedł. Przyznam, że ze wszystkich morderstw, o których wspomniano w trakcie procesu, paradoksalnie najbardziej wstrząsnęło mną właśnie to niepopelnione przez pana – wyznaje. – Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia.

– Dziękuję. Wie pani, niektórym tak łatwo przychodzi wyznawanie innym miłości. Czasem wystarczy letni romans czy parę wspólnych spacerów, by z czyichś ust padły słowa: „Kocham cię”. Oczywiście rozumiem, że każdy z nas jest inny i ma prawo do swoich uczuć. Wierzę jednak, że tak naprawdę miłość znają tylko ci, którzy bezpowrotnie utracili ukochaną osobę. – Pociągam nosem i kontynuuję: – Nie ma większego bólu niż rozrywająca serce świadomość, że już nigdy nie przytulimy bliskiej osoby, nie przeprosimy jej za wszystkie błędy i nie dostaniemy szansy na ich naprawienie. Utrata Zosi roztrzaskała mnie na drobne kawałeczki i do dziś nie posklejałem ich w całość.

– A jednak pan przetrwał – zauważa Julia.

– Zgadza się. A wie pani dlaczego? Paradoksalnie właśnie wtedy, w chwilach największej żałoby, kochałem Zosię najmocniej. Ta miłość do niej pomogła mi się otrząsnąć z szoku i stanąć na nogi. A gdy jakiś czas później

pojawiła się szansa na pomszczenie siostry, zrozumiałem, że los chciał, bym walczył o sprawiedliwość i harmonię na świecie.

– Harmonia... Coś podobnego często pojawia się w pana wypowiedziach z czasu procesu – stwierdza przeglądająca notatki Julia. – Przekonywał pan, że, cytuję, „każda zbrodnia, która pozbawia życia niewinną osobę, powinna zostać zrównoważona poprzez złożenie ofiary”. Czy to dlatego z zimną krwią zamordował pan Elizę Kubiak?

– Nie. Proszę mnie zrozumieć...

– Dlaczego właśnie ją? Nigdy nie podał pan powodu – wchodzi mi w słowo Julia.

– To dlatego, że nikt nie chciał mnie słuchać. Wszyscy wydali już na mnie wyrok. Nikogo nie interesowała prawda.

– Mnie teraz interesuje – oświadcza poważnym tonem Julia. – Chcę wiedzieć, co tak naprawdę wydarzyło się w sobotę czternastego czerwca osiemdziesiątego roku.

– Najpierw streszczę pani poprzedzające ten dzień miesiące. Po pogrzebie Zosi zaszyłem się w domu i straciłem pracę. Przez pewien czas moimi jedynymi łącznikami ze światem zewnętrznym byli przynosząca mi jedzenie i pomagająca w sprzątanii Eliza oraz na bieżąco donoszący mi o postępach w śledztwie milicjanci. Z czasem, gdy śledztwo utknęło w martwym punkcie, ci drudzy przestali przychodzić.

– No właśnie, nigdy nie ustalono tożsamości mężczyzn, którzy napadli was tamtej nocy...

– Śledczy nie ustalili – precyzuję. – Gdy okazało się, że facet, który dobierał się do Zosi na pamiętnej imprezie, ma wraz z kolegami mocne alibi, śledztwo kompletnie się posypało. Na szczęście mi udało się odkryć prawdę. I dopilnowałem, by sprawiedliwości stało się zadość.

– Mordując najlepszą przyjaciółkę pańskiej siostry? – Julia wpatruje się we mnie z niezrozumieniem.

– Przyjaciółkę, przez którą Zosia popełniła samobójstwo.

Moje wyznanie sprawia, że Julia unosi wysoko brwi i poprawia się na krześle.

– Twierdzi pan, że Eliza...

– Do wszystkiego mi się przyznała. Ale po kolei. Po śmierci Zosi to właśnie Eliza stała się dla mnie najbliższą osobą. Nie tylko pomagała mi w domu, ale często wspominała ze mną Zosię i razem ze mną ją opłakiwała. To również ona po kilku miesiącach zamknięcia przekonała mnie do odwiedzenia grobu Zosi. Pamiętam, jak masowała mnie po plecach, gdy zapłakany leżałem tułowiem na płycie i przepraszałem Zosię za to, że ją zawiodłem. Byłem wdzięczny Elizie, że wyciągnęła do mnie przyjacielską dłoń w tym trudnym czasie. Dopingowałem ją też w sprawie Piotrka. Eliza na bieżąco donosiła mi o rozwoju ich relacji. Cieszyłem się ich szczęściem. Wierzyłem, że Zosia właśnie tego by dla nich chciała. A potem...

– *Co potem?* – naciska Julia.

– Był początek maja, gdy zebrałem się wreszcie na odwagę, by uporządkować rzeczy w pokoju Zosi. Zrobiłem to za radą Elizy, która uważała, że moja siostra pragnęłaby, bym jak najszybciej ruszył naprzód i zawalczył o szczęście. Według niej pierwszym krokiem powinno być posprzątanie pokoju Zosi. Długo się przed tym wzbraniałem, bo pochowanie jej rzeczy do pudeł i wyniesienie ich na strych było dla mnie równoznaczne z wymazaniem pamięci o niej. Zdecydowałem się to zrobić po kilku przepłakanych nocach, gdy rozpacz sięgała już zenitu. W posrebrzanej szkatułce, która stała na biurku Zosi, znalazłem jej wspólne zdjęcie z Elizą. Tuliły się do siebie i szeroko uśmiechały. Wyglądały na szczęśliwe. Uznałem, że przyjaciółka siostry powinna mieć tę fotografię. Wsiadłem więc w samochód i pojechałem do centrum. Zaparkowałem nieopodal kamienicy, w której mieszkała z rodzicami. Gdy wyszedłem z samochodu i ruszyłem w stronę głównych drzwi, spostrzegłem wychodzących z budynku trzech barczystych mężczyzn. Jeden z nich, łysy i gładko ogolony na twarzy, ubrany był w szary podkoszulek, a na ramieniu miał tatuaż z wizerunkiem trupiej czaszki. Nagle powróciły do mnie wszystkie koszmarne wspomnienia. Znowu byłem płaczącym z bezsilności bratem, który mógł tylko patrzeć, jak trzech zwyrodniałców gwałciło i biło jego siostrę.

– Co pan zrobił?

– Przez mniej więcej pół minuty stałem nieruchomo i zmuszałem się do tego, by nie rzucić się na nich z pięściami. A potem, niezauważony przez nich, wróciłem do samochodu. Zanim udało mi się wyjść z szoku, ci zwyrodnialcy

ulotnili się. Pojechałem więc do domu, by w spokoju ustalić plan działania. Zdecydowałem, że nie powiem o niczym Elizie. Miałem już podejrzenia, że mogła być jakoś zamieszana w napad na nasz dom. Tak, wiem, co chce pani powiedzieć: to, że ci faceci wyszli z kamienicy, w której mieszkała, nie czyniło jej jeszcze ich współniczką.

– Nic nie mówię. Proszę kontynuować.

– Uznałem, że będzie najlepiej, jeśli poobserwuję Elizę i spróbuję ją nakryć z tą trójką. Musiałem mieć pewność, że ich zna. Godzinami obserwowałem więc jej kamienicę i chodziłem za nią po mieście. Któregoś razu Eliza zauważyła mnie po drugiej stronie ulicy. Na szczęście nie zorientowała się, że ją śledziłem. Innym razem spotkaliśmy się na schodach w kamienicy. Na wszelki wypadek miałem przy sobie zdjęcie, które znalazłem w pokoju Zosi, więc nakłamałem Elizie, że akurat szedłem do niej, by jej wręczyć. Minęły dwa tygodnie, a po facecie z tatuażem i jego kumplach nie było śladu. Zacząłem już tracić nadzieję, gdy los ponownie postawił ich na mojej drodze. Widziałem na własne oczy, jak Eliza wychodziła w ich towarzystwie z kamienicy, a następnie wsiadała do białego poloneza. Dużo ryzykowałem, śledząc ich przez wiele kilometrów, ale na szczęście ani razu nie zorientowali się, że siedzę im na ogonie.

– Co pan ustalił? – pyta zaciekawiona Julia.

– W ciągu następnego tygodnia Eliza spędziła z nimi cztery wieczory w starym domu na obrzeżach Chełma. Za każdym razem wychodziła z niego kompletnie pijana lub naćpana. A może jedno i drugie? W każdym razie gdyby nie pomoc prowadzących ją do auta mężczyzn, pewnie nie byłaby w stanie utrzymać pionu. Ostatniego wieczora, gdy czałem się za drzewem w pobliżu domu, widziałem, jak wstawiona Eliza całuje się z facetem z tatuażem.

– Chwileczkę... Czy ona przypadkiem nie spotykała się w tamtym okresie z Piotrkim?

– Owszem. Przyprawiała mu rogi z facetem, który brutalnie zgwałcił Zosię i omal mnie nie zabił. Oczywiście niczego to jeszcze nie przesądzało, ale miałem solidne podstawy, by sądzić, że Eliza zleciła napad na Zosię. Przez kolejne tygodnie pragnienie poznania prawdy stało się moją obsesją. Dniami i nocami myślałem o tym, jak zmusić Elizę i jej kumpli do gadania. Byłem

nawet bliski zaangażowania w to Piotrka. Na szczęście w porę z tego zrezygnowałem. Nie potrzebowałem go w to mieszać i ryzykować, że ci brutalnie coś mu zrobią. Musiałem działać w pojedynkę. Początkowo rozważałem wprowadzenie któregoś z napastników i zmuszenie do przyznania się do wszystkiego. Uznałem to jednak za zbyt ryzykowne.

– Porwał więc pan Elizę, a ta potwierdziła pańskie przypuszczenia – odzywa się dziennikarka, a ja kiwam potakująco głową. – A gdyby dziewczyna okazała się niewinna? Miał pan pięćdziesiąt procent szans...

– Doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. Zakładałem jednak, że jeśli zyskałbym pewność, iż Eliza nie miała nic wspólnego z napaścią, to udałoby mi się jej wszystko na spokojnie wyjaśnić. Na pewno byłaby wstrząśnięta na wieść o tym, że jej bliski znajomy dopuścił się takiej potworności. Liczyłem, że w takiej sytuacji stanęłaby po mojej stronie.

– A jednak tego nie zrobiła – stwierdza z delikatnym uśmiechem Julia.

– To prawda, nie zrobiła... Mało tego: tak wszystko pokomplikowała, że nie miałem wyboru. Musiałem ją wyeliminować.

ROZDZIAŁ 5

ROK 1980

Już drugą godzinę siedzę w aucie w pobliżu kamienicy i powoli tracę nadzieję na to, że Eliza wyjdzie jeszcze dziś z domu. Dochodzi bowiem ósma, a zwykle facet z tatuażem i jego kumple odbierają ją przed siódmą. Postanawiam jednak poczekać jeszcze przynajmniej godzinę. Lepsze to niż gnienie w pustym domu, gdzie wszystko przypomina mi o Zosi.

Przed dziewiątą, gdy słońce zachodzi na horyzoncie, oddycham z ulgą na widok wychodzącej z budynku dziewczyny. Ubrana w krótką spódniczkę i cienką białą koszulkę maszeruje szybko chodnikiem w stronę przystanku autobusowego. Nie wiem, co planuje, i szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Najważniejsze, że jest sama. Mam szansę ją przechwycić i unieszkodliwić. A potem wywieźć w odludne miejsce, najlepiej w okolicę lasu Borek, i przesłuchać.

Okrażam bocznymi uliczkami przystanek, na który zmierza moja ofiara. Chcę bowiem wyjechać z przeciwległej strony, by móc ją okłamać, że właśnie się do niej wybierałem. Wkrótce zatrzymuję auto po drugiej stronie ulicy, na wysokości przystanku. Na szczęście oprócz Elizy nikogo na nim nie ma. W pośpiechu opuszczam więc szybę i macham do przyglądającej mi się podejrzliwie dziewczyny. Dopiero po chwili mnie rozpoznaje i przebiega przez ulicę.

- Dzień dobry. A co pan tu robi?
- Jechałem do ciebie. Wsiadaj, póki nikogo za mną nie ma – poganiam ją.
- Ale ja jadę w przeciwnym kierunku.
- Nie szkodzi, zawrócę.
- W porządku – odpowiada Eliza, po czym okraża pojazd i otwiera drzwi od strony pasażera. Wtedy robię woltę i dociskam gazu.

– To dokąd się wybierasz?

– Do Piotrka. Ostatnio rzadko się widujemy, więc pomyślałam, że zrobię mu niespodziankę i spędzę z nim tę noc – wyjaśnia.

– To znaczy, że Piotrek nie wie, że do niego jedziesz?

Dziewczyna marszczy lekko brwi i odpowiada:

– No nie. Przecież powiedziałam, że to ma być niespodzianka. A dlaczego pan pyta?

– Eee... Bo widzisz, mężczyźni nie lubią być zaskakiwani. Zdecydowanie wolą poczucie, że mają nad wszystkim kontrolę i panują nad sytuacją.

– Sugeruje pan, że powinnam wrócić do domu?

– Teraz to już za późno. Natomiast zapamiętaj to sobie na przyszłość: rządź swoim partnerem tak, by wydawało mu się, że to on rzędzi tobą – prychem, a wtedy ona pyta, w jakiej sprawie postanowiłem ją odwiedzić. – Chciałem z tobą porozmawiać na temat organizacji kameralnego przyjęcia upamiętniającego dzień urodzin Zosi – okłamuję ją.

– Urodzin? Ale przecież to dopiero we wrześniu – zauważa Eliza.

– Tak, ale pomyślałem, że dobrze byłoby już teraz ustalić pewne szczegóły. Pomyślałem o jednodniowej wycieczce nad jezioro Białe i wypuszczeniu nad jeziorem lampionów ku pamięci Zosi. Tylko ty, ja, Piotrek i Staszek. Zosia tak dobrze wspominała tamten tydzień... Co o tym myślisz? – zagaduję ją na tyle skutecznie, że chyba nie zauważa, iż zjechaliśmy z głównej drogi.

– Brzmi ciekawie, ale nie musimy się z tym aż tak spieszyć. Możemy spokojnie wrócić do tematu pod koniec sierpnia.

– Może masz rację... Niepotrzebnie jestem taki nadgorliwy, ale to dlatego, że wciąż nieustannie myślę o Zosi i nie pogodziłem się z tą stratą.

– Ja też nie. I pewnie jeszcze prędko nie pogodzę – wyznaje. – Natomiast nie możemy ciągle kurczowo trzymać się przeszłości. Pamiętaj pan, co sobie obiecaliśmy?

– Tak. Będziemy starali się normalnie żyć. Dla Zosi.

– Dla Zosi – powtarza Eliza, po czym rozgląda się dookoła i mówi: – Zaraz... Na pewno jedziemy do Piotrka? Wydaje mi się, że...

Zorientowała się. A to oznacza, że rozpoczynamy zabawę.

– Spokojna głowa. Jeździłem do niego wiele razy. Znam trasę.

– Ale... Przecież Piotrek mieszka przy Żeromskiego, a my właśnie minęliśmy plac Tysiąclecia i – spogląda na przymocowaną do jednego z budynków tabliczkę – wjechaliśmy w Słowackiego. Jedziemy w przeciwnym kierunku – zauważa.

– Naprawdę? – Drapię się po głowie. Muszę czym prędzej znaleźć jakąś boczną uliczkę. Eliza nie jest głupia i lada chwila zwęszy podstęp.

Dociskam pedał gazu i przejeżdżam przez skrzyżowanie ulic Słowackiego i Odrodzonego Wojska Polskiego. Moja pasażerka już trzeci raz prosi, bym się zatrzymał i pozwolił jej wysiąść, ale ignoruję ją i skręcam w ulicę Wspólną.

– Wybacz, zgubiłem się. Wszystko mi się pomyliło. To dlatego, że od śmierci Zosi tak rzadko wychodzę z domu...

– Jak można pomylić ulice w mieście, w którym żyje się od tylu lat?! – pyta wyraźnie podenerwowana Eliza, po czym przykłada dłoń do klamki. – Chcę wysiąść.

– Spokojnie, pozwól chociaż, że zjadę na pobocze. – Rozglądam się za odpowiednim miejscem i zauważam wolną przestrzeń przy gęstych krzakach. A potem skręcam gwałtownie w prawo i parkuję auto prostopadle do ulicy. Za trzy sekundy Eliza otworzy drzwi i wybiegnie. Teraz albo nigdy.

– Eliza... – Ściskam ją za przedramię, gdy jest już jedną nogą za pojazdem.

– Ej! To boli! – jęczy zaniepokojona dziewczyna.

– Eliza, spokojnie...

– Co ty robisz?! Puszczaj! POMO... – Uderzam ją z całej siły łokciem w głowę, zanim zdąży dokończyć i niepotrzebnie zwrócić czyjąś uwagę. Zszokowana dziewczyna masuje się po potylicy i wpatruje we mnie z niedowierzaniem. Wtedy zaciskam pięść i trafiam ją w lewe oko. Oszołomiona wydaje z siebie cichy, długi jęk.

– Przepraszam. Robię to dla Zosi – mówię, a następnie uderzam ją w twarz chyba z pięć razy. Przestaję, gdy nieprzytomna Eliza pochyła się w prawo i opada na drzwi, uderzając głową w szybę. Chryste, a jeśli przesadziłem? Na wszelki wypadek sprawdzam puls. Dzięki Bogu żyje. Niestety tak ją urządziłem, że nawet jeśli jakimś cudem uda nam się obrąć wspólny front w sprawie faceta z tatuażem, to nie mam pojęcia, jak dziewczyna wytłumaczy się ludziom ze swojej poobijanej twarzy.

Zanim odjeżdżam, związuję jej mocno ręce w nadgarstkach i zaklejam usta. W dalszej kolejności układam ją tak, by jej głowa znajdowała się poniżej poziomu szyby. Dopiero wtedy odpalam silnik i wycofuję syrenę z powrotem na ulicę. Następnie ruszam w kierunku lasu Borek, modląc się, by po drodze nie przytrafiło mi się nic niepożądanego, jak zatrzymanie przez drogówkę czy przebudzenie Elizy. Przede mną około sześciu piekielnie stresujących kilometrów. Najważniejsze to zachować spokój i nie popełnić żadnego błędu.

Wkrótce parkuję syrenę przy leśnej dróżce, pomiędzy starymi, wysokimi drzewami. Gdy wyłączam silnik i gaszę światła, momentalnie spowija mnie ciemność. Następnie wysiadam z pojazdu i przez mniej więcej minutę wsłuchuję się w leśną ciszę, którą przełamują szum targanych przez wiatr koron drzew i sporadyczne śpiewy ptaków. Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy tu sami. Czas obudzić śpiącą królową.

– Eliza – powtarzam jej imię, poklepując ją po policzkach i świecąc jej w twarz latarką. Gdy to nie pomaga, chwytam ją za ramiona i mocno nimi potrząsam. – Pobudka!

– Mmm... – Dziewczyna cicho mruczy, a gdy zrywam jej z ust taśmę, rozchyła powieki i podrywa się z siedzenia. – Pomocy! Pomocy!

– Morda! – Chwytam ją dłonią za twarz i wgniatam palce w policzki. Eliza jęczy z bólu, a oczy zachodzą jej łzami. – Siedź cicho albo znów ci zakleję gębę.

– Nie! Proszę, nie...

– Morda, powiedziałem! – Potrząsam nią, a wtedy ona zaciska powieki, powstrzymując się od płaczu. Odczekuję chwilę, po czym wysiadam z auta, okrążam je i otwieram drzwi od jej strony. – Mamy sobie do pogadania. Idziemy. – Szarpię ją za prawe ramię i wyciągam z pojazdu.

Po pokonaniu kilku kroków przyjaciółka siostry traci równowagę i upada na kolana.

– Boli! – piszczy, gdy zmuszam ją do wstania.

– Bądź posłuszna, to cię nie skrzywdzę – syczę, sadzając ją pod jednym z drzew. Następnie daję jej czas na ochłonięcie, w milczeniu krążąc wokół drzewa ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Gdy Eliza w końcu przestaje nerwowo pojękiwać, rozpoczynam przesłuchanie: – Kim jest facet z wytatuowaną czaszką na ramieniu?

– K-kto?

– Nie udawaj, że nie wiesz. – Świecę na nią z góry latarką. – Spotykasz się regularnie z nim i jego kumplami w domu pod Zawadówką.

– J-ja n-nie...

Nie wytrzymam dłużej tych kłamstw. Nie dam rady. Wzburzony chwytam ją obiema dłońmi za głowę i uderzam jej tyłem o pień. Z ust Elizy wydobywa się ciche westchnięcie, po którym na moment odpływa.

– Pobudka. – Szarpię ją za kołnierz koszulki tak długo, aż otwiera oczy. – Eliza, musisz mi powiedzieć całą prawdę. Koniec z sekretami. Sprawy zaszły za daleko. Gadaj, kim jest facet z tatuażem.

Dziewczyna zagryza mocno dolną wargę i mierzy mnie nienawistnym spojrzeniem. Widzę, jak bardzo nie chce mnie wtajemniczać w szczegóły spisku, który zawiązała przeciwko Zosi. Nie mam już złudzeń, że wynajęła tych bydlaków, by włamali się do naszego domu. Chcę to jednak od niej usłyszeć. Tymczasem ona milczy jak zaklęta, jakby nie wierzyła, że będę w stanie ją jeszcze bardziej skrzywdzić. Muszę jej udowodnić, że zrobię wszystko, by poznać prawdę. Unoszę więc rękę z zaciśniętą pięścią i szykuję się do zadania jej ciosu.

– Nazywa się Sławek Dudek. Pozostała dwójka to Borys Maciejak i Andrzej Kostecki – wyjawia wreszcie ochryplym głosem Eliza, a ja luzuję pięść.

– Skąd ich znasz?

– Poznałam Sławka jakieś dwa lata temu na imprezie. Później on wkręcił mnie w swoje towarzystwo.

– Zosia nigdy mi o nich nie wspominała. Ćpała z wami? Gadaj!

Eliza reaguje na moje pytanie złowieszczym uśmiechem.

– Teraz rozumiesz dlaczego trzymała to przed tobą w tajemnicy – mówi cicho, a ja w odpowiedzi policzkuję ją, by wyładować rozsadzający mnie od środka gniew.

– Pierdolisz! Zosia nigdy nie wzięłaby narkotyków. Wiele razy o tym rozmawialiśmy i wiedziała, jaki mam do tego stosunek.

– Cóż, najwyraźniej nie znałeś jej wystarczająco dobrze – prycha. Odnoszę wrażenie, że czerpie przyjemność z prowokowania mnie.

– Mów prawdę, kurwa! – Szarpię ją za koszulkę. A gdy pluje mi w twarz, uderzam ją w drugi policzek. – MÓW!

Z twarzy Elizy natychmiast znika rozbawienie.

– Dobra, dobra... Zośka nigdy nie ćpała, przynajmniej nie ze mną. W zasadzie to nie wiedziała o moich imprezach ze Sławkiem. Nawet go nie poznała. Gdybym jej o wszystkim powiedziała, zamęczałaby mnie kazaniami i próbowała zmusić do zerwania kontaktu z chłopakami.

– Czy nasłałaś ich na nas po imprezie u kuzynki?

– Nie – mruczy pod nosem Eliza.

– Mów prawdę albo... – Ponownie zaciskam pięść i unoszę rękę.

– Przecież mówię, do cholery – syczy mi w twarz kurwa, którą latami dopuszczałem do swojej siostrzyczki. Wiem, że kłamię, dlatego znowu chwytam ją za głowę i uderzam nią o pień. Eliza krzywi się z bólu, ale po chwili znowu uśmiecha. Uderzam więc kolejne dwa razy.

– Nie kłam, kurwo, albo następnym razem roztrzaskam ci czaszkę!

– Nie nasłałam ich! – Dziewczyna idzie w zaparte, rozsierdzając mnie do granic możliwości. Mam ochotę wydrzeć się na nią na cały las, ale wiem, że muszę być ostrożny. A nuż gdzieś w mroku czai się jakiś przypadkowy przechodzień?

Przez następną minutę krążę wokół drzewa, oddychając ciężko i zastanawiając się, co powinienem zrobić. A jeśli Eliza naprawdę nie ma nic wspólnego z napaścią? Im bardziej ją skrzywdzę, tym mniej będzie skłonna do współpracy.

„Myśl, kurwa, myśl” – dudni mi głos w głowie. Już wiem, co zrobię.

– Wiesz, rozsądnie byłoby ci uwierzyć. Nie mogę przecież z góry zakładać, że wszyscy ludzie są potworami – mówię, świecąc jej w twarz latarką i mierząc z góry surowym spojrzeniem. Gdy Eliza nieco się uspokaja, kucam przy niej i przejeżdżam jej palcami po przedramieniu. – Spotkałem jednak w życiu wystarczająco wiele potworów, by już dawno zatracić resztki rozsądku – dodaję i uderzam ją w twarz tak mocno, że chyba roztrzaskuję jej kości policzkowe. – NASŁAŁAŚ ICH CZY NIE?!

Oszołomiona dziewczyna pochyła się do przodu i pluje krwią.

– Ty pojebańcu... – jęczy, a wtedy z powrotem przyciskam jej głowę do pnia i syczę z zaciśniętymi zębami:

– Gadaj albo cię zatłukę! GADAJ!

– Dobra, kurwa, powiem wszystko, tylko się odsuń! – Gdy wstaję i cofam się na dwa kroki, moja ofiara wyznaje: – Poprosiłam ich, by nastraszyli Zośkę.

– Dlaczego? – Oślepiam ją blaskiem latarki. Eliza zaś parska śmiechem i odpowiada:

– Dlaczego? Ta szmata ukradła mi chłopaka, którego kochałam...

– Piotrka – rzucam, a wtedy ona przytakuje skinieniem głowy.

– Czyli ci powiedziała o moich uczuciach do niego? No tak, jasne, że tak... Nigdy nie umiała utrzymać języka za zębami – mówi z grymasem bólu na twarzy.

– Naprawdę postanowiłaś ją tak ukarać z powodu głupiego zawodu miłosnego?!

– Głupiego?! – Eliza robi krótką przerwę, gdy załamuje jej się głos. – Zośka wiedziała, że kochałam go od lat. Byliśmy sobie pisani. Nikt nie miał prawa nas rozdzielić. A już na pewno nie moja najlepsza przyjaciółka. – Pociąga nosem, z którego sączy się krew. – Ufałam jej, a ona wbiła mi nóż w plecy.

– Dlaczego nigdy jej tego nie powiedziałaś? Zosia była przekonana, że o niczym nie wiesz.

– Ja?! Dlaczego ona tego nie zrobiła?! – pyta wzburzona.

– Bała się, że nie zrozumiesz. Nie chciała cię stracić. Bardzo jej na tobie zależało...

– Gównu prawda. Gdybym cokolwiek ją obchodziła, nigdy nie rozłożyłaby nóg przed Piotrkiem! – wykrzykuje mi w twarz.

– Cicho. – Wyłączam latarkę i rozglądam się wkoło. Choć nie dostrzegam w ciemności żadnych ruchów i nie słyszę podejrzanych odgłosów, to wiem, że nie powinienem zbyt długo przetrzymywać tu Elizy. – A zatem przyznajesz, że to przez ciebie Zosia nie żyje?

– To jakiś żart? Nie kazałam jej podcinać sobie żył. Najwyraźniej miała już dość użerania się z wyrzutami sumienia – stwierdza rozbawiona, sprawiając, że znów wpadam w furję.

– Bawi cię to, kurwo?! – Rzucam się na nią i ściskam mocno za szyję. – Czy wiesz, co ci bandyci z nią wyprawiali?! Oni... – przerywam pod wpływem nagłego i silnego wzruszenia. – Zosia tak wiele przeszła i z trudem wyszła na prostą. A ty zgotowałaś jej kolejne piekło, jeszcze gorsze od poprzedniego!

– Powiedziałam im tylko, by ją nastraszyli pod nieobecność Piotrka i wybili jej go z głowy! – krzyczy Eliza, zanim podbijam jej lewe oko.

– KAZAŁAŚ IM JĄ SKATOWAĆ I ZGWAŁCIC! PRYZNAJ SIĘ!

– NIE!

– PRYZNAJ SIĘ! – Uderzam ją pięścią w prawy obojczyk. Wtedy ona przeraźliwie jęczy i wybucha płaczem.

– Nie kazałam im jej gwałcić. Sławek powiedział, że ich poniosło i gdy się opamiętali, było już za późno. – Jej wyznanie sprawia, że pęka mi serce. Odsuwam się i zanoszę szlochom, chowając twarz w obolałych i poranionych dłoniach. Chcę umrzeć. Nienawidzę tego świata. Pragnę być teraz przy Zosi. Tylko ona dawała mi szczęście.

– To i tak już bez znaczenia. Gdyby nie ty, Zosia wciąż by żyła... Jesteś zadowolona?

Eliza ciężko dyszy, plując krwią. Pół minuty później spogląda prosto w światło latarki i unosi wysoko kąciki ust.

– Jestem zachwycona. Ta zdradziecka kurwa zasługiwała na śmierć.

Każdy normalny człowiek na jej miejscu powiedziałby wszystko, byle tylko zadowolić swojego oprawcę i zmniejszyć ryzyko kolejnego wybuchu. Sęk w tym, że ta dziewczyna nie jest normalna. Jest przebiegłą, egoistyczną pizdą, która skazała na śmierć najlepszą przyjaciółkę. Nie odpuszczę jej. Musi ponieść najwyższą karę. Tylko tak na świecie zapanuje harmonia.

– Już po tobie – rzucam, po czym biegnę w stronę samochodu i otwieram bagażnik, z którego wyjmuję kij od łopaty. Rozkwaszę jej nim łeb. Będę walił tak długo, aż powstanie z niego bezkształtna papka w kałuży płynu mózgoworodzeniowego, a czaszka rozwali się na tysiące drobnych kawałeczków. Decyzja zapadła. Przyjaciółka Zosi sama skazała się na śmierć, nie okazując ani krzty skruchy. Jeśli puszcę ją wolno, nie spocznie, dopóki mnie nie pograży. Nie mogę do tego dopuścić. Ktoś musi zadbać o pamięć o mojej siostrze. Eliza zniszczyła już jedną niewinną osobę. Na tym koniec. Ściskam więc mocno kij w dłoni i zamykam bagażnik. A potem krocę nabuzowany w stronę drzewa, pod którym czeka na mnie świadoma nadchodzącej egzekucji ofiara.

A raczej czekała, bo teraz z przerażeniem stwierdzam, że nigdzie jej nie widzę. – Eliza? – wypowiadam jej imię, czując nagły przypływ paniki. – Eliza! – Nie... Jak mogłem być tak nieuważny i pozwolić jej uciec? – ELIZA, KURWA! – Adrenalina buzuje we mnie jak szalona, gdy wbiegam w leśną gęstwinę i gnam na oślep, licząc, że uda mi się ją dorwać. Musi przecież

gdzieś tu być. Nie mogła uciec daleko. Ma związane ręce i jest cała poobijana. Dorwę ją. Muszę się tylko uspokoić.

„Spokój” – powtarza mi głos w głowie. Zatrzymuję się więc i wyteżam słuch. Z początku dociera do mnie jedynie szum drzew. Po paru sekundach rozlega się jednak cichy trzask, jakby odgłos pękających gałęzi. Po nim następują kolejne.

– AUUU! – słyszę krzyk Elizy i wystrzeliwuję przed siebie niczym z procy.

Mam cię, kurwo. Naprawdę myślałaś, że mi uciekniesz? Zapłacisz za to.

Pół minuty później dostrzegam zarysowaną w ciemności sylwetkę. W pośpiechu wyjmuję z kieszeni spodni latarkę i świecę nią wprost na klęczącą na ziemi Elizę.

– Zostaw mnie! – Ma przerażoną minę i desperacko próbuje rozerwać taśmę na nadgarstkach, ocierając je o brzeg leżącego obok starego pnia. – NIE ZBLIŻAJ SIĘ!

Ignoruję jej krzyki i wyłączam latarkę. Następnie chwytam kij obiema dłońmi, podchodzę do niej i uderzam ją nim mocno w plecy. Eliza wydaje z siebie zduszony jęk, po którym kładzie się na boku i przybiera embrionalną pozycję.

– Wystarczyło okazać skruchę – mówię powoli, wpatrując się z góry w spowitą mrokiem zdziwę, która odebrała mi najcenniejszy skarb.

– Ja... żałuję. Nie chciałam. Przepraszam... Naprawdę żałuję! Gdybym tylko mogła cofnąć czas... Oni naprawdę mieli ją tylko nastraszyć! Nie wiedziałam, że to się tak skończy... Nie zabijaj mnie, błagam! – krzyczy Eliza. Chyba dotarło do niej, że jej czas dobiegł końca.

– Teraz już za późno. Nie wierzę ci. – Kopię ją w twarz. Napędzana instynktem przetrwania Eliza podejmuje jeszcze ostatnią próbę ucieczki. Jakimś cudem udaje jej się wstać i pokonać kilka kroków. – A dokąd to?! – Uderzam ją w plecy kijem, a wtedy ona traci równowagę i ląduje twarzą w ziemi. Przez dłuższą chwilę krąży przy niej niczym polujący na ofiarę sęp. Dziewczyna ciężko dyszy i próbuje się podnieść. Nie ma już jednak siły. Jej klęska stała się faktem. Mimo to nadal zaciska zęby i walczy. Imponuje mi jej charakter. Z właściwymi intencjami mogłaby działać wiele dobrego. Wielka szkoda, że w jej przypadku upór i determinacja idą w parze z całkowitym zepsuciem.

Nagle z tyłu głowy świta mi myśl, że popełniam błąd. Cholera, dlaczego akurat teraz, gdy podjąłem już decyzję? Szarpię się za włosy, gdy głos tłumaczy mi, że zabijając Elizę, stanę się dokładnie taki jak ona i jej kumple. Czy właśnie tego chciały dla mnie Zosia? Wiem, że nie. Moja siostra nie była mściwa i sprzeciwiała się przemocy. Wszystkie konflikty starała się rozwiązywać poprzez rozmowę. Jeden jedyny raz zabrakło jej odwagi, by otworzyć się przed przyjaciółką. W efekcie słono za to zapłaciła. „Zosia nie zasłużyła na to, co ją spotkało, ale przelewanie krwi winowajców nie zwróci jej życia” – grzmi głos. Boże, co zrobić?

– Mmm – mruczy coś pod nosem młoda. Odkładam więc kij i ponownie biorę do ręki latarkę.

– Co mówisz? – pytam, świecąc jej w twarz.

– Spier... dalej – wypowiada z trudem, unosząc lekko kąciki spuchniętych i zakrwawionych ust. To sprawia, że głos milknie, dając mi przyzwolenie na kontynuowanie tego, co zacząłem.

– Wiesz... Przez moment zrobiło mi się ciebie żal. Byłem nawet bliski oszczędzenia cię. – Przyciskam jej kij do pleców, a ona syczy z bólu. – Na szczęście szybko pozbawiłaś mnie złudzeń.

– Zabiję cię, śmieciu! – warczy Eliza i pluje krwią, zanim nokautuję ją potężnym uderzeniem kija w potylicę i wgniatam jej twarz w zimną, wilgotną ziemię. Następnie kucam i nasłuchuję jej oddechu. Dziewczyna wydaje z siebie trzy ciche chrypienia, a potem odpływa w nicość. Myślałem, że jej śmierć przyniesie mi natychmiastową ulgę. Tymczasem wzbiera we mnie furia spowodowana powracającymi wspomnieniami. Przenoszę się z powrotem do pokoju Zosi i przyglądam się nagim, gwałcącym ją oprawcom. Po chwili spoglądam w dół i orientuję się, że trzymam w dłoni kij. Tak! Los dał mi drugą szansę. Tym razem mogę ocalić Zosię przed tymi potworami. Podrywam się zatem z krzesła, robię duży zamach i roztrzaskuję czaszkę zwróconemu do mnie plecami i niczego nieświadomemu napastnikowi. Rozlega się gruchnięcie, po którym bandzior upada na podłogę, a jego kumple odrywają się od Zosi i ruszają mu na ratunek. Na szczęście z łatwością obu nokautuję.

– Nie martw się, Zosiu. Nic ci już nie zrobią – mówię kojącym głosem do kulającej się na łóżku i trzęsącej ze strachu siostry. Następnie zatrzymuję się

przy leżącym na plecach Sławku Dudku i przyglądam jego nabrzmiałemu penisowi. – Nie będzie ci już potrzebny – stwierdzam, po czym nadziewam mu energicznie końcówkę kija na krocze. Sławek wytrzeszcza oczy, a jego szeroko otwarte usta sprawiają, że wygląda, jakby krzychał. Nie wydaje jednak z siebie żadnego dźwięku. Szybkim ruchem rąk unoszę kij, a następnie rozgniatam mu nim to, co zostało z jego jąder. Kątem oka widzę, że jeden z jego kumpli próbuje wstać, dlatego dźgam go kijem, łamiąc mu zebra.

– AAA! – Bandzior kwiczy z bólu, a ja przenoszę uwagę z powrotem na Sławka. Skurwysyn jako pierwszy odważył się dotknąć mojej siostrzyczki. Nie daruję mu tego. Nie daruję! Napinam więc mięśnie i walę go kijem po całym ciele.

– ZABIJE! – warczę ogarnięty szałem, słuchając jego rozpaczliwych jęków. Jednocześnie wyobrażam sobie rodzinny dom, w którym wszyscy jesteście szczęśliwi i nigdy się nie kłócimy. W lodówce i szafkach nie ma butelek wódki, a dziadek od dawna nie choruje.

– Proszę... nie – słyszę gdzieś w oddali głos swojej ofiary, ale ignoruję go. Skupiam się na tacie, który wtula się w gotującą obiad mamę i pyta, czy może jej w czymś pomóc.

– Kotku, przecież ty nawet nie umiesz kroić chleba – żartuje mama, po czym składa na jego policzku długi, czuły pocałunek. – Zajmij lepiej czymś dzieci, dobrze?

– Dla ciebie wszystko.

– Błagam... nie... nie – pobrzmiwa echo rozpacz, ale odganiem je od siebie i wychodzę z tatą do ogrodu. Spędzamy razem cudowny czas. Gramy w piłkę i rozbawieni ganiemy się po trawniku. Jest też Wandzia, moja druga siostra. Siedzi na huśtawce, którą razem z tatą dla niej zbudowaliśmy, i macha do nas z szerokim uśmiechem na pyzatej buzi.

– Aaa... Aaa – dobija się do mnie charczący dźwięk wydawany przez konającego Sławka.

– Zostaw mnie! – krzyczę, starając się wyrzucić go z głowy. On jednak wybrzmiewa coraz głośniejsze i głośniejsze. Nie pozwolę, by Sławek wtargnął do mojego szczęśliwego życia i odebrał mi najbliższych. Drugi raz tego nie zrobi! – Odejdz! Wynocha! Nie! Zostaw...

Spanikowany wymachuję kijem na oślepię, odpędzając od siebie zło. A potem otwieram oczy i potrzebuję paru sekund, by oprzytomnieć. Otacza mnie ciemność, a po twarzy smyra mnie przyjemny ciepły wietrzyk. Wreszcie przypominam sobie, że przebywam w lesie Borek, do którego przyjechałem z Elizą. Cholera, Eliza! Niepewnie spoglądam w dół i gwałtownie odskakuję do tyłu na widok jej zmasakrowanego ciała. Następnie biorę do drżącej ręki latarkę i oświetlam jej twarz. A raczej to, co z niej zostało. Oba oczodoły i połowę czoła zajmuje głęboka dziura, z której sączy się czarna jak smoła krew. Jedna z ocalałych gałek ocznych przemieściła się w zagłębienie będące pozostałością po rozgniecionym nosie. Ponadto uderzenia kijem wybiły większość zębów i rozerwały skórę na policzkach i wokół ust, odsłaniając poharatane dziąsła. Kobieta nie przypomina już siebie. Ba, nie przypomina człowieka. Zmasakrowałem ją, choć nie taki był plan. Nie chciałem zostawiać śladów zbrodni. Wpadłem jednak w amok, do którego ona sama mnie doprowadziła. Wciąż jednak jest za wcześnie, bym odetchnął z ulgą. Najpierw muszę jak najszybciej przenieść ofiarę do bagażnika, zatrzeć ślady krwi i zakopać ją w jakimś odludnym miejscu. Długi wdech, długi wydech. Długi wdech, długi wydech. Rachunki wyrównane. To najważniejsze. Bez względu na to, co się ze mną stanie, na świecie znów zapanuje harmonia.

ROZDZIAŁ 6

OBECNIE

– Pewnie czuje pani do mnie teraz obrzydzenie, mam rację? – zwracam się do Julii, stojącej od mniej więcej trzech minut przy parapecie i wpatrującej się w widok za oknem. – Postąpiłem nieludzko, ale rozpacz budzi w ludziach bestialstwo, o istnieniu którego nie mieli pojęcia.

Po tych słowach Julia przenosi na mnie wzrok i posyła mi pełne współczucia spojrzenie.

– Przyznaję, słuchanie o tych potwornościach przychodzi mi z trudem, ale nie mnie pana oceniać. Niech zrobią to czytelnicy naszej książki – mówi, po czym wraca na miejsce i wertuje notatki. – A zatem Eliza Kubiak, której ciało zostało jako pierwsze odnalezione, była pana pierwszą ofiarą. Oczywiście nie uwzględniam pańskiego ojca, bo ustaliliśmy, że działał pan w obronie własnej.

– Zgadza się.

– Pozostańmy może jeszcze przy tamtym wieczorze – proponuje dziennikarka. – Chciałabym, żeby opisał pan ze szczegółami proces ukrycia zwłok. Jak powszechnie wiadomo, odkrył je dopiero w dziewięćdziesiątym piątym roku operator koparki, który kopał w tamtym miejscu dół pod fundamenty bloku mieszkalnego.

– Tak. Lokalne przedsiębiorstwo wykupiło kilka dużych działek pod Józefinem z zamiarem postawienia na nich osiedla mieszkaniowego. Pech chciał, że właśnie na tym terenie zakopałem ciało Elizy. Wtedy była to zwykła łąka oddalona znacznie od ulicy. Nie sądziłem, że pewnego dnia ktokolwiek postanowi tam coś wybudować.

– Daleko mi do ekspertki od kryminologii, ale wydaje mi się, że zakopane w ziemi zwłoki w ciągu piętnastu lat zdążyłyby ulec całkowitemu rozkładowi. Pozostałyby pewnie jedynie kości, które kierowca koparki łatwo mógłby

przeoczyć lub uznać za szczątki po jakimś zwierzęciu – zauważyła Julia. – Co innego w przypadku zwłok owiniętych starannie folią. Dlaczego pan tak zaryzykował?

– Oboje wiemy, że finalnie wpadłem z innego powodu... – stwierdzam.

– Racja, ale do tego jeszcze wrócimy. Chciałabym się dowiedzieć, co wtedy panem kierowało.

– Proszę mi wierzyć, że wiele razy nad tym rozmyślałem, ale zawsze dochodziłem do tego samego wniosku: nie mogłem postąpić inaczej. Pamiętam doskonale uczucie, które towarzyszyło mi tamtej nocy, gdy już uszedł ze mnie gniew. Wcale nie cieszyła mnie świadomość tego, że pomściłem Zosię. Przerazało mnie to, co zrobiłem Elizie. Nie potrafiłem jej zakopać w ziemi jak jakiegoś psa. Na szczęście miałem w bagażniku rolkę folii, którą parę tygodni wcześniej owijałem przewożone meble. Uznałem, że choć tyle mogę dla niej zrobić. Wcześniej jednak zdjąłem z jej ręki bransoletkę, która symbolizowała przyjaźń z Zosią. Mierziło mnie, że nosiła ją nawet po tym, co zrobiła.

– Zniszczył ją pan?

– Zamierzałem to zrobić, ale ostatecznie ją zachowałem. Chciałem, by przypominała mi o tym, że podjąłem słuszną decyzję, wymierzając dziewczynie najsurowszą karę. Na wszelki wypadek ukryłem bransoletkę w pudełku, które następnie zakopałem w ogrodzie.

– Proszę opowiedzieć, jak wyglądało pańskie życie w kolejnych latach.

Już mam zabrać głos, gdy do sali wchodzi doktor Przymorska.

– Jak samopoczucie? – pyta mnie.

– W porządku, pani doktor. Właściwie to dawno się tak dobrze nie czułem.

– Cieszę się, ale proszę wkrótce kończyć. – Spogląda na Julię.

– Oczywiście – odpowiada dziennikarka.

Gdy zostajemy sami, cofam się pamięcią o ponad czterdzieści lat.

– Przez kilka pierwszych miesięcy lokalna społeczność żyła zaginięciem Elizy. Plakaty z jej zdjęciem wisiały w całym mieście. Nie mogłem pojechać do sklepu czy na stację benzynową, by nie zobaczyć jej twarzy. Na szczęście mnie nikt nie podejrzewał. Nie było ku temu powodów. Po śmierci Zosi utrzymywałem przecież z młodą przyjazne stosunki. Oficjalnie nie było pomiędzy nami konfliktu. Uczestniczyłem też aktywnie w jej poszukiwaniach

i byłem w stałym kontakcie z jej rodzicami. Dzięki temu wiedziałem, czy czyniono postępy w śledztwie.

– Sprytnie... Dziwi mnie jednak, że Sławek i jego koledzy nie rzucili na pana cienia podejrzeń – odzywa się Julia.

– A niby dlaczego mieliby to robić? Nie wiedzieli przecież, że ich znałem. Mniej więcej pół roku po zaginięciu Elizy przypadkiem spotkałem na stacji benzynowej Andrzeja Kosteckiego. Akurat wsiadał do auta i na dwie, może trzy sekundy nasze spojrzenia się skrzyżowały. Nagle krew uderzyła mi do głowy i byłem naprawdę o krok od rzucenia się na niego z pięściami. Na szczęście zachowałem zimną krew. W ostatniej chwili odwróciłem wzrok i pomaszerowałem w kierunku wejścia do sklepu. Nie dałem po sobie poznać, że wszystko wiem...

– Pozostaje Piotrek: chłopak, który nigdy nie zawiódł pańskiej córki. A jednak to on najbardziej oberwał, czyż nie?

– Szanowałem Piotrka i byłem mu wdzięczny za dobroć, którą okazywał Zosi. Przysięgam, że ostatnie, czego pragnąłem, to go krzywdzić.

– A jednak pan to zrobił – zauważa Julia. – Albo inaczej: beczynn timer przyglądał się pan jego publicznemu linczowi.

– Z wiadomych powodów Piotrek od początku był głównym podejrzanym. Przez pierwsze tygodnie regularnie go odwiedzałem i wspierałem. Z czasem na światło dzienne wypłynęły fakty, o których nie miałem pojęcia. Jego znajomi, których nie znałem, zeznawali, że po śmierci Zosi uciekł w używki i stał się bardzo agresywny. Uczestniczył po pijaku w bójkach, odgrażał się ludziom i ponoć na jednej z imprez wdał się w szarpaninę z Elizą. To nie działało na jego korzyść.

– Rozmawiał pan z nim o tym?

– Tak. Piotrek wypłakiwał mi się w ramię i przysięgał, że nigdy nie skrzywdziłby Elizy. Przyznał też, że śmierć Zosi zrujnowała go emocjonalnie. Nie dawał jednak tego po sobie poznać, bo widział, że sam ledwo się trzymałem. Strasznie mu współczułem, ale nie ukrywam, że czułem ulgę, iż absolutnie nikt o nic mnie nie podejrzewał. Rzecz jasna jako znajomy Elizy byłem przesłuchiwany, nawet dwa razy. Za drugim razem śledczy zadawali mi najróżniejsze pytania na temat Piotrka.

– Miał pan idealną okazję, by go pogrążyć...

– To prawda, ale po pierwsze: nie życzyłem mu źle, a po drugie: uznałem, że mógłbym sobie tym tylko zaszkodzić. Możliwe, że gdyby Piotrek jakimś cudem dowiedział się, że go oczerniałem, nabrałby co do mnie podejrzeń. Zachowywałem zatem neutralność. Na szczęście Piotrek nie poszedł do więzienia z braku dowodów. Przez kolejne lata ciągnęła się jednak za nim łaska mordercy...

– Utrzymywał pan z nim kontakt?

– Może przez rok... Przykro było patrzeć na to, jak coraz bardziej się staczał. Zasugerowałem mu nawet, by wyjechał z Chełma i zaczął od nowa w innym mieście. Chyba wziął sobie moją radę do serca, bo jakiś czas później wyprowadził się do Poznania. Nawet się ze mną nie pożegnał. Później kontakt się urwał. Zobaczyłem go ponownie dopiero w trakcie procesu.

– Dotarłam do jego zeznań z procesu. O dziwo, jako jedna z nielicznych osób wypowiadał się o panu w dość pozytywny sposób.

– Sądzę, że gdy poznał prawdę na temat tego, co Eliza zrobiła Zosi, zrozumiał, dlaczego musiałem ją zabić. Nie odwiedził mnie jednak nigdy w więzieniu. Nie miałem do niego o to żalu. Po prostu nie chciał znowu wdeptywać w to całe gówno – wzdycham.

– No dobrze, a jak pan radził sobie z tym ciężarem? – pyta po krótkiej przerwie Julia.

– Nie było dnia, bym nie myślał o Zosi. Często odwiedzałem ją na cmentarzu i opowiadałem o swojej codzienności. A była ona wyjątkowo monotonna. Moje życie ograniczało się do pracy i wieczornego upijania się przed telewizorem. Chwytałem się różnych zajęć, żeby się jakoś utrzymać: pracowałem na budowie, sprzątałem i majsterkowałem.

– Nie myślał pan, żeby wyjechać z Chełma i zostawić tamten epizod za sobą?

– Oczywiście, że myślałem. Bywały dni, gdy nie miałem już siły płakać i czułem, że albo zmienię otoczenie i oczyszcze umysł, albo ze sobą skończę. W osiemdziesiątym drugim wszedłem jednak w bliską relację z dawną koleżanką ze szkoły, Moniką Brulewską. Spotkaliśmy się kiedyś w sklepie z meblami i poszliśmy na piwo. Monika żaliła się na narzeczonego, który porzucił ją miesiąc przed ślubem. Zanim rozeszliśmy się do domów, zaproponowałem jej kolejne spotkanie. Po nim przyszło kolejne... Szanowałem ją i cieszyłem się, że wniosła do mojego życia trochę szczęścia.

Niestety trwało to krótko. Zdecydowanie za krótko... Demony coraz usilniej dobijały się do mnie i przypominały o swoim istnieniu. Opierałem się im, jak tylko mogłem, ale pewnego dnia nie dałem już rady. Ta kobieta wspierała mnie na każdym kroku, ale nawet ona nie była w stanie się przebić przez ścianę depresji i rozpacz. Myślę jednak, że przede wszystkim zraził ją mój nasilający się alkoholizm. Rozstaliśmy się pod koniec osiemdziesiątego trzeciego.

– Co było potem?

– Paradoksalnie rozstanie z Moniką, zamiast mnie dobić, wpłynęło na mnie pozytywnie. Uzmysłowiłem sobie, że Zosia nie byłaby szczęśliwa, widząc mnie w tak złym stanie. Pragnęła, bym miał u boku kobietę, która otoczy mnie troską i zapewni spokój ducha. Monika była kimś takim, ale za późno to zrozumiałem. – Rozkładałam ręce. – W każdym razie na początku osiemdziesiątego czwartego odstawiłem alkohol i zdałem egzamin na prawo jazdy na tira. Krótko potem dostałem pracę jako kierowca w firmie produkującej meble biurowe. Przez cały rok rozwoziłem towar po Polsce. Rzadko bywałem w domu, co pomogło mi odzyskać względną równowagę. Co prawda wciąż błądziłem w mroku, ale zaczynałem się już z nim oswajać. Opuścił mnie też strach przed demaskacją w sprawie zaginięcia Elizy. Śledztwo od dawna tkwiło w martwym punkcie.

Słuchająca mnie z uwagą Julia zagląda w notatki i mówi:

– W tamtym czasie spotykał się pan z Natalią Latosińską, prawda?

– Poznaliśmy się w osiemdziesiątym piątym, krótko po jej zatrudnieniu w firmie. Współpracowaliśmy blisko i nasza relacja szybko wykroczyła poza służbową.

– Latosińska dość gorzko wypowiadała się o panu w trakcie procesu – przypomina Julia. – Zapoznałam się też ze wszystkimi udzielonymi przez nią wywiadami. Odniosłam wrażenie, że podobało jej się zainteresowanie, które wzbudzała.

– Cóż, Natalia tylko utwierdziła mnie w przekonaniu, że popełniłem koszmarny błąd, niszcząc poprzednią relację. Natomiast skłamałbym, gdybym powiedział, że początki naszego związku, o ile mogę to tak nazwać, były dla mnie nieudane. Wprawdzie ze względu na charakter mojej pracy nie widywaliśmy się często, ale gdy już wracałem do Chełma i robiłem sobie

kilkudniową przerwę, dosłownie nie wychodziliśmy z łóżka. – Uśmiecham się pod nosem, a Julia razem ze mną. Następnie dodaję rozmarzony: – Tak... To były dobre czasy. Odpowiadał mi układ oparty na seksie i braku poważnych deklaracji. Proszę mnie źle nie zrozumieć: Natalia wiedziała, że zawsze może na mnie liczyć. Nie byłem jednak gotowy otwierać serce na kogokolwiek. Ryzykowałbym w ten sposób utratę kontroli nad emocjami, które z trudem udawało mi się utrzymywać na wodzy.

– Bał się pan...

– Dziwi mi się pani? Po tym wszystkim co przeszedłem, jedyne, czego pragnąłem, to spokój.

– Kiedy zaczęło się między wami psuć?

– Chyba nie zaskoczę pani, jeśli powiem, że w chwili, gdy Natalia zaczęła się za bardzo angażować. Zaczęło się od propozycji wspólnego zamieszkania, na co się nie zgodziłem. Argumentowałem to tym, że przecież i tak widywaliśmy się raz w tygodniu, a czasem nawet rzadziej. Natalia namawiała mnie więc na zmianę pracy, żebym nie musiał być w ciągłych rozjazdach.

Opowieść przerywa pojawienie się siostry Arlety.

– Doktor prosi, by już państwo kończyli na dziś.

– Jeszcze trzy minuty, siostró.

– Ale nie dłużej.

Gdy wychodzi, kontynuuję:

– Powtarzałem jak mantrę, że nie chcę odchodzić z firmy, ale ona nie dawała za wygraną. Doszło do tego, że za moimi plecami próbowała przekonać naszego szefa do przydzielenia mi innej roli. Wymyśliła to sobie tak, że weźmie mnie pod swoje skrzydła i nauczy pracy biurowej. Odmówiłem, a to przelało czarę goryczy.

– Co zrobiła?

– To już historia na kolejną część. Mam pani dużo do powiedzenia na temat roku osiemdziesiątego siódmego.

– I pana kolejnej ofiary... A może ofiar? – Julia posyła mi wymowne spojrzenie. – Wszak zbliżamy się coraz szybciej do dnia pańskiego aresztowania, a na razie opowiedział pan raptem o jednym morderstwie.

– Spokojnie, pani Julio. Wkrótce pozna pani całą prawdę.

CZEŚĆ 5
MEŹCZYZNA Z TATUAŻEM

ROZDZIAŁ 1

OBECNIE

Od rana w zniecierpliwieniu czekam na Julię. Wstępnie umówiliśmy się na drugą, ale dziennikarka uprzedzała, że ze względu na natłok obowiązków może przyjść nieco później. Cóż, dochodzi szósta, a ona nie daje znaku życia. Szkoda by było, gdyby nie udało nam się dziś porozmawiać o wydarzeniach z osiemdziesiątego siódmego. Nie ukrywam, że chciałbym już mieć to za sobą. Poza tym polubiłem tę kobietę. Miło spędza mi się z nią czas. Muszę też przyznać, że jest znakomitą słuchaczką. Mam nadzieję, że po premierze książki i całym tym medialnym szumie utrzymamy kontakt. Nie miałbym nic przeciwko, gdyby raz na jakiś czas wpadła do mnie na pogaduszki przy herbacie. Dla odmiany chętnie dowiedziałbym się czegoś o jej życiu. Jak wyglądało jej dzieciństwo? W którym momencie życia czuła się najszczęśliwsza? Co sprawiło, że wybrała pracę w telewizji?

– Dzień dobry. – Julia wparowuje do sali o wpół do siódmej. Ma na sobie wąską, turkusową sukienkę bez ramiączek. – Za mną bardzo intensywne popołudnie. Naprawdę nie dałam rady wcześniej przyjść. – Zgarnia spod ściany krzesło i stawia je przy łóżku. – Mam nadzieję, że to nie problem?

– Ależ skąd. Najważniejsze, że pani przyszła. – Posyłam jej serdeczny uśmiech. – Piękna suknia. Wygląda pani jak Kopciuszek, który uciekł z balu, by się ze mną spotkać.

– W pewnym sensie ma pan rację – chichocze Julia, po czym wyjaśnia mi, że brała udział w przyjęciu organizowanym przez fundację, której jest współzałożycielką. – Pomagamy rozwinąć skrzydła kobietom, które marzą o niezależności zawodowej. Promujemy kobiecą przedsiębiorczość i wspieramy nasze podopieczne w rozwijaniu swoich talentów.

– To bardzo szlachetna inicjatywa. Dobra z pani osoba. Ciężko mi uwierzyć, że ludzie tak łatwo się od pani odwrócili... Najwyraźniej za słabo panią znali – stwierdzam.

– Tak funkcjonuje współczesny świat. Wystarczy chwila słabości i jeden błąd, by przekreślić lata mozolnej wspinaczki na szczyt. – Julia wzrusza ramionami, a następnie otwiera małą skórzaną torebkę i wyjmuje z niej zeszyt oraz telefon. – Najważniejsze, że jeszcze nie wszystko stracone. Dużo myślałam na temat tego, czego się do tej pory od pana dowiedziałam... Ma pan rację: nie ma sensu zaburzać chronologii powieści. Niech historia toczy się we własnym rytmie. Jest wystarczająco wstrząsająca, by przykuć uwagę czytelnika, a od pewnego momentu wzbudza prawdziwie skrajne emocje. Ludzie na pewno będą zadawali sobie pytanie: czy krzywdy wyrządzone panu przez innych usprawiedliwiają popełnione przez pana zbrodnie?

– A jakie jest pani zdanie na ten temat? – pytam.

– Powiedziałam wcześniej, że nie chcę pana oceniać – odpowiada lekko zakłopotana Julia, po czym włącza dyktafon w telefonie i kładzie urządzenie na stoliku. – Nie traćmy lepiej czasu. A tak w ogóle to jak się pan dziś czuje? Przepraszam, z tego wszystkiego zapomniałam spytać...

– Dziękuję, dobrze. Lada dzień powinienem wrócić do domu. Chętnie pokażę pani moje skromne gniazdko.

Julia posyła mi zdawkowy uśmiech, po czym zerka w notatki i mówi:

– Zacznijmy może od kłótni, o której często wspominała Latosińska...

– Chodzi pani o jej wigilijny wybuch furii, którym zrujnowała mi całe święta?

– Jeśli właśnie wtedy uderzył ją pan w twarz, to tak...

– Nigdy nie uderzyłem Natalii – odpowiadam stanowczo. – Zmyśliła to, by zwiększyć zainteresowanie swoją osobą.

– Hm... To nawet dobrze dla atrakcyjności książki, że ma pan inną wersję wydarzeń. A zatem zamieniam się w słuch.

*

ROK 1986

W drodze powrotnej z Krakowa do Chełma zajeżdżam pod karczmę, którą odwiedzam za każdym razem, gdy kursuję na tej trasie. Nigdzie nie jadłem smaczniejszego placka po węgiersku. Nie zdążam jednak nawet położyć dłoni na klamce, gdy spostrzegam przyklejoną do drzwi kartkę z informacją, że z powodu przerwy świątecznej lokal będzie zamknięty przez najbliższych kilka dni. Szkoda, miałem cichą nadzieję, że uda mi się smacznie zjeść i opóźnić chociaż o godzinę przyjazd do domu. Natalia przez cały wczorajszy wieczór wydzwaniała do hostelu, w którym się zatrzymałem, i wypytywała o pierdoły dotyczące wigilijnej kolacji. Chciała wiedzieć, w co będę ubrany, ile zjem dokładnie makaronu z makiem i czy wolę siedzieć przodem, czy tyłem do okna. Oczywiście narzekała też na to, że wszystko musi robić sama, a ja jeżdżę sobie w tym czasie po Polsce i wracam na ostatnią chwilę. Wypomniałem jej, że to ona nalegała na wspólne spędzenie Wigilii i od początku wiedziała, że jestem zajęty. W odpowiedzi stwierdziła, że mężczyzna, który szanuje swoją kobietę, zawsze stawia ją na pierwszym miejscu. Po tych słowach miałem ochotę ją poprosić, by nie pogrążała się jeszcze bardziej w moich oczach. Po raz kolejny zabrakło mi jednak odwagi.

Prawda jest taka, że już co najmniej miesiąc ociągam się z rozmową o rozstaniu. W przeciwieństwie do Natalii nie widzę naszej przyszłości. Z szacunku do niej nie zamierzam kłamać, że wkrótce weźmiemy ślub, założymy rodzinę, kupimy psa i będziemy wiedli sielankowe życie w wielkim domu z ogrodem. Nie jestem gotowy na tak poważną zmianę. Lubię Natalię, ale dźwigam na plecach zbyt ciężki bagaż przeszłości, by ryzykować kolejne rozczarowania i emocjonalne udręki. Możliwe, że pewnego dnia ochłonę na tyle, by otworzyć się na związek z jakąś kobietą. Kiedy i czy w ogóle to nastąpi? Niestety nie mam na te pytania odpowiedzi.

Po piątej zajeżdżam pod siedzibę firmy i przesiadam się do swojego auta. Następnie wracam do domu i dzwonię do Natalii. Krzyczy przez słuchawkę, że od godziny siedzi jak głupia przy stole i gdyby wiedziała, że tak to się skończy, to spędziłaby Wigilię z rodzicami w Lublinie.

– Przepraszam, naprawdę jechałem najszybciej, jak mogłem – okłamuję ją. – Niedługo będę. Wezmę tylko szybką kąpiel i uprasuję rzeczy.

– Umyjesz się u mnie – stwierdza Natalia, po czym dodaje: – Przyjeżdżaj. Mam dość czekania. Możesz nawet siedzieć w slipach. Po prostu spraw, bym nie zaczęła żałować tej Wigilii...

*

Choć minęło zaledwie pół godziny, odkąd przekroczyłem próg mieszkania Natalii, ona już zdążyła mnie do siebie zrazić na tyle, że marzę o powrocie do domu. Najpierw próbowała mnie zaciągnąć do łóżka, twierdząc, że barszcz z uszkami może poczekać. Tłumaczyłem jej, że wolałbym najpierw wziąć kąpiel, a poza tym miałem pusty żołądek, co zresztą było jej winą, bo kazała mi nic nie jeść przed kolacją. Ona jednak nie dawała za wygraną i ciągnęła mnie za rękę w kierunku sypialni. W pewnym momencie poirytowany wykonałem mocniejsze szarpnięcie, by się od niej uwolnić.

– Przepraszam, nie chciałem – powiedziałem, gdy Natalia gwałtownie odskoczyła do tyłu i omal nie wpadła na ścianę. – Nic ci nie jest?

– Umyj się. Ja nastawię barszcz – rzuciła, unikając mojego spojrzenia.

– Natalia... Przepraszam – powtórzyłem, zanim zniknęła za ścianą.

Po powrocie z łazienki zastałem nabuzowaną Natalię, która z nietęgą miną kursowała między kuchnią a dużym pokojem. Od tamtej pory wypomniała mi wszystko, co przyszło jej do głowy. Irytowało ją moje spóźnienie, czerwony kolor koszuli, nieogolona twarz, a nawet to, że siadłem tyłem do okna, choć twierdziłem, że wolę siedzieć przodem. Jakby tego było mało, poplamiała mnie barszczem, gdy nalewała mi go do talerza, i stwierdziła, że to moja wina.

– Nie dość, że masz wszystko podstawione pod nos, to jeszcze nie chce ci się odsunąć.

Od kilku minut siedzimy po przeciwnych stronach stołu i w milczeniu jemy barszcz.

– Smaczne uszka – mówię, by przełamać niezręczną ciszę. – To od tej koleżanki twojej mamy, o której wspominałaś?

– Dlaczego z góry zakładasz, że ich nie przyrządziłam? Uważasz mnie za tak słabą kucharkę?

– Nie. Ja tylko...

Wzburzona Natalia wstaje od stołu i posyła mi surowe spojrzenie.

– Jakoś dotychczas nie miałeś nic przeciwko opróżnianiu mojej lodówki. Czyżby dania któreś z twoich pańienek bardziej ci posmakowały?

– Słucham? – Unoszę wysoko brwi. – Jakich pańienek?

– Nie udawaj, że nie wiesz – rzuca ona, nawet nie patrząc mi w oczy. – Jeszcze barszczu?

– Jakich, kurwa, pańienek?! – podnoszę głos. – Siadaj!

Dopiero wtedy kobieta spogląda mi w oczy i krzyżuje ręce na piersiach.

– Nie rozkazuj mi, to po pierwsze. A po drugie: choć raz bądź mężczyzną i miej odwagę powiedzieć prawdę.

– Ale... ja nie wiem, o czym mówisz!

– Po prostu przyznaj, że od miesiący mnie zdradzasz i próbujesz rozpiardolić nasz związek. – Natalia wzrusza ramionami, po czym udaje się do kuchni. – Chcesz najpierw pierogi z kapustą czy karpia? – krzyczy.

– Natalia, wracaj! – wołam ją, a gdy mnie ignoruje, ruszam za nią do kuchni. – O co ci chodzi? Skąd wniosek, że cię zdradzam? Czy kiedykolwiek dałem ci podstawy do tego, byś tak sądziła?

– Nie bądź śmieszny – mówi odwrócona do mnie plecami i wykładająca pierogi na patelnię kobieta.

– Odpowiedz!

– Daj mi teraz spokój. Nie widzisz, że jestem zajęta?

Właśnie to najbardziej mnie w niej irytuje. Ile to już razy rzucała pod moim adresem absurdalne oskarżenia, jakby chciała mnie podburzyć, a gdy próbowałem z nią o tym porozmawiać, unikała tematu i udawała, że jest zajęta... Tym razem jej nie odpuszczę. Naprawdę chciałem spędzić ten wieczór w miłej atmosferze. Skoro jednak moja kochanka postanowiła inaczej, to proszę bardzo. Może to i lepiej? Przynajmniej w końcu powiem jej to, co od dłuższego czasu leży mi na wątrobie.

Wracam do dużego pokoju i czekam, aż Natalia pojawi się z dużym talerzem pierogów.

– Porozmawiamy? – pytam chwilę później spokojnym tonem. Wtedy ona pociąga nosem, stawia talerz na stole i siada naprzeciwko mnie. – Nie zdradziłem cię.

– Nie wierzę. Wybacz, ale nie wierzę – odpowiada cichym, drżącym głosem.

– Przysięgam, że nigdy...

– W takim razie dlaczego coraz bardziej się ode mnie odsuwasz? – wchodzi mi w słowo i przeszywa smutnym wzrokiem. – Myślisz, że tego nie widzę? Wiem, że osobiście prosiłeś szefa o więcej kursów do zachodniej Polski.

– Im dłuższe kursy, tym więcej zarabiam – zauważam, a wtedy ona parska nerwowym śmiechem.

– Oczywiście. Nagle Tytus Mayer postanowił urządzić sobie pogoń za bogactwem. Nie znam drugiej osoby, którą pieniądze obchodziłyby w tak niewielkim stopniu. Przekonywałeś, że wystarczy ci tyle, byś mógł na bieżąco opłacać podstawowe wydatki. Tylko błagam, nie mów, że zmieniłeś podejście przeze mnie. Oboje wiemy, że nie chcę od ciebie ani grosza. Nie musisz mi nawet zwracać za zakupy wigilijne...

Czuję, że nadeszła chwila prawdy. Chcę to już mieć za sobą.

– W porządku, nie chodzi o pieniądze – zaczynam.

– Wiedziałam! – Natalia klaszcze w ręce, uśmiechając się z satysfakcją.

– Nie chodzi też o inną kobietę. – Moje wyznanie wyraźnie ją zaskakuje. – Chodzi o nas.

Moja kochanka mruży oczy.

– W jakim sensie?

Następnie dzielę się z nią przemyśleniami na temat naszej relacji i z łomoczącym sercem wyznaję, że nie jestem gotowy na poważny związek. Wtedy oczy zachodzą jej łzami.

– Żartujesz, prawda? Chcesz powiedzieć, że to, co budowaliśmy przez dwa lata, nie było dla ciebie poważne?

– Wiesz, że nie to mam na myśli...

– Do kurwy nędzy, Tytus! – Natalia podrywa się z krzesła i celowo strąca ze stołu talerz z pierogami. Rozlega się huk tłuczonego szkła, po którym dowiaduję się, że jestem niewdzięcznym egoistą i Piotrusiem Panem niepotrafiącym docenić tego, że ma przy sobie kobietę, której na nim zależy. Jestem już zmęczony tą telenowelą, dlatego proszę ją, by się uspokoiła. Kobieta jednak coraz bardziej się nakręca. Nagle chwyta swój talerz i ciska nim o podłogę.

– Natalia! – krzyczę, a wtedy ona okrąża stół i zgarnia mój talerz. W ostatniej chwili chwytam go i próbuję jej odebrać. – Opanuj się!

– Puszczaj! – Szarpie się ze mną, szczerząc zaciśnięte zęby. Czuję, że jeśli nie odpuszczę, pozwolę jej przekroczyć cienką granicę pomiędzy gniewem a furją.

– Proszę, porozmawiajmy na spokojnie – podejmuję ostatnią próbę, jednak ona nie daje za wygraną i coraz mocniej przyciąga talerz do siebie.

– To wszystko twoja wina! Mogliśmy być tacy szczęśliwi! – krzyczy coraz głośniejsze.

– Opanuj się, do cholery! – Jestem o krok od powiedzenia czegoś, czego mogę potem żałować.

– Ty pieprzony kłamco i egoisto! Wykorzystałeś mnie!

– Natalia, błagam!

– Pobawiłeś się mną i wymieniłeś na lepszy model!

Dość.

– Nie wymieniłem cię, kurwa jego mać! Ale nic nie poradzę na to, że cię nie kocham!

Zapada kilkusekundowa cisza, w trakcie której moja kochanka rozluźnia się i mrozi mnie wzrokiem. A potem ponownie zaciska zęby i szarpie za talerz.

– Spierdalaj, Tytus! Ty cholerny, egoistyczny, kłamliwy...

Nagle puszczam talerz, przez co Natalia traci równowagę i upada na plecy, wprost na pokrytą tłuczonym szkłem podłogę. – AUUU!

– Natalia! – Doskakuję do niej i pomagam jej wstać. Ma poranione prawą dłoń, łokieć i plecy, w których tkwi mały odłamek. – Usiądź, a ja pobiegnę po apteczkę – mówię, prowadząc ją ku sofie.

– NIE! – krzyczy roztrzęsiona, odganiając mnie od siebie rękami niczym dziecko panikujące na widok latającej w pobliżu osy. – ZEJDŹ MI Z OCZU! TO KONIEC! NIE CHCĘ CIĘ ZNAĆ! WYPIERDALAJ Z MOJEGO MIESZKANIA! NO JUŻ! NIE MA CIĘ!

Zabieram swoje rzeczy i w pośpiechu wybiegam na korytarz. Tam spostrzegam wyglądającą przez uchylone drzwi sąsiadkę.

– Co wy wyprawiacie, ludzie? Wigilia jest!

– Przepraszam – odpowiadam, po czym spocony z nerwów zbiegam po schodach. Nie tak miał wyglądać ten wieczór. Ale cóż, stało się. Najważniejsze, że historia z tą kobietą dobiegła końca. Przynajmniej mam taką nadzieję.

ROZDZIAŁ 2

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Od kilku dni w telewizji trąbią o „najchłodniejszym miesiącu od dziesięcioleci” i rekordowych opadach śniegu w całej Polsce. Cóż, przekonałem się o tym na własnej skórze wczoraj, gdy po tygodniu pustelniczego życia i opróżniania jednej butelki wódki za drugą, kompletnie pijany zasnąłem w zaspie, w którą wpadłem zaraz po wyjściu z domu. Alkohol sprawił, że straciłem rozum i przyszedł mi do głowy idiotyczny pomysł wybrania się samochodem do monopolowego. Szczęście w nieszczęściu, że w całym tym pijackim szaleństwie skrzywdziłem tylko siebie. Nie wiem, jak długo spałem w śniegu, ale gdy się ocknąłem, przez dobrą minutę nie mogłem się ruszyć. Byłem już bliski paniki, gdy po moim ciele rozeszło się ciepło, które sprawiło, że odzyskałem czucie i odetchnąłem z ulgą. Od tamtej pory walczę z gorączką i silnymi dreszczami. Za mną nieprzespana noc. Bez przerwy zmieniam piżamy, inhaluję się i moczę stopy w gorącej wodzie z solą. Niestety nic nie pomaga. Jeśli mój stan do jutra się nie poprawi, chyba zapukam do sąsiada i poproszę go o zawiezenie mnie do szpitala. Tylko jak niby to zrobi, skoro ponoć miasto jest niemal w pełni nieprzejezdne?

Jestem idiotą. Zaprzepaściłem miesiące trzeźwości z powodu rozstania z Natalią. W Wigilię, po wybiegnięciu z jej mieszkania, poczułem, że nie przetrwam tego wieczora na trzeźwo. Nagle w głowie zaczęły mi się nawarstwiać negatywne myśli, a dawno zakopane na dnie podświadomości bolesne wspomnienia uderzyły ponownie ze zdwojoną siłą. Udałem się więc do jedyne go czynnego sklepu w okolicy i kupiłem dwie butelki wódki. A potem wróciłem do domu i urznałem się w trupa. Od tamtej pory piję dzień w dzień

i pilnuję, by nie wytrzeźwieć. Wódka uwalnia mnie od przerażających obrazów najbardziej traumatycznych chwil z mojego życia. Nie przeżywam na nowo panicznej ucieczki przed ojcem i szarpaniny nad kraterem. Nie patrzę też na Sławka i jego kumpli bestialsko gwałcących Zosię. Potrzebuję wódki, by nie oszaleć. Z drugiej strony muszę pamiętać o pracy. Pojutrze czeka mnie długi kurs do Szczecina. Jeśli zawalę, zraniona Natalia dopilnuje, bym poniósł tego konsekwencje. Dotychczas nie doszły mnie słuchy, by kopała pode mną dołki w firmie, ale za dobrze ją znam, by wiedzieć, jak potrafi być mściwa. Utrata pracy w tak trudnym dla mnie momencie byłaby dla mnie katastrofą. Nie mogę do tego dopuścić. Muszę za wszelką cenę zwalczyć to okrutne przeziębienie. I koniecznie stawić czoła demonom przeszłości. Gdyby tylko to było tak proste... Ktoś z boku stwierdziłby, że przecież znam je doskonale i miałem wystarczająco dużo czasu, by wypracować w sobie mechanizmy, które pozwalałyby mi nad tym panować. Ja wiem, że tylko ci, którzy przeżyli podobne tragedie, będą w stanie wczuć się w moją sytuację. Nikomu, nawet największemu wrogowi, nie życzę, by musiał latami wyc z tęsknoty za ukochaną osobą i gnić z powodu oplatających serce niczym bluszcz wyrzutów sumienia. Byłem na dnie, ale cudem udało mi się z niego odbić. W tej chwili znów niebezpiecznie się staczam. Wierzę jednak, że jeszcze nie wszystko stracone. Zawalczę. Muszę. Zosia by tego dla mnie chciała.

*

TRZY TYGODNIE PÓŹNIEJ

– Cześć, Zosiu. Na początku chciałbym cię przeprosić za to, że tak długo mnie u ciebie nie było. Brakowało mi naszych spotkań i rozmów. Nie będę cię okłamywał, że wszystko u mnie dobrze. Za mną tygodnie pełne smutku i wyniszczającej tęsknoty za tobą. Mało brakowało, bym przez alkohol zaniedbał obowiązki zawodowe. Na szczęście w porę się opamiętałem i podjąłem walkę z nałogiem. Przysięgam ci, że od pięciu dni nie wypilem choćby kropli wódki. Nie jest łatwo funkcjonować w trzeźwości, zwłaszcza gdy ponure myśli nie dają mi spokoju. Czuję się tak, jakby mój własny mózg

pragnął mojej autodestrukcji. Otuchy dodaje mi powrót do miesięcy spędzonych w trzeźwości. Często wspominam Monikę i fantazjuję na temat tego, jak wyglądałoby moje życie, gdybym jednak zaryzykował i otworzył przed nią serce. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że nie mogę uciekać w alternatywne scenariusze wydarzeń. Liczy się to, co jest tu i teraz. Obiecuję ci, że wyjdę na prostą. Niczego bardziej nie pragnę niż tego, byś była ze mnie dumna.

Po opuszczeniu cmentarza postanawiam udać się na dłuższy spacer do parku XXX-lecia. Chcę skorzystać z wyjątkowo łagodnej jak na ostatnie tygodnie pogody, a ponadto zastanowić się nad swoją przyszłością. Coraz trudniej pracuje mi się z Natalią. Ilekroć pojawiaam się w biurze, muszę znosić jej nienawistne spojrzenia i sporadyczne, ale aż nadto kąśliwe komentarze. Dłużej nie mogę tak funkcjonować. Dla wspólnego dobra jedno z nas powinno odpuścić. I wiem, że będę to ja. Niestety nie mam w Chełmie póki co szans na inną pracę. Właśnie dlatego coraz poważniej rozważam sprzedaż domu i wyprowadzkę do Warszawy. Jakiś czas temu przypadkiem spotkałem na mieście Artura Loskę – mojego dawnego sąsiada i syna świętej pamięci pana Władysława. Lata temu Artur przeprowadził się do Warszawy i sporadycznie odwiedzał rodzinne strony. W trakcie rozmowy wspomniałem mu o swoich rozterkach. Wtedy on zaoferował mi pomoc w znalezieniu pracy w stolicy. Nie mówiłem jeszcze o niczym Zosi. Zrobię to, gdy dopnę wszystko na ostatni guzik. Będzie mi brakowało regularnych wizyt na cmentarzu, ale wierzę, że Zosia mnie zrozumie.

W drodze do auta postanawiam wstąpić do kiosku ruchu po papierosy. Dotychczas unikałem tytoniu jak ognia, ale w ostatnim czasie traktuję go jako zamiennik alkoholu. Wiem, że nie jest to dobre, ale papierosy nie odbierają mi rozumu, a pomagają się rozluźnić. Już z oddali dostrzegam długą kolejkę. Wkrótce ustawiam się za wysokim staruszką w grubym skórzanym płaszczu i białej wełnianej czapce. Mijają kolejne minuty, a kolejka nie posuwa się naprzód. Wszystko przez kobietę w średnim wieku, która żywo dyskutuje o czymś ze sprzedawcą. Na szczęście w pewnej chwili jedna z osób w kolejce zwraca jej uwagę. Dopiero wtedy kobieta odchodzi.

– Bolek! – rozlega się wołanie po drugiej stronie ulicy. Gdy spoglądam w prawo, moim oczom ukazuje się wysoki otyły mężczyzna w granatowej

ortalionowej kurtce, która sięga mu niemal kolan. Towarzyszy mu drobna kobieta w czarnym płaszczu i kremowej czapce z pomponem. – Hej! Bolek! – Mężczyzna macha do kogoś z kolejki, po czym chwyta partnerkę za dłoń i przebiega z nią przez pokrytą cienką warstwą śniegu ulicę. – Co jest, Bolek, nie poznajesz mnie? – pyta stojącego kilka osób przede mną niskiego brodacza w kurtce z wysokim kołnierzem, który jako jedyny nie ma na głowie czapki.

– Sławek? Boże, chłopie, aleś ty zarósł! – Mężczyźni rzucają się sobie w objęcia, a ja omal nie przewracam się od nagłych zawrotów głowy. Sławek Dudek, potwór, przez którego Zosia odebrała sobie życie, stoi w odległości jakichś dwóch metrów ode mnie. Z początku go nie poznałem, bo nie dość, że wyhodował sobie długą brodę, to jeszcze przestał golić głowę na łyso. Ponadto mocno przytył. Gdy widziałem go po raz ostatni na mieście jakieś pięć lat temu, miał na sobie koszulkę, która z trudem opinała jego szerokie ramiona i napompowane bicepsy.

– Do ciebie jeszcze mi daleko, ale jestem na dobrej drodze – odpowiada Sławek, po czym przyciąga do siebie lekko partnerkę. – Poznaj moją żonę, Anetę.

Gwałciiciel mojej siostry ma żonę i wygląda na szczęśliwego. Spełnia się mój największy koszmar. Na wszelki wypadek spuszczam głowę i podciągam szalik tak, że zakrywa mi twarz aż po oczy. Lepiej, by mnie nie rozpoznał. Wprawdzie nie ma pojęcia, że wiem, co zrobił, ale wolę nie ryzykować, że w razie kontaktu wzrokowego nie będę w stanie się opanować.

– Cześć. – Aneta uśmiecha się do Bolka, a następnie podaje mu rękę. Na moment unoszę wzrok i przyglądam się jej gładkiej, niemal pozbawionej zmarszczek cerze. Moją uwagę zwraca też jej podkreślający oczy makijaż.

– Witam piękną panią. – Zerkam spode łba na Bolka, który wpatruje się w nią z podziwem. – No, no, stary... Nawet nie wiedziałem, że się ustatkowałeś. Podejrzewałbym o to każdego, tylko nie ciebie...

– Ludzie się zmieniają – zauważa Sławek. Nagle nieprzyjemny dreszcz przeszywa mnie od stóp do głów, a serce zaczyna bić przyspieszonym rytmem. „Ludzie się zmieniają”... Jak on w ogóle śmie tak mówić? Zwyrodnialcy, którzy katują i gwałcą bezbronne nastolatki, nigdy się nie zmieniają. Do końca życia pozostają zgniłymi w środku, pozbawionymi jakichkolwiek zasad moralnych kanałiami. Pierdolony Sławek... Tak bardzo żałuję, że nie mam

przy sobie teraz noża. Chętnie podciąłbym mu nim gardło, a potem patrzył z satysfakcją, jak ten zwyrodnialec upada na kolana i powoli traci przytomność, podczas gdy z rany tryska mu krew. Na moment zamykam oczy i fantazjuję na temat jego śmierci. A gdy je otwieram, widzę go uśmiechniętego i obejmującego żonę. Wyjawia Bolkowi, że od czterech lat mieszka w Rejowcu Fabrycznym i pracuje w tamtejszej cementowni. Nawet nie wiedziałem, że wyprowadził się z Chełma.

– Przyjechaliśmy na parę dni do rodziców Anety. Jej mama poślizgnęła się w zeszłym tygodniu na oblodzonych schodach i złamała sobie nogę. Z kolei ojciec, jak to ojciec...

– No tak, facet bez baby jest jak ryba bez wody – prycha Bolek, po czym pyta Sławka i Anetę o początki ich związku.

– Pobraliśmy się trzy lata temu po roku związku i wciąż nie mamy siebie dość. – Spogląda na Anetę i całuje ją pieszczotliwie w nos.

– Macie dzieci? – dopytuje Bolek.

– Jeszcze nie, ale już wkrótce to się zmieni. – Sławek przykłada dłoń do brzucha Anety, która unosi wysoko kąciki ust. – To już czwarty miesiąc.

– Gratulacje! – Bolek ściska znajomego, poklepując go mocno po plecach. – To się porobiło... Sławek Dudek, największy rozrabiaka, jakiego znam, wkrótce zostanie tatusiem. Oby to był chłopiec... Już widzę, jak przerzucasz się z Audi Quattro na resoraka. – Parska śmiechem.

– Kupuje pan, czy plotkuje ze znajomymi? – pogania Bolka stojący za nim w kolejce mężczyzna.

– Przepraszam.

Podczas gdy Bolek prosi o najnowsze wydania „Trybuny Ludu” i „Kurieria Polskiego”, ja nie spuszczam wzroku z Anety. Chce mi się płakać na myśl o tym, że człowiek, który przyczynił się do zakończenia jednego życia, teraz świętuje zapoczątkowanie innego. Nie godzę się z tą niesprawiedliwością. Chryste, dlaczego zawsze, gdy zaczynam wychodzić na prostą, powracają do mnie demony przeszłości? Przeklęty los nie pozwala mi na dłużej zaznać spokoju. Zupełnie jakby karał mnie za coś, co przecież nie było moją winą. Ani ja, ani Zosia nie prosiliśmy się o te wszystkie krzywdy, które latami nam wyrządzano. Pragnęliśmy tylko normalnego, spokojnego życia. Takiego, jakie wie teraz Sławek. Skurwiel na to nie zasługuje.

Zanim Bolek zdąży zapłacić za zakupy, rozsadza mnie taki gniew, że wybiegam z kolejki i oddalam się od kiosku. Kroczę szybko w przeciwnym kierunku do tego, w którym zwrócony jest zaparkowany przeze mnie samochód. Byle jak najdalej od Sławka i jego idealnego życia. Gdy znajduję się jakieś pięćdziesiąt metrów od nich, w głowie wybrzmiewa mi głos, który nakazuje mi czym prędzej zawrócić. „Dowiedz się, gdzie mieszkają, i zrób to, co do ciebie należy”. Nie... Nie mogę znów przez to przechodzić. Historia z Elizą miesiącami śniła mi się po nocach. Wystarczy! Nie będzie więcej rozlewu krwi. Pomściłem Zosię. Ale czy na pewno? „Jedyną drogą do harmonii jest pokój. Przemoc zaburza harmonię, którą można przywrócić wyłącznie poprzez złożenie ofiar i wyrównanie bilansu krzywd” – grzmi głos.

– Przecież wyrównałem rachunki! Życie za życie! – syczę pod nosem. Wtedy głos stwierdza: „Czasem jedno odebrane życie wymaga złożenia kilku ofiar... Kilku ofiar... Kilku ofiar...”.

Opieram się o ścianę pobliskiego budynku, po czym zdejmuję czapkę i rwę sobie włosy z głowy. Chce mi się wrzeszczeć, ile sił w płucach, ale wiem, że tylko niepotrzebnie zwróciłbym na siebie uwagę przechodniów. Muszę jednak dać upust rozdzierającej mnie złości. Niech ten cholerny głos wreszcie zamilknie i pozwoli mi normalnie żyć. Koniec z zemstą! Chcę spokoju, niczego więcej. „Tylko czy będziesz w stanie go zaznać, wiedząc, że człowiek, który odebrał ci siostrę, jest szczęśliwszy, niż ty kiedykolwiek będziesz?” – słyszę z tyłu głowy. I przeraża mnie to, jak szybko nasuwa mi się odpowiedź na to pytanie.

ROZDZIAŁ 3

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

MIESIĄC PÓŹNIEJ

Od dwudziestu minut siedzę w swojej ładzie 2107 zaparkowanej w pobliżu sklepu, w którym pracuje żona Sławka. Dziś wielki dzień. Koniec z niemal codziennym kursowaniem między Chełmem a Rejowcem Fabrycznym. Po kilku tygodniach obserwowania szczęśliwego życia Dudków i ratowania się przed upadkiem w mroczną, smutną otchłań, wreszcie przywrócę harmonię, której desperacko potrzebuję. Czuję, że po raz kolejny znalazłem się u kresu wytrzymałości. Jeszcze nigdy jednak demony w mojej głowie nie dręczyły mnie z taką zaciekłością. Są ze mną dniami i nocami, śmiejąc się ze mnie, porównując moją wegetację do ich idylli i wykrzykując pod moim adresem najróżniejsze bluźnierstwa. Na każdym kroku przypominają mi o mojej beznadziejności i namawiają do zakończenia nędznego żywota. W najtrudniejszych chwilach staram się myśleć o Zosi. Proszę ją, by pomogła mi jakoś przetrwać tę gehennę. Niestety za każdym razem jej głos zagłusza ryk demonów. Stoję nad przepaścią z jedną nogą w powietrzu. Wystarczy, że pochylę się do przodu i przestanę istnieć. Mam ostatnią szansę na ocalenie. I zrobię wszystko, by z niej skorzystać.

Dokładnie za osiem minut Aneta zamknie sklep i zacznie się przygotowywać do wyjścia. Zakładam, że jak w każdy piątek, Sławek nie odbierze jej dziś z pracy. Nie mogłem jedynie obserwować sklepu w zeszłym tygodniu, gdy szef akurat w piątek wysłał mnie na dłuższy kurs do Krakowa. Mam jednak nadzieję, że nic się nie zmieniło i jego żona będzie musiała samotnie pokonać odcinek około kilometra wzdłuż otoczonej polami ulicy, mijając po drodze cmentarz. Dziwne, że Sławek jej na to pozwala. Droga jest

kompletnie nieoświetlona i wieczorami bardzo łatwo zostać niezauważonym przez rozpędzone auto. Już dawno powinien jej kupić samochód. Oceniając po tym, jak wygląda ich dom pod lasem, nie brakuje im przecież pieniędzy.

Dobija mnie widok wielkiego, dwupiętrowego domu ze strzelistym dachem i dwoma długimi balkonami. Czuję ukłucie w sercu za każdym razem, gdy patrzę, jak Sławek podjeżdża pod sklep i po paru minutach wychodzi z niego z wtuloną w siebie żoną. Tworzą parę idealną. Nie trzeba ich znać, by widzieć, że są w sobie szaleńczo zakochani. Do pełni szczęścia brakuje jedynie gromadki dzieci. Wtedy stworzą rodzinę jak z obrazka. Będą mieli wszystko to, o czym marzy większość ludzi.

Aneta niczemu nie jest winna. Wydaje się dobrą kobietą, której jedynym grzechem jest to, że pokochała potwora. Niestety w życiu musimy czasami ponosić konsekwencje cudzych błędów. Właśnie dlatego nie mogę jej oszczędzić. Ona i jej nienarodzone dziecko muszą zginąć. Mógłbym zamiast nich wykończyć Sławka, ale głos w mojej głowie upiera się, że to nie rozwiąże problemu. Nie chodzi o poświęcenie winowajcy. Zrobiłem to przecież, mordując Elizę. Tym razem muszę się skupić na sobie i swoim bezkresnym cierpieniu. Trzeba dążyć do zrównoważenia cierpienia. Sławek musi poczuć, co to znaczy stracić osobę, która jest dla kogoś całym światem, musi poczuć to co ja. Odbiorę mu najcenniejszy skarb i sprawię, że do końca życia będzie błądził w mroku i desperacko oganiał się od wyniszczających go demonów. Tylko wtedy będziemy kwita.

Spoglądam na zegarek i przelękam ślinę, gdy orientuję się, że do zamknięcia sklepu pozostała minuta. Słońce już dawno zaszło, a jedynym źródłem światła są dwie wysokie latarnie i palące się lampy w mieszkaniach pobliskich domów. Wystarczy jednak dziesięć minut marszu, by Aneta wkroczyła w mrok, który dziś ześle na nią przekleństwo. Nagły przypływ adrenaliny sprawia, że cały drzę i nie mogę się już doczekać, aż będzie po wszystkim. Wreszcie widzę otwierające się drzwi i wychodzącą przed budynek żonę Sławka. Jest zbyt ciemno, bym mógł dostrzec jej minę, ale przypuszczam, że się uśmiecha. No bo niby dlaczego miałyby się smucić? Pewnie cieszy się, że wkrótce będzie w domu i zajmie się przygotowaniem romantycznej kolacji dla męża. Oczami wyobraźni widzę Sławka wracającego z pracy przed dziewiątą i przechodzącego do wielkiej jadalni, w której będą na niego czekały

pyszne dania. Po posiłku zrzuci ze stołu naczynia, położy Anetę na stole i zerznie ją tak, jakby była wynajętą na jedną noc kurwą. A najlepsze, że po wszystkim ona mu za to podziękuje. Wszystko uchodzi mu na sucho. A raczej uchodziło. Biorę się do roboty.

Obserwuję oddalającą się Anetę i zestresowany gryzę paznokcie. Boję się, że wydarzy się coś nieprzewidzianego, co zrujnuje mój plan. Mam tu na myśli pojawienie się Sławka lub kogoś innego, kto zaoferuje kobiecie podwózkę. Na szczęście nic takiego się nie dzieje. Gdy sylwetka Anety znika w ciemności, przekręcam kluczyk w stacyjce i powoli ruszam w jej kierunku. Po moim ciele rozchodzi się przyjemne ciepło, a w głowie pobrzmiwa echo rozpaczliwego krzyku Sławka. Z pewnością wyda go z siebie, gdy po tygodniach poszukiwań zaginionej żony wreszcie zaakceptuje prawdę: ona nie wróci, a on będzie przez resztę życia konał z tęsknoty i niepewności co do jej losu.

Po dojeździe do skrzyżowania spoglądam w prawo i choć jest już ciemno, dostrzegam kroczącą bokiem jezdni postać. To na pewno Aneta. Dzieli nas nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. Wyobrażam sobie, że dodaję gazu i gwałtownie zjeżdżam na pobocze, zanim moja ofiara zdąży się za siebie obejrzeć. Rozlega się huknięcie, po którym ona ląduje na szybie mojego auta i omal jej nie rozbija. A gdy naciskam z całej siły hamulec, jej ciało odlatuje na kilka metrów i spada w ośnieżone krzaki. Nie, nie zrobię tego. Nie mogę jej potrącić i ryzykować, że uszkodzę sobie samochód. Bezpieczniej będzie się zatrzymać, unieszkodliwić ją i zaciągnąć do środka. Ciężarna kobieta nie powinna stawiać dużego oporu. Postanowione.

Mam mało czasu. Muszę działać, póki w pobliżu nie widać świateł nadjeżdżających samochodów. Skręcam zatem w prawo i biorę głęboki wdech. A potem mijam Anetę, zatrzymuję się jakieś pięć metrów dalej i wysiadam ze swojej łady.

– Przepraszam, czy to droga do Chełma? – pytam kroczącą szybko żonę Sławka. Ta na moment przystaje i przygląda mi się podejrzliwie. – Chyba się zgubiłem...

– Nie widział pan znaku? Jakiś kilometr temu był zjazd – odpowiada z wyraźną nieufnością, po czym spogląda za siebie, jakby w nadziei, że ujrzy nadjeżdżające auto, które mnie odstraszy.

– Naprawdę? Hm... Musiałem go przeoczyć.

Aneta ponownie się odwraca i gdy akceptuje fakt, iż w razie zagrożenia będzie zdana wyłącznie na siebie, podejmuje rozsądną decyzję o przejściu na drugą stronę ulicy. „Biedna kobieta”, myślę, świadomy tego, że choćby nie wiadomo co by teraz zrobiła, jej los jest przesądzony. Wsiadam więc z powrotem do samochodu i zjeżdżam na pobocze. Następnie wyłączam silnik i światła. Zapada ciemność, w której pobrzmiwa nerwowy jęk kobiety. Właśnie w tej chwili serce zaczyna walić jej jak młot, a jej ciałem wstrząsają silne dreszcze, jakby poraził ją prąd. Instynkt przetrwania nakazuje jej zaś zrobić wszystko, by ocalić maleństwo. Nie kalkuluje, nie ma na to czasu. Zamiast tego rusza do ucieczki, wzywając piskliwym głosem pomoc i wykrzykując imię męża. Na szczęście szybko udaje mi się ją dopaść i przewrócić na jezdnię.

– NIE! POMOCY! NIE! – histeryzuje Aneta. Wtedy przyciskam jej kolano do pleców i zaciskam wokół szyi linkę mocującą z dwiema pętlami. Moja ofiara wydaje z siebie stłumiony jęk i chwyta linkę dłońmi, desperacko próbując złuzować ucisk. Nie ma jednak ze mną żadnych szans. Gdybym chciał, mógłbym ją wykończyć jednym mocniejszym szarpnięciem. Pewnie tak byłoby dla niej lepiej. Aneta i jej dziecko nie zasługują na śmierć w męczarniach. Nie są moimi wrogami. Muszą jednak zapłacić za gehennę, jaką Sławek zafundował mojej siostrze. Wystarczyła jedna decyzja, by ukrócić jej cierpienie. Wybrał inaczej. Nie liczył się z tym, jaki wpływ na przyszłość Zosi wywrą jego czyny. Ukradł jej przyszłość. Teraz ja zrobię to samo z jego żoną.

Czuję, że kobieta powoli traci przytomność. Jej ciało rozluźnia się, a ona sama przestaje walczyć. I gdy już mam ją przenieść do auta, dostrzegam w oddali rozbłysk jasnego światła, po którym dociera do mnie cichy warkot silnika nadjeżdżającego samochodu. Kurwa. W pośpiechu oceniam sytuację i dochodzę do wniosku, że najbezpieczniejszym wyjściem jest ukrycie się na poboczu. Ciągnę więc zamroczoną ofiarę za ręce w kierunku gęstych krzaków. Nie udaje nam się jednak do nich dotrzeć. Zanim samochód znajduje się na naszej wysokości, kładę się brzuchem na śniegu i liczę, że kierowca nie spojrzy w naszą stronę.

– POMOCY! – krzyczy leżąca obok mnie Aneta, która nagle odzyskuje przytomność. A może wcale jej nie straciła, tylko sprytnie udawała, by uśpić

moją czujność? – RATUNKU! – Niespodziewanie podrywa się z ziemi. Rzucam się na nią, zanim udaje jej się wstać.

– Morda! – syczę, wgniatając jej twarz w suchy śnieg. A potem czekam, aż auto nas wyminie i pozwoli mi kontynuować mój plan.

Gdy znów zapada ciemność, obracam żonę Sławka na plecy i zaciskam ręce wokół jej szyi. Luzuję ucisk dopiero wtedy, gdy zyskuję pewność, że odpłynęła. Następnie wyjmuję z kieszeni kurtki linę polipropylenową i związuję nią kobiecie dłonie w nadgarstkach. Na wszelki wypadek zaklejam jej też usta taśmą stolarską. W dalszej kolejności przenoszę ją przez jezdnię i kładę na tylnych siedzeniach auta. Gotowe. Teraz muszę ją jak najszybciej przewieźć w ustronne miejsce, w którym nikt nam nie przeszkodzi. Z początku myślałem o moim domu, ale uznałem, że tak długa podróż będzie zbyt ryzykowna. Jeździłem więc po okolicy w poszukiwaniu idealnej kryjówki. Skręcałem w wąskie, ledwo przejezdne polne drogi. W poniedziałek, podczas przejażdżki wzdłuż lasu, dostrzegłem w oddali, na środku rozległego pola, opuszczoną, rozpadającą się stodołę. Od razu wiedziałem, że nic lepszego nie znajdę, tym bardziej że nie prowadziła do niej żadna droga. Oznacza to, że nawet gdyby jakimś cudem ktoś przejeżdżał w pobliżu i usłyszał krzyk Anety, musiałby zostawić auto przy lesie, a potem przejść jakieś dwieście metrów polem. Miałbym wystarczająco dużo czasu na reakcję, oczywiście pod warunkiem, że udałoby mi się go w porę wypatrzeć.

Niecały kwadrans później jadę wąską, ziemistą drogą oddzielającą las od sąsiadujących z nim łąk i pól. O ile w dzieciństwie ciemność kojarzyła mi się z zagrożeniem, o tyle teraz traktuję ją jak błogosławieństwo. Wkrótce zjeżdżam na pobocze i wyciągam z auta półprzytomną i pojękującą cicho Anetę. Podejrzewam, że za parę minut odzyska świadomość i zacznie sprawiać problemy. Przerzucam ją więc pospiesznie przez lewe ramię i włączam latarkę. Grunt na polu jest nierówny, ale utwardzony dzięki przymrozkom, więc docieram do stodoły, zanim Aneta wpada w histerię.

– Uspokój się – mówię stanowczo do próbującej się wyrwać i krzyczącej przez taśmę kobiety. Następnie kładę ją na ziemi, tuż przy ścianie, a sam siadam na spróchniałej drewnianej skrzynce. Potrzebuję około trzech minut, by ochłonąć i uspokoić oddech. W tym czasie Aneta przechodzi do pozycji siedzącej i roztrzęsiona wlepia we mnie wzrok. Bez przerwy też jęczy, jakby

coś ją bolało. – Możesz przestać? – Wstaję ze skrzynki i ruszam w jej stronę. Wtedy ona agresywnie wierzga nogami, starając się mnie od siebie odgonić. – Nie pozostawiasz mi wyboru – stwierdzam, zanim wyjmuję z kieszeni rolkę taśmy i oklejam nią jej nogi w połowie łydek. Dopiero wtedy pochylam się nad nią i szybkim pociągnięciem odklejam jej pasek taśmy z ust. Żona Sławka zaciska powieki i syczy z bólu.

– Moje dziecko – mówi chwilę potem łamiącym się głosem. – Muszę jechać do szpitala...

Gdy widzę przerażenie w jej oczach, do głosu dochodzi we mnie współczucie i dopada mnie wątpliwość, czy postępuję słusznie. Cholera jasna, przecież ta biedna kobieta niczym nie zawiniła. Pieprzyć harmonię i pragnienie zemsty. Odwiozę ją do domu, jeśli obieca, że wymaże z pamięci ten wieczór. A później wyjadę jak najdalej stąd i zacznę wszystko od nowa. „Nigdy nie zapomnisz tego, co ten skurwiel zrobił twojej siostrze” – przemawia do mnie cichy głos, po którym następuje złowieszczy chichot. „Odebrał ci jedyną osobę, która dawała ci szczęście. Naprawdę zamierzasz mu odpuścić? Myślisz, że tego chciałyby Zosia?”

– Odejdź! – wrzeszczę i poklepuję się obiema dłońmi po głowie. Głos jednak nie odpuszcza: „Potraktuj ją tak, jak Sławek potraktował twoją siostrę”. – Nie! Przestań!

– Błagam, zawieź mnie do szpitala – jęczy zapłakana Aneta.

– Morda! – uciszam ją i przechodzę na drugi koniec stodoły, bo czuję, że dłużej nie zniosę jej obecności. Chcę w spokoju wypędzić z głowy mroczne myśli. Niestety one tylko przybierają na sile:

„Zabij ją. Musisz to zrobić!”

– Nie!

„Zabij. Inaczej śmierć Zosi pójdzie na marne”.

– Przestań, kurwa!

„Zabij... Zabij... Zabij...”

– Dlaczego akurat ja? Chodzi o pieniądze? Nie jesteśmy z mężem bardzo bogaci, ale oddamy ci wszystko, co mamy. Tylko mnie uwolnij, błagam... Muszę jak najszybciej jechać do szpitala – mówi przez łyżę Aneta, a ja szarpię swoje włosy i staram się zapanować nad huraganem myśli w głowie. – Tak bardzo pragniemy tego dziecka. Jesteśmy zwykłymi, uczciwymi ludźmi. Nie

mamy wrogów i nikomu nie życzymy źle. – Po tych słowach dwukrotnie jęczy z bólu. – Błagam, nie niszczy tego, co z trudem budowaliśmy. Oddamy ci każdy grosz, tylko...

– Nie chodzi o jebane pieniądze – syczę, po czym krocę szybko w jej stronę z zaciśniętymi zębami. – Uczciwi ludzie, którzy nikomu nie życzą źle? Tak opisałaś swojego męża? – parskam nerwowym śmiechem. – Widać, jak mało o nim wiesz...

– Błagam... Nie wiem, co zaszło między tobą a Sławkiem, ale jestem pewna, że wszystko uda się naprawić jedną szczerą rozmową. Nie znam bardziej ugodowej osoby. Przysięgam, że jeśli mnie wypuścisz, przekonam go, by się z tobą spotkał i porozmawiał w cztery oczy. Na pewno się dogadacie... – W jej oczach widzę strach. Osiągnęła stan, w którym robi absolutnie wszystko, by ratować życie swoje i dziecka. Przez kolejne minuty będzie mnie zasypywała najróżniejszymi obietnicami, a gdy uświadomi sobie, że nic w ten sposób nie osiągnie, zacznie histeryzować i rozpaczliwie wołać o pomoc. Podejrzewam, że trzecim etapem będzie nagły przypływ agresji, po którym całkowicie się załamie. Nie zamierzam jej długo torturować. Pragnę tylko jednego: dostrzec w jej oczach zgodę na śmierć. Dopiero wtedy zadam ostateczny cios. Im szybciej Aneta przestanie walczyć, tym lepiej dla niej. – Proszę, zaufaj mi. Przysięgam, że zrobię wszystko, o co mnie...

– Zamknij się!

– Zrobię wszystko, co zechcesz! Dostaniesz dom, samochód, wszystkie pieniądze... – nie odpuszcza zdesperowana kobieta. Wtedy wyjmuję z kieszeni skórzany pokrowiec i szybkim pociągnięciem wysuwam z niego naostrzony nóż. Aneta wzdryga się i zatapia w nim wielkie oczy.

– Jeszcze jedno słowo, a... – urywam, gdy żona Sławka zaciska powieki i wydaje z siebie głośny jęk.

– Boli! Coś jest nie tak! Auaaa!

– Albo się zamkniesz, albo znowu skończysz z taśmą na ryju! – warczę, wymachując jej nożem przed oczami. Moja pogrożka nie działa na żonę Sławka, która jęczy coraz głośniej, a po chwili wybucha niekontrolowanym szlochem.

– Błagam, zawieź mnie do szpitala! Moje dziecko! Nie mogę go stracić! Tak długo na nie czekałam! Boże, ratunku! Tak strasznie mnie boli!

„Nie czekaj. Zabij ją jak najszybciej” – radzi mi głos z tyłu głowy. Wzburzony ponownie oddalam się od kobiety i łapię się za głowę. Jakaś część mnie wciąż walczy o to, bym ją oszczędził. Tłumaczy, że odbieranie życia niewinnym nie zapewni mi spokoju ducha. „Wydaje ci się, że zemsta na Sławku pozwoli ci rozliczyć się z przeszłością, ale to nieprawda. Już zawsze będziesz zadreślał się tym, co zrobiłeś. Przerwij to, póki nie jest za późno!”

„Boże, co robić?!”, pytam samego siebie. Wtedy w głowie huczy mi złowieszczy głos, który po raz kolejny powołuje się na Zosię i domaga się wyrównania rachunków:

„Zabij... Zabij... Zabij...”

„Zamknij się!”

„Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, to zrób to dla Zosi!”

„To tylko niewinna kobieta w ciąży!”, krzyczę sam do siebie, nasłuchując jednocześnie histeryzującej z oddali żony Sławka.

„Ta kobieta nosi dziecko twojego największego wroga. Podjęła decyzję i sprzymierzyła się z potworem. Już za późno na współczucie” – głos nie odpuszcza.

Tymczasem Aneta wydaje z siebie coraz głośniejsze jęki.

– Kurwa, ucisz się! – Sam już nie wiem, czy uciszam ją, czy głos.

„Zakończ to wreszcie! Dobrze wiesz, że dziecko Sławka nie może się urodzić”.

– Przestań! Nie dam rady! – Uderzam się obiema rękami w głowę.

„Dziecko musi umrzeć! Nie możesz pozwolić, by zło rozprzestrzeniało się po świecie” – nalega głos, a gdzieś z oddali dociera do mnie mgliste wycie Anety:

– RATUNKU! POMOCY!

„Zabij ją, zanim ześle na ciebie kłopoty” – podjudza mnie mroczna strona mojej osobowości.

– Nie! Odejdź! Daj mi spokój!

„Dziecko musi umrzeć... Musi umrzeć... Musi umrzeć”. Setki nakładających się na siebie głosów pobrzmiwają mi w głowie niczym niesione ze wszystkich stron echo.

– KURWAAA! – Upadam na kolana i rwę sobie włosy z głowy. Ostatkiem sił opieram się mrocznym myślom, które zagłuszają moje sumienie. Najwyższy czas zaakceptować prawdę. Zbyt długo karmiłem drzemiącego we mnie demona gniewem, rozpaczą i frustracjami. W pewnym momencie rozpanoszył

się po mojej duszy, przejmując nade mną kontrolę. Walcząc z nim, z góry skazuję się na klęskę.

„Zabij! Zabij! Zabij!” – wykrzykuje głos coraz szybciej i szybciej, potęgując we mnie furję. Od obłędu dzielą mnie sekundy.

– BŁAGAM! RATUJCIE MNIE! – Wrzaski Anety działają na mnie jak płachta na byka. Dłużej nie wytrzymam. Rozjuszony podrywam się z ziemi i biegnę w jej stronę, zaciskając w dłoni nóż. Widząc to, moja ofiara wierzga złączonymi taśmą nogami i desperacko próbuje się doczołgać do wyjścia. – NIE! BŁAGAM, NIE! – krzyczy, ile sił w płucach, gdy z łatwością dopadam ją i przewracam na plecy. Wtedy ona z przerażeniem wpatruje się w wiszące nad jej brzuchem ostrze noża. – PUSZCZAJ MNIE, BYDLAKU! – Reaguje agresją na agresję, przypieczętowując swój los. – TYLKO NIE DZIECKO, SKURWYSYNU! NIEEEE!

Przez następną minutę ogarnięty szałem zadaję jej chyba ze sto ciosów w brzuch.

– TO ZA ZOSIĘ!

Zszokowana i kompletnie bezradna Aneta wyje z bólu i rozpacz, jednak nie wzbudza we mnie współczucia.

– ZA ZOSIĘ! ZA ZOSIĘ!

Jestem złem. Demonem zemsty, który nie spocznie, dopóki nie odpowie krwią na krew. Krzywda na krzywdę. Dźgam ją więc coraz szybciej i szybciej, sprawiając, że krew tryska jej z brzucha, a rodzące się w niej nowe życie zostaje unicestwione.

– P-proszę... B-błag-gam – szepcze konająca kobieta, mimo iż doskonale wie, że jest już za późno i dla niej, i dla dziecka. Dokonało się.

Tuż po tym, jak zadaję ostatni cios, przed oczami rozpościera mi się gęsta mgła, w której dostrzegam ludzką postać. Po paru sekundach orientuję się, że to Zosia. Kroczy ku mnie z wyciągniętą ręką i uniesionymi kącikami ust. Wygląda tak młodo i niewinnie... Dokładnie taką ją zapamiętałem. W pewnym momencie zatrzymuje się i obserwuje mnie z odległości kilku metrów. Próbuję ją zawołać, ale z moich ust wydobywa się jedynie głuchy krzyk. Nie mogę też się poruszyć. Jestem tak blisko siostry, a zarazem tak daleko. Pragnę rzucić się jej w ramiona, ale desperacko walczę z blokującymi mnie siłami. O niczym bardziej nie marzę niż o wyszeptaniu jej do ucha, że

myślę o niej każdego dnia. Muszę się też dowiedzieć, że jest jej dobrze tam, po drugiej stronie. Ona jednak nie pozwala mi się do siebie zbliżyć. Nagle jej twarz przybiera ponury wyraz. Zanim odwraca się do mnie plecami, przesywa mnie surowym wzrokiem, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że nie jest usatysfakcjonowana popełnioną przeze mnie zbrodnią. Zosia domaga się kolejnych ofiar. Wszyscy, którzy ją skrzywdzili, muszą ponieść karę. Dopiero wtedy jej duch osiągnie spokój.

– Zosiu... – szepczę, gdy jej sylwetka znika we mgle. Ta następnie rozplywa się, przenosząc mnie z powrotem do starej stodoły. – Chryste... – wzdycham, wpatrując się w leżącą obok Anetę. Jej szeroko otwarte oczy ukazują puste, pozbawione emocji spojrzenie. Żona Sławka ma też lekko rozchylone usta. Zupełnie jakby na sekundę przed śmiercią próbowała jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Wstrząśnięty tym, co zrobiłem, przenoszę wzrok na jej zmasakrowany brzuch, który przypomina podziurawione sito. Nie dostrzegam na nim ani jednego fragmentu skóry, który nie byłby splamiony sączącą się z niezliczonych ran krwią. Na domiar złego ostry nóż poprzecinał jelita, których fragmenty wychodzą na powierzchnię przez szerokie, głębokie dziury. Dłużej nie dam rady na to patrzeć. I wtedy znów odzywa się do mnie demon, który nakazuje, bym zanurzył dłoń w jeziorze krwi i wyciągnął z niego to, co pozostało z pięciomiesięcznego płodu. Domaga się trofeum symbolizującego moje zwycięstwo nad złem. Szepcze mi do ucha, że wystarczy odcięta rączka lub główka. Brakuje mi jednak odwagi. Oszołomiony biegnę do wyjścia, chcę być jak najdalej od zwłok.

„Ty tchórze! Wracaj!”

Znajduję się blisko uchylonych drzwi do stodoły, gdy dopadają mnie mdłości, przez co upadam na kolana i przez kilka minut wymiotuję. W głowie szumi mi od nakładających się na siebie wrzasków, pogardliwych chichotów i milionów głosów, które coś do mnie mówią. Nie jestem jednak w stanie ich zrozumieć. Boże, co się ze mną dzieje? Czy to już oznaka szaleństwa? Niech to się wreszcie skończy! Niech zapadnie cisza!

Budzę się w zamarzającej kałuży wymiocin i szybko wstaję z ziemi. Całe szczęście policzek nie zdążył mi do niej przymarznąć. Następnie wybiegam przed stodołę i rozglądam się dookoła. Oddycham z ulgą, gdy nie docierają do mnie żadne podejrzanego odgłosy ani światła latarek czy lamp samochodowych.

Wszystko wskazuje na to, że jestem tu całkiem sam. Wracam więc do środka, a potem staję nad martwą Anetą i przyglądam się ciemnej plamie krwi, w której leży. Już wiem, że dziś nie zdołam zatrzeć śladów zbrodni, bo marzę tylko o tym, by znaleźć się w łóżku i pogrążyć w błogim śnie. Niestety muszę przynajmniej ukryć ciało. Pierwotny plan zakładał zakopanie jej gdzieś w ziemi kilka kilometrów stąd. Nie wziąłem jednak pod uwagę utwardzonej w wyniku ujemnych temperatur gleby. Wygląda na to, że nie mam wyboru i muszę schować ją na terenie swojej posiadłości. Oby tylko Sławek nie zaczął mnie podejrzewać. Tylko czy ma jaja, by przyznać się do tego, co zrobił Zosi? Oczywiście, że nie. Nie muszę się go zatem obawiać. To koniec naszej wspólnej historii. Sławek Dudek poniósł karę. Teoretycznie na świecie powinna zapanować harmonia. A jednak wiem, że śmierć Anety to dla Zosi za mało. Widziałem to w jej oczach. Moja siostra domaga się więcej krwi. I nie da mi spokoju, dopóki nie zrealizuję jej bestialskiego planu zemsty.

ROZDZIAŁ 4

OBECNIE

– Jak pani wie, nigdy wcześniej nikomu nie wyjawiałem, w jaki sposób zamordowałem Anetę i co zrobiłem z jej ciałem... – odzywam się do przejętej moją opowieścią Julii.

– Czuję się zatem zaszczycona, że jako pierwsza będę mogła poznać całą prawdę – odpowiada z lekką nutą ironii w głosie dziennikarka. Odnoszę wrażenie, że od czasu, gdy opowiedziałem jej ze szczegółami o morderstwie Elizy, jej stosunek do mnie się zmienił. Cały czas podkreślała, że nie zamierza mnie oceniać, a jednak czasem widzę, jak patrzy na mnie z niekrytą pogardą. Teraz też dostrzegam ją w jej oczach. – To co pan zrobił z ciałem Anety? – pyta po przewertowaniu notatek, a następnie dodaje: – Po aresztowaniu w dziewięćdziesiątym piątym pańska posesja została przeszukana wzdłuż i wszerz. Nigdzie nie natrafiono jednak na ślad Dudkowej...

– Bo jej tam nie było – wyjawiam, a wtedy Julia mruży oczy.

– Jak to? – pyta, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Mało brakowało, bym zamurował jej zwłoki w piwnicy. Zmieniłem jednak zdanie, bo mierzila mnie perspektywa bytowania z nimi pod jednym dachem. Zakopałem więc Anetę w wiacie na opał, a następnie ustawiłem w niej palety, na które wyłożyłem drewno.

– Jakoś nie chce mi się wierzyć, że podczas przeszukiwań nie sprawdzono dokładnie tego miejsca – odpowiada podejrzliwie Julia.

– Pewnie sprawdzono, ale zwłok już dawno tam nie było.

– Słucham?

– Przetrzyzymałem je tam tylko przez kilka tygodni, czekając na nadejście dodatnich temperatur. Gdy wreszcie mrozy ustały, wykopałem zwłoki i przetransportowałem je na okoliczne bagna. Następnie obciążylem je

kamieniami i zatopiłem. Pamiętam, że mało brakowało, a wpadłbym razem z nimi. Bagna bywają zdradzieckie i wymagają maksymalnej czujności. Właśnie dlatego wątpiłem, by komukolwiek chciało się tam szukać zwłok. Przyznam pani, że sam przez te wszystkie lata zapuściłem się tam raptem kilka razy.

– A zatem przez kilka tygodni ciało Anety przebywało na terenie pańskiej posesji. Nie obawiał się pan, że Sławek naśle na pana milicję?

– Tak jak wspomniałem, rzucenie na mnie podejrzeń prawdopodobnie wiązałoby się z koniecznością przyznania się Sławka do tamtego napadu na nasz dom.

– Zrozpaczony mąż, którzy drży o życie ciężarnej żony, raczej zrobiłby wszystko, by ją odnaleźć. Nawet gdyby narobił sobie w ten sposób kłopotów – zauważa Julia.

– Być może, ale finalnie nikt mnie o nic nie podejrzewał. Okazało się, że Sławek nie był z żoną do końca szczery i za jej plecami wciąż zadawał się z wieloma podejrzanymi ludźmi. U niektórych narobił sobie nawet długów.

Julia zagląda w notatki i przez dłuższą chwilę się w nich zaczytuje.

– Przez pewien czas głównym podejrzanym o uprowadzenie Anety był niejaki Tomasz Kontarek. Wiadomo, że miał powiązania z kibolami Motoru Lublin.

– Był też karany za rozboje i kradzieże. Generalnie bardzo śliski typ, który naturalnie wydał się Sławkowi podejrzany. Wie pani, od napadu na mnie i Zosię minęło wiele lat i przez ten czas Sławek zdążył sobie narobić wystarczająco wielu wrogów, by zapomnieć o moim istnieniu.

– Miał pan zatem sporo szczęścia – zauważa Julia, po czym pyta: – Dlaczego trzy lata później podrzucił mu pan obrączkę żony i pluszowego misia?

– Naprawdę się pani nie domyśla?

Dziennikarka wertuje strony w zeszycie i po chwili odpowiada:

– Biorąc pod uwagę wszystko, co od pana usłyszałam do tej pory, zgaduję, że po okresie względnego spokoju znów odezwały się w panu demony... Najwyraźniej to, co pan zrobił, im nie wystarczało.

– Owszem, moja kondycja psychiczna nie była wtedy najlepsza. Właściwie to przechodziłem poważne załamanie nerwowe i nieustannie zmagalem się z myślami samobójczymi.

– Spytałem wprost: czy popełnił pan w tamtym czasie jakieś zbrodnie? Opowiedział mi pan bowiem o dwóch morderstwach, za które trafił pan do więzienia, jednak wciąż nic nie wiem na temat pozostałych ofiar.

– A skąd pewność, że było ich więcej? – Uśmiecham się wymownie do Julii.

– Ale... Przecież w każdej plotce jest ziarnko prawdy. Chce pan powiedzieć, że ci wszyscy eksperci się mylili? – pyta z wymalowanym na twarzy zaskoczeniem, które po chwili przechodzi w rozczarowanie.

– Powiem pani, jak było: zaczęło się od tego kretyna Jana Mituły, który postanowił zabłysnąć, rzucając pod moim adresem niepoparte żadnymi dowodami oskarżenia. Nagle zainteresowały się mną wszystkie spragnione sensacji media.

– A pan to podsycił swoim nonszalanckim zachowaniem i tym, że nie chciał pan współpracować z sądem – zauważa Julia. – Nigdy nie zaprzeczył pan tym zarzutom. Wręcz przeciwnie: nakręcał pan wokół siebie mit najstraszliwszego seryjnego mordercy w dziejach Polski.

– Przyznaję, że być może sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybym okazał skruchę, zwłaszcza na początku procesu. Po zatrzymaniu poczułem jednak wyzwalającą ulgę, że moje zbrodnie wyszły wreszcie na jaw. Zbyt długo żyłem w strachu przed demaskacją. Rozluźniłem się i pozbyłem wszelkich wyrzutów sumienia. A urastająca do niebezpiecznych rozmiarów nagonka tylko utwierdziła mnie w przekonaniu, że na dobrą sprawę nie miałem za co przepraszać. Wierzyłem, że to społeczeństwo powinno być czuć się winne z powodu swojego zaślepienia. Nikt nie dostrzegał lekcji, które płynęły z moich czynów.

– Tak, tak, harmonia na świecie i tak dalej... – rzuca lekceważąco dziennikarka.

– Od początku wiedziałem, że nie podziela pani moich poglądów – prychnam, po czym dodaję: – Nie mam do pani o to żalu. Wszak nikt nigdy nie dostrzegł w świecie tego, co ja.

– Czy nie przeszło panu kiedykolwiek przez myśl, że to pan się myli?

– Wiele razy, ale widzi pani, nikt nigdy nie przedstawił mi dowodu na to, że moje przekonania są błędne. Mijały lata, a ja coraz mocniej się w nich utwierdzałem. Ale wróćmy do tematu: gdy już cała Polska zaczęła żyć moją sprawą, zaczęli się do niej podczepiać kolejni eksperci od siedmiu boleści.

Wszyscy chcieli coś na mnie ugrać. Nikogo nie obchodziła prawda. Minęło parę miesięcy i nazwisko Mayer kojarzyło się wszystkim ze stoma morderstwami. Odważę się stwierdzić, że sąd nie skazałby mnie na dożywocie, gdyby nie te plotki... Jak już jednak wspomniałem: wybrałem strategię pójścia ze społeczeństwem na czołowe zderzenie. Finalnie przegrałem wszystko – wzdycham, po czym spoglądam głęboko w oczy zasępionej Julii: – Czyżbym panią rozczarował?

– Rozczarował? – Przepytująca mnie kobieta zdusza śmiech. – Raczej odetchnęłam z ulgą, iż nie jest pan aż takim potworem, za którego od lat uważają pana Polacy. – Po tych słowach przenosi wzrok na zeszyt i przez kilka sekund uważnie czyta notatki. – Milena Skórska...

– Hm? – Obrzucam ją pytającym spojrzeniem.

– Chodzi mi o córkę strażnika więziennego, który się nad panem znęcał – precyzuje.

– Przecież wiem, o kim pani mówi. Nie rozumiem tylko, dlaczego ją pani przywołała...

– Jak to dlaczego? Jej ojciec upierał się, że to pan ją uprowadził.

– Nie zrobiłem tego – odpowiadam stanowczo.

– Nie? – dopytuje Julia. Ewidentnie nie potrafi zaakceptować prawdy.

– Nie mam nic wspólnego ze zniknięciem Mileny. Niby po co miałbym ją krzywdzić? Przecież nie znałem wtedy jeszcze jej ojca. Jaki wpływ na harmonię świata wywarłaby jej śmierć?

– Kończąc opowieść o morderstwie Anety, powiedział pan, że duch Zosi nakazał panu popełnić kolejne morderstwa – zauważa pisarka. – Może wewnętrzne demony wmówiły panu, że skoro już pan pomścił siostrę, to nadszedł czas na pomszczenie wszystkich niewinnych ofiar tego świata?

– Proszę przyznać, że obawia się pani, iż brak stu ofiar wpłynie negatywnie na sprzedaż książki.

– Akurat to nie gra żadnej roli. Zbudujemy promocję w oparciu o krążący na pański temat mit. Ludzie będą kupowali książkę, przekonani, że znajdą w niej opisy stu mordów.

– No tak, a później rozczarowani będą jej wystawiali negatywne recenzje.

– O to proszę się nie martwić. Opłacę recenzentów, którzy jeszcze przed premierą zasypią internet pozytywnymi opiniami – zapewnia Julia. –

A zatem zamordował pan dwie osoby...

– Niektórzy uznają, że dziecko w łonie matki można potraktować jako trzecią ofiarę.

– Być może, ale zgodnie z prawem karnym o człowieku mówimy w sytuacji rozpoczęcia akcji porodowej – stwierdza Julia, po czym przykładą dłoń do ust.

– A przecież Aneta na krótko przed śmiercią skarżyła się na bóle. Niewykluczone, że stres i obrażenia wywołały przedwczesny poród.

– Proszę, proszę, co za podekscytowanie w pani oczach... Czyżby właśnie wpadła pani na kolejny sposób promocji książki? Już widzę tysiące czytelników prowadzących ożywione ideologiczne dyskusje na temat tego, czy dziecko było moją trzecią ofiarą, czy nie było. I znowu nikt nie skupi się na tym, co w mojej historii najważniejsze. – Kręcę z niezadowoleniem głową.

– Nie będę robiła niczego wbrew panu – deklaruje dziennikarka. – Natomiast uważam, że powinniśmy rozważyć wywołanie debaty ideologicznej. Trzeba bowiem dopuszczać ewentualność, że rozczarowania pańskim życiorysem nie przykryją nawet pozytywne opinie o książce. Jeśli do tego dojdzie, będziemy musieli podrzucić ludziom zastępczy temat.

– Wspomniała pani o duchu Zosi... – rzucam.

– Eee... I co w związku z tym?

– Ani on, ani pozostałe demony nie nakazywały mi zbawiać świata. One pragnęły tylko wyrównania rachunków za cierpienia mojej siostry. Upierały się, że przelałem za mało krwi.

– Chce pan powiedzieć, że jednak było więcej ofiar? – Oczy Julii błyszczą z podekscytowania.

– O tym opowiem w kolejnej części. – Posyłam jej łotrzykowski uśmiech, po czym wyjawiam tytuł.

CZEŚĆ 6
ZBRODNIA BEZ
PRZEDAWNINIENIA

ROZDZIAŁ 1

ROK 1990

– Czy ciebie popierdoliło, człowieku?! Gdyby nie to, że w ostatniej chwili odbiłem w prawo, pewnie byś mnie staranował! – wydziera się na mnie z samego rana kierowca dużego fiata, któremu chwilę wcześniej zajechałem drogę tirem. To cud, że obaj wyszliśmy z tego incydentu bez szwanku.

– Przepraszam. Ja... musiałem chyba przysnąć. Miałem ciężką noc. – Przecieram dłońmi zmęczone oczy. Wtedy nieznajomy opluwa mi drzwi, a następnie pokazuje środkowy palec i wraca do auta. Gdy odjeżdża, oddycham z ulgą, że nie wezwał drogówki. Zeszłej nocy wlałem w siebie dwie butelki wina i wciąż kręci mi się w głowie. Na domiar złego zasnąłem dopiero koło czwartej, niecałe dwie godziny przed planowaną pobudką. Siadając za kierownicą, doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że nie nadaję się do prowadzenia tira. Odkąd pracuję za kółkiem, nigdy nie pozwoliłem sobie na tak nieodpowiedzialne zachowanie. Szef nalegał jednak wczoraj, bym wrócił z Warszawy przed południem i udostępnił tira innemu kierowcy. Nie miałem wyboru. Musiałem zaryzykować.

Czuję, że zacznę trzeźwieć i jeśli zaraz nie wypiję mocnej kawy, narażę kolejnych kierowców na niebezpieczeństwo. Zajeżdżam więc pod pierwszą napotkaną po drodze karcznię i zamawiam podwójne espresso. Do Chełma zostało mi jakieś sto dwadzieścia kilometrów. Muszę zacisnąć zęby i maksymalnie się skupić. Nie mogę też pod żadnym pozorem myśleć o tym, o czym dowiedziałem się wczoraj w trakcie wyładunku towaru u klienta, dużego producenta głośników BDTC. To właśnie ta informacja sprawiła, że tak strasznie się upiłem. Nie widziałem innego sposobu na wyciszenie szalejących w mojej głowie demonów. Chwilowo udało mi się nad nimi zapanować, ale niewiele potrzeba, bym znów pogrążył się w chaosie. Oby nie

nastąpiło to w trakcie jazdy. Nawet najmniejszy błąd pociąga za sobą ryzyko utraty pracy. Nie wspomnę już o problemach z prawem. W mojej obecnej sytuacji nie mogę sobie pozwolić ani na jedno, ani na drugie.

Szczęśliwie dalsza podróż przebywa bez zakłóceń. Na wszelki wypadek po drodze wypijam jeszcze jedno podwójne espresso, a później koncentruję się na utworach z albumu *Nocny patrol* zespołu Maanam. Po przyjeździe do fabryki zdaję szefowi relację z pobytu w siedzibie BDTC. Za każdym razem, gdy z moich ust pada nazwisko prezesa firmy, dosłownie łamie mi się głos, a demony w głowie wybuchają pogardliwym rechotem, jakby cieszyła je moja niekończąca się gehenna. Ksawery Malczyk. Na początku myślałem, że to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk, tym bardziej że prezes BDTC nie jest w ogóle podobny do człowieka, który odebrał mojej siostrze dzieciństwo. Gdy jednak po opuszczeniu budynku zauważyłem zmierzającego ku wejściu starca, zrozumiałem, że wskoczyłem prosto w paszczę lwa. Waldemar Malczyk, były przełożony mojego ojca i oprawca Zosi, znajdował się w odległości raptem kilku metrów ode mnie.

Na jego widok momentalnie zastygłem, a potem cofnąłem się w czasie do chwili, w której zobaczyłem go trzymającego na kolanach moją nagą siostrę. Ohydny pedofil nigdy nie poniósł kary za to, co jej zrobił. Mało tego: wiódł szczęśliwe, rodzinne życie, latami ukrywając przed bliskimi swoją prawdziwą naturę. Gdy ochłonałem, przyjrzałem mu się dokładnie. Nikt nie uwierzyłby, że ten lekko zgarbiony, łysy i pomarszczony staruszek z szerokim uśmiechem dopuścił się w przeszłości czegoś takiego. Stary Malczyk prowadził za rękę kilkuletnią dziewczynkę, prawdopodobnie swoją wnuczkę. W pewnym momencie zatrzymał swój wzrok na mnie. Na myśl o tym, że zaraz mnie rozpozna, zmiękły mi nogi, a w gardle stanęła mi wielka gula. Nic takiego jednak się nie stało, na szczęście spytał jedynie, czy dobrze się czuję, bo miałem ponoć minę, jakbym zobaczył ducha...

– Nic mi nie jest, dziękuję – rzuciłem, po czym oddaliłem się szybko w stronę tira.

Spotkanie z Malczykiem uświadomiło mi, że dopóki nie zaprowadzę harmonii na świecie, mój koszmar nigdy się nie skończy. Będzie do mnie wracał w najmniej oczekiwanym momencie i przypominał o dźwiganym od lat na plecach krzyżu. Odkąd po raz ostatni widziałem Malczyka z rodziną na

mieście, minęło tyle czasu, że uwierzyłem, iż już nigdy więcej nie ujrzę tej parszywej gęby. Przestałem się interesować jego losem i szczerze mówiąc, nawet nie wiedziałem, czy jeszcze żyje. Tymczasem on nie dość, że jak na swój wiek trzyma się świetnie, to jeszcze doczekał się syna przedsiębiorcy. Właśnie spełnia się mój najczarniejszy scenariusz.

– Dobra robota, Tytus. – Szef poklepuje mnie po ramieniu, po czym wyjaśnia, dlaczego kontrakt na dostawę mebli do nowego biura BDTC jest dla nas tak istotny: – To jedno z najszybciej rozwijających się przedsiębiorstw w Polsce. W ciągu najbliższych lat planują otworzyć biura w Krakowie, Gdańsku, Poznaniu i we Wrocławiu. Ksawery wstępnie obiecał mi kontynuowanie współpracy. Musimy zrobić wszystko, by byli zadowoleni z naszych usług i produktów.

Następnie dowiaduję się, że gdyby nie stary Malczyk, nigdy nie doszłoby do współpracy obu firm. To on po znajomości polecił nas bowiem synowi. Z ciekawości sprawdzę, czy jego drugi syn lub córka nie zajmują przypadkiem jakiegoś wysokiego stanowiska w cementowni w Chełmie. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tatuś przed emeryturą zatroszczył się o ich ciepłe posadki.

Zanim opuszczam gabinet szefa, pytam go, czy w najbliższym czasie przewiduje jeszcze jakieś dostawy do BDTC.

– Na razie nie, ale Ksawery ma nas polecić znajomym przedsiębiorcom. – Zaciera z zadowoleniem ręce. – Przygotuj się zatem na częste wizyty w Warszawie.

W drodze do domu wstępuję do sklepu i kupuję trzy butelki wódki. Do wieczora opróżniam dwie z nich i kompletnie pijany wymiotuję na podłogę w kuchni. Następnie zamykam się w pokoju, który należał kiedyś do Zosi, i kładę się w jej łóżku. Tak bardzo kręci mi się w głowie, że marzę już tylko o tym, by zasnąć. Niestety moje demony z biegiem lat uodporniły się na wyciszające działanie alkoholu. W efekcie do późnych godzin nocnych nie dają mi spokoju, nakierowując moje myśli na Malczyka i na nowo budząc we mnie nienawiść do tego zwyrodnialca. Błagam je, by dały mi spokój choć na parę godzin. Ostatnie dwa dni wykończyły mnie bowiem psychicznie i fizycznie. Moje ciało desperacko domaga się snu. W odpowiedzi demony zsyłają na mnie gęstą mgłę, w której dostrzegam Zosię. Moja siostra ma spuchniętą od łez twarz. W jej oczach dostrzegam zaś panikę.

– Zosiu! – Chcę do niej podbiec, ale nie mogę się ruszyć. – Zosiu, jestem przy tobie! Nic ci nie grozi!

– Kłamiesz! Wtedy też mówiłeś, że mnie ochronisz – odzywa się do mnie z pretensją.

– Ale... Zosiu...

– Pozwalałeś, by Malczyk robił ze mną, co chce.

– To nie tak! Chciałem ci pomóc, ale...

– Zamknij się! – warczy na mnie przez zaciśnięte zęby. Nigdy nie widziałem jej tak wzburzonej. – Byłeś jedyną osobą, która mogła mnie przed nim ocalić. Tymczasem chowałeś się w swoim pokoju i dbałeś o własny tyłek!

Jej nienawistne spojrzenie działa jak nabój, który trafia mnie prosto w serce i roztrzaskuje je na wiele małych kawałków.

– Nieprawda! Zosiu, przecież to ja doniosłem na Malczyka dyrektorowi. Gdyby nie ja, ojciec jeszcze długo by mu pozwalał cię krzywdzić.

– Zbyt długo zwlekałeś – nie odpuszcza duch mojej siostry. – Powinieneś był działać od razu. A tak pozwalałeś, by ten cap... – urywa, po czym upada na pokrytą mgłą ziemię i zanosi się płaczem.

– Zosiu! – Zrozpaczony zmuszam swoje ciało do ruchu, ale zupełnie mnie nie słucha. Tymczasem Zosia szlocha coraz głośniej i głośniej, chowając twarz w dłoniach. – Zosiu, przepraszam! Wiem, zawiodłem, ale robię wszystko, by ci to wynagrodzić!

Po tych słowach moja siostra momentalnie przestaje płakać i piorunuje mnie wzrokiem.

– Wszystko? Skoro tak, to dlaczego pozwalasz, by Malczyk od tylu lat korzystał z życia, podczas gdy mnie od dawna zjadają robaki?

– Ale...

Nagle oczy młodej znikają, a w ich miejscu pojawiają się dwie głębokie dziury. Chwilę później z jej ust wypadają wszystkie zęby, włosy blakną i przybierają wygląd wysuszonego siana, zaś cera gnije w błyskawicznym tempie, powodując gwałtowne zapadnięcie się nosa i policzków. Przerażony próbuję zamknąć oczy, ale nie jestem w stanie.

– PATRZ NA TO, KIM SIĘ PRZEZ CIEBIE STAŁAM! – dudni mi w głowie diabelski głos mojej siostry.

– WYBACZ MI, ZOSIU! – krzyczę przez łyzy, gdy zgniła skóra odpada od niej fragmentami, odsłaniając szkielet i rozkładające się wnętrzności. – BŁAGAM!

Nagle zapada kompletna ciemność. Kilka sekund później w oddali pojawia się świetlisty punkcik. Z każdą sekundą coraz bardziej się do mnie zbliża. W pewnym momencie orientuję się, że to Zosia, ale w wieku nastoletnim. Kroczy ku mnie ubrana w zwiewną, białą sukienkę bez ramiączek. Wygląda tak słodko i niewinnie. Ma gładziutką skórę, różowiutkie policzki i piękne długie włosy.

– Cześć, brat – rzuca, po czym posyła mi delikatny uśmiech.

– Zosiu... siostrzyczko – mówię, połykając łyzy. – Wróc do mnie...

– Chciałabym, ale wiesz, że to niemożliwe – odpowiada z nutą żalu w głosie.

– W takim razie powiedz chociaż, czy jest ci tam dobrze?

– Nie narzekam, ale mogłoby być lepiej.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Moja siostra spuszcza głowę i pociąga nosem.

– Tak. I dobrze wiesz, co – odpowiada, po czym zwraca się do mnie plecami i powoli oddala.

– Zosiu, zaczekaj! Zosiu! Pozwól mi się chociaż przytulić!

– Nie mogę...

– Zosiu, proszę! – wołam ją zapłakany.

– Najpierw wypełnij zadanie. Potem zobaczymy...

– NIE ODCHODŹ! – krzyczę, ile sił w płucach, a wtedy rzeczywistość wokół mnie wiruje niczym woda w umywalce po wyciągnięciu korka. – ZOSIU! – krzyczę po raz ostatni, zanim uzmysławiam sobie, że znajduję się z powrotem w jej łóżku. Jestem zlany potem, ciężko oddycham, a serce wali mi jak dzwon. To był tylko zły sen... A może nie? Opuszczam głowę na poduszkę i przez kilka minut dochodzę do siebie. Następnie wstaję i podchodzę do okna. Jest już poranek, nastał nowy dzień. Świat budzi się do życia. Niestety niektórzy to życie tracą. Może jeszcze nie dziś, ale już wkrótce. Już ja o to zadbam...

ROZDZIAŁ 2

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

ROK 1990

Od ponad godziny krążę po parku XXX-lecia i obserwuję z dystansu spacerującego z wnuczką Waldemara Malczyka. Wiem, że ma na imię Kornelia i niedawno skończyła pięć lat. Ksawery przedstawił mi ją trzy tygodnie temu, gdy przyjechałem do siedziby BDTC z kolejną dostawą. Rozmawialiśmy chwilę i wyjawiał mi, że mała spędzi z dziadkiem pierwsze dwa tygodnie lata.

– To będą jej pierwsze wakacje bez babci – westchnął z wymalowanym na twarzy smutkiem. – Miałem wątpliwości, czy powinienem ją zrzucić tacie na głowę, ale stwierdził, że właśnie tego potrzebuje. Ludzie w żałobie chwytają się najróżniejszych zajęć, byle nie myśleć o zmarłych bliskich. – Gdy to mówił, potakiwałem mu z udawanym współczuciem. Nie miał pojęcia, że między innymi z winy jego ojca przechodziłem dużo większe piekło. I przez te wszystkie lata nie wziąłem odwetu.

Wakacje Malczyka z wnuczką to dla mnie idealna okazja, by wypełnić wolę Zosi i sprawić, że jej duch wreszcie zazna spokoju. Moja siostra w akompaniamencie nękających mnie demonów od tygodni przypomina mi, że jestem jej to winien. Złowieszcze echo towarzyszy mi rano, tuż po przebudzeniu, w trakcie pracy i przed snem, gdy leżę już w łóżku i bezskutecznie staram się wyciszyć. Miałem nadzieję, że po tylu latach funkcjonowania z chaosem w głowie w końcu nauczę się go zwalczać. Demony jednak nieustannie przybierają na sile. Chwilami odnoszę wrażenie, że staję się jednym z nich. Coraz częściej tracę bowiem kontakt z rzeczywistością. Zapominam, jak się nazywam, gdzie mieszkam i czym się zajmuję.

Zapominam, że w ogóle istnieję. Nie mogę dopuścić do tego, by te bestie wyssały ze mnie duszę. Jeśli przypadnę, nikt nie pomści krzywdy Zosi i nie zaprowadzi harmonii na świecie. Jestem jedyną nadzieją mojej siostry. Muszę zatem działać szybko, póki jeszcze jestem w stanie opierać się demonom. Najwyższy czas zabić starego Malczyka. I nie tylko jego.

Przez ostatnie dwa miesiące obserwowałem go w każdej wolnej chwili. Okazało się, że prowadzi bardzo monotonne życie: po siódmej rano wychodzi na zakupy do oddalonego o pół kilometra sklepu. Popołudnie zaś spędza zwykle w domu lub ogrodzie. Z kolei wieczór to dla niego czas na aktywność fizyczną. Cztery razy w tygodniu udaje się na co najmniej godzinną przebieżkę po okolicy, w każdy czwartek uczęszcza na trening boksu, a w soboty i niedziele gra w piłkę nożną z kolegami z klubu seniorów. Dziś jest wtorek, a to znaczy, że po ósmej wyjdzie na ulicę i ruszy truchtem w kierunku pobliskiego lasu. W tym czasie Kornelia, która mieszka u niego już prawie tydzień, będzie przebywać w domu zupełnie sama. Podejrzewam, że stary najpierw tuli ją do snu i wychodzi dopiero wtedy, gdy mała zasypia. W każdym razie ze względu na wnuczkę skrócił znacznie trasę biegu i wraca do domu już po dwudziestu minutach. Będę miał niewiele czasu na działanie.

Rozważam dwie opcje: włamanie się do domu, unieszkodliwienie małej i zaczekanie na powrót starego albo dopadnięcie go gdzieś po drodze, najlepiej w pobliżu domu. Druga opcja wydaje się bezpieczniejsza z dwóch powodów. Po pierwsze: niewykluczone, że w domu Malczyka zainstalowany jest system antywłamaniowy. A po drugie: jego posesja jest otoczona łąkami i zaroślami. Najbliższy dom znajduje się przy głównej drodze, jakieś dwieście metrów dalej. Nie powinien mi więc nikt przeszkadzać. Wprawdzie po drugiej stronie ulicy mieści się prowizoryczny parking dla osób odwiedzających las, ale wieczorem zwykle jest pusty. W ostatnich tygodniach regularnie się na nim czałem. Skoro Malczyk dotychczas nie zwrócił na mnie uwagi, to dlaczego miałby to zrobić dzisiaj? Zatem postanowione. Poczekam na niego na parkingu, a gdy znajdzie się blisko domu, ruszę ku niemu z atrapą pistoletu i nakażę mu wprowadzić mnie do domu. A potem wypełnię wolę mojej siostry. Dzisiejszego wieczora świat stanie się piękniejszym miejscem.

Tuż przed dziewiątą, krótko po zachodzie słońca, zdyszany Malczyk zatrzymuje się w pobliżu swojej posesji i pochyla mocno do przodu ze skrzywioną miną. Po kilku głębszych wdechach prostuje się i przeciąga. Mam ostatnią szansę na atak. Na zewnątrz wciąż jest jednak stosunkowo jasno, co odbiera mi odwagę. Wystarczy jeden przejeżdżający obok samochód, by mój plan wziął w łeb. Spoglądam na trzymaną w dłoni kominiarkę i zastanawiam się, czy powinienem tak ryzykować. Może lepiej dziś odpuścić i zastanowić się nad innym planem? Malczyk nie należy do szczególnie ostrożnych ludzi. Na pewno nadarzy się jeszcze niejedna okazja. I już mam się wycofać, gdy z tyłu głowy dochodzi mnie jęk Zosi. Moja siostra wścieka się, bo po raz kolejny ją zawiodłem. Nie, nie mogę teraz odpuścić... Podarowałem temu zboczeńcowi zbyt wiele dni. Powinien od dawna gnić w zimnej ziemi pośrodku ciemnego lasu. Moje miłosierdzie się wyczerpało. Zapewnię Zosi spokojną wieczność.

Wychylam głowę zza rosnącego na parkingu drzewa i patrzę na Malczyka, który kroczy wolno w kierunku furtki, masując sobie obiema dłońmi biodra. Zanim do niej dociera i przekracza teren posesji, zakładam na głowę kominiarkę i wydaję z kieszeni atrapę pistoletu. Następnie wybiegam z ukrycia i dopadam Malczyka, zanim ten zdąży się odwrócić i zorientować, że nie jest sam.

– Żadnych gwałtownych ruchów – szepczę mu do ucha, przyciskając mu do pleców lufę pistoletu. Zaskoczony i zdezorientowany Malczyk wydaje z siebie ciche westchnięcie, a następnie wykonuje lekki skręt głowy. Wtedy popycham go na mur otaczający posesję i dociskam pistolet. – Chyba coś powiedziałem.

– Błagam, w domu czeka na mnie wnuczka – jęczy stary. – Ma pięć lat i jeśli zbyt długo przebywa sama, zaczyna się niepokoić...

– Zamknij się – syczę, po czym każę mu otworzyć furtkę. Zdenerwowany Malczyk wkłada drżącą dłoń w kieszeń krótkich spodenek, a następnie wyjmuję z niej klucze. Mało brakuje, by upuścił je na ziemię. – Szybciej, do cholery!

– Już, już... – Malczyk przekręca dwukrotnie kluczyk i naciska na klamkę. Chwilę później jestem w przestrzennym ogrodzie, w którym wszystko wydaje się idealne. Idealnie przystrzyżona trawa, krzewy o kulistych kształtach, ułożona równiutko, co do milimetra, kostka brukowa i usypana wzdłuż niej

kora, spod której nie wystaje choćby najmniejszy chwast. Widać jak na dłoni, że po śmierci żony Malczyk rzucił się w wir przydomowej pracy. Ogród prezentuje się iście światowo. Zresztą to samo mogę powiedzieć o piętrowym domu z wielkimi, drewnianymi oknami i dachem wyłożonym elegancką starą dachówką. Szlag mnie trafia na samą myśl o tym, że podczas gdy ja kisiłem się w swoim cuchnącym pokoju, przez wiele lat praktycznie nie zaglądając do sypialni rodziców czy Zosi, Malczyk rozkoszował się bajkowym życiem w wielkiej willi. Ale już niedługo...

– Szybciej – poganiam go, dociskając mu pistolet do kręgosłupa. Wreszcie docieramy do głównych drzwi, które ku mojemu zaskoczeniu nie są nawet zamknięte na klucz. – Aż tak pewnie się czujesz, że zostawiasz wnuczkę samą w domu i nawet jej nie zamykasz? – pytam drwiąco, po czym popycham starego z taką siłą, że ten traci równowagę i upada na drewnianą podłogę.

– Proszę, tylko nie budź Kornelci – mówi cichym, drżącym głosem, zerkając z przerażeniem ku biegnącemu wzdłuż korytarza rzędowi drzwi. – Bierz, co tylko chcesz. Mogę cię zaprowadzić do sejfu. Wszystko jest twoje, tylko błagam, nie krzywdź mojej wnusi.

– Wstawaj – rzucam, a wtedy Malczyk obrzuca mnie pytającym spojrzeniem, jakby stres pozbawił go znajomości języka polskiego. – No co się tak gapisz? Wstawaj!

– Dobrze, dobrze. – Stary podnosi się z podłogi i staje przede mną zgarbiony, zatapiając wzrok w podłódze.

– Prowadź do salonu – mówię stanowczo, przez cały czas trzymając wycelowany w niego pistolet.

– Oczywiście.

Po chwili wchodzimy do skromnie, lecz elegancko urządzonego pokoju, którego powierzchnia musi być większa niż całego mojego domu. Mieszczą się w nim duży, czarny kominek, pianino w podobnym kolorze, podłużna komoda i wielki szklany stół, przy którym spokojnie zasiadłoby z dziesięć osób.

– Zasłoń wszystkie okna – rozkazuję mu. Sam w tym czasie zapalam stojącą na komodzie lampkę. Następnie wskazuję Malczykowi ustawioną na środku pomieszczenia szarą sofę. – Stop – mówię, zanim na niej siada, po czym każę mu ustawić się plecami do mnie. – Ręce do tyłu.

– Proszę... – jęczy Malczyk, gdy oklejam mu je w nadgarstkach taśmą stolarską. W dalszej kolejności unieruchamiam mu nogi. Po tym, jak kończę, obracam go przodem do siebie i zaklejam mu usta wąskim paskiem. Dopiero wtedy popycham go na sofę.

– Zaraz wracam. – Uśmiecham się do niego złowieszczo i wychodzę na korytarz, ignorując jego rozpaczliwe jęki. A potem zaglądam do znajdującego się naprzeciwko salonu ciemnego pokoju. Po zapaleniu światła orientuję się, że nikogo w nim nie ma. Przechodzę więc do kolejnego pokoju, ale zastaję tam jedynie puste, królewskie łóżce. I pomyśleć, że sam od lat śpię na twardym, wąskim tapczanie... – Gdzie jesteś, mała kurwo? – mruczę po wyjściu na korytarz, a następnie zatapiam wzrok w znajdujących się na jego końcu uchylonych drzwiach. Już mam ku nim ruszyć, gdy z salonu dobiega do mnie cienki dziecięcy głos:

– Dziadziu, dlaczego masz taśmę na ustach?

W pośpiechu wracam do salonu i spostrzegam stojącą tyłem do wejścia drobną, ubraną w różową piżamkę blondyneczkę. Na mój widok Malczyk robi wielkie oczy i omal nie podskakuje na sofie, wydając z siebie przy tym zabawne warknięcia. W odpowiedzi przykładam palec do ust, dając mu do zrozumienia, że ma się czym prędzej uspokoić. Nie chcemy przecież denerwować Kornelii, prawda? Niestety stary jest już do tego stopnia ogarnięty strachem o bezpieczeństwo wnuczki, że podejmuje nieudaną próbę wstania z sofy. W efekcie traci równowagę i upada na podłogę.

– Dziadziu! – Kornelia kuca przy nim i próbuje go podnieść. Wtedy ruszam w ich stronę, patrząc na wierzgającego nogami i nieodrywającego ode mnie wzroku Malczyka. W jego oczach dostrzegam strach. Teraz wie, jakie to uczucie, gdy najbliższa ci osoba jest w niebezpieczeństwie, a ty nie możesz nic zrobić, by jej pomóc. Jesteś bowiem w całości zdany na łaskę oprawcy.

– Uciekaj, wnusiu! Uciekaj! – krzyczy Malczyk, któremu udało się jakimś cudem rozgryźć taśmę. Dopadam jednak Kornelię, zanim udaje jej się za siebie spojrzeć. Wydaje z siebie głośny pisk, gdy chwytam ją w pasie i gwałtownie unoszę. Tymczasem jej dziadek tylko pogarsza sytuację: – **ZOSTAW JĄ! PUSZCZAJ MOJĄ WNUSIĘ! BŁAGAM!**

– Morda albo rozwalę jej łeb – grozę mu chwilę po tym, gdy rzuciłem dziewczynkę na sofę. Przerażona pięciolatka kuli się i zanosi płaczem.

– Dziadziu! Boję się!

– Spokojnie, kochanie. Jestem przy tobie – mówi do niej roztrzęsiony Malczyk. Wtedy podchodzę do niego i mierzę z góry surowym spojrzeniem.

– Wstawaj.

Widzę, jak oprawca mojej siostry nieudolnie próbuje się podnieść z podłogi. Za każdym razem, gdy jest już blisko, natychmiast chwieje się i ląduje na plecach, stękając przy tym z bezsilności. Wreszcie szarpnię go za rękę i zaciągam na sofę.

– Kochanie! – jęczy, gdy Kornelia rzuca mu się w objęcia i jeszcze głośniej szlocha.

– Odsuń się od niego – rozkazuję jej, ale ona wciąż mocno tuli się do dziadka. – Powiedziałem coś! – Mierzę do niej z pistoletu.

– Dziadziu!

– Kochanie, rób, co ten pan każe. Odsuń się, proszę.

Gdy zapłakana gówniara wreszcie zajmuje miejsce na drugim końcu sofy, postanawiam ujawnić im swoją tożsamość. Powoli ściągam kominiarkę i czekam na ich reakcję. Oboje milkną i przyglądają mi się podejrzliwie.

– Co, nie poznajesz mnie? – zwracam się do Malczyka. Ten przetyka ślinę i odpowiada:

– N-nie. P-przepraszam...

– No tak, przecież to tak nieistotny epizod z twojego życia, że miał prawo wylecieć ci z głowy – pry cham, po czym siadam obok Kornelii, która wzdryga się i przysuwa nogi do tułowia. – Spokojnie, maleńka... Nic ci nie zrobię – mówię, głaszcząc ją po jasnych, kręconych włosach.

– Zostaw ją! – syczy Malczyk.

– Albo co? – pytam, celując mu w czoło z pistoletu. Starzec momentalnie blednie i spuszcza głowę. – Chodź na kolanka, Kornelciu – zwracam się do jego wnuczki, jednak ta kompletnie mnie ignoruje. – Nic ci nie zrobię... – Poklepuję się po udach, powoli tracąc cierpliwość. – Kornelciu, chodź do wujka... No już, nie bój się...

– Dziadziu! – jęczy zapłakany bachor, a demony w mojej głowie coraz bardziej się niecierpliwią.

– Chodź na kolanka... – mówię przez zaciśnięte zęby. – No chodź...

– Dziadziu!

– NA KOLANA, MAŁA PIZDO! – Szarpnię ją za włosy i przyciągam do siebie.

– PROSZĘ, NIE! – Malczyk doskakuje do mnie po czym gwałtownie odchyła głowę do tyłu, gdy uderzam go w twarz łokciem.

– Grzeczna dziewczynka – szepczę do ucha siedzącej mi na kolanach i drżącej jak galareta Kornelii. – Bardzo grzeczna... – Następnie zwracam się do jej dziadka: – Patrz na nas. – Czekam, aż obolały Malczyk przeniesie na nas wzrok, po czym wsuwam małej dłoń pod różową koszulkę.

– NIE! – krzyczy starzec, na co reaguję złowieszczym rechotem.

– Czym innym jest robienie tego cudzym dzieciom, a czym innym patrzenie, jak ktoś krzywdzi twojego członka rodziny, czyż nie? – Wsuwam dłoń coraz wyżej, przejeżdżając nią po jej gładkim brzuchu i klatce piersiowej.

– Błagam, to tylko dziecko! – skrzeczy zrozpaczony Malczyk. – Oddam ci wszystkie pieniądze, tylko jej nie krzywdź!

– Pierdolę twoje pieniądze – rzucam, po czym zabieram dłoń i zdejmuję Kornelię z kolan. – Ty naprawdę nic nie pamiętasz...

– Przepraszam, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz – przekonuje mnie oprawca Zosi.

– Sześćdziesiąty szósty. Wtedy to się zaczęło – mówię, ale on tylko kręci głową. Nie mogę uwierzyć, że ten stary chuj naprawdę nie pamięta, jak miesiącami molestował, a może nawet gwałcił moją trzyletnią wówczas siostrę. – Nadal nic?

Malczyk robi minę jak srający kot, po czym wzrusza ramionami.

– To... To było tak dawno temu...

Muszę przyznać, że o ile już wcześniej nienawidziłem go z całego serca, to teraz czuję się tak, jakby wszyscy ludzie na ziemi przesłali mi swoją negatywną energię, którą następnie nakierowuję na niego. Gardzę tym pierdolonym zbrojcem, jest dla mnie zerem. Patrzenie na jego pomarszczony i spuchnięty od łez ryj przyprawia mnie o mdłości. W sumie to może i dobrze, że nadal nie kojarzy faktów. Przynajmniej mam dowód na to, jakim jest ścierwem. Wprawdzie natychmiastowe wyrażenie skruchy niczego by nie zmieniło, ale przynajmniej wzbudziłby we mnie przeświadczenie, że nawet najgorsze bestie potrafią czasem przeprosić za swoje błędy.

– Zosia... – Omal nie załamuje mi się głos, gdy wypowiadam imię siostry. – Zosia Mayer. Nadal nie pamiętasz?

Malczyk cicho wzdycha.

– J-ja...

– Tak... Teraz pamiętasz – uśmiecham się pogardliwie, po czym zagryzam dolną wargę, powstrzymując się od płaczu. – Za bardzo ci się podobało, byś całkowicie o tym zapomniał, mam rację?

– N-nie... To nie tak...

– A jak?

Malczyk odsuwa się ode mnie z przerażoną miną.

– Tytus... Jesteś Tytus, syn Sylwka...

– Twojego byłego pracownika, któremu płaciłeś, by ci pozwalał pieprzyć moją – robię pauzę, gdy nie jestem już w stanie zapanować nad wzruszeniem – moją trzyletnią siostrę... – Zawieszam ponownie głos, po czym zwracam się do jego wnuczki: – Tak, Kornelciu, twój dziadek lubi krzywdzić nawet młodsze od ciebie dziewczynki. Czy tobie też już wkładał palce do cipki?

– Jak śmiesz! – oburza się Malczyk, a ja w odpowiedzi parskam śmiechem.

– Ile dzieci wykorzystasteś przez te wszystkie lata? Przyznaj się. – Moje słowa wyraźnie podburzają starego. Jego twarz przybiera teraz surowy wyraz, a usta układają się w poziomą linię. „Bardzo dobrze. Niech pokaże swoje prawdziwe oblicze” – szepczą mi demony w głowie.

– Mój syn niedługo tu będzie. Wyjdź teraz, to obiecuję, że nic mu nie powiem.

– Ehe, jasne. Przecież wiem, że Ksawery wypoczywa z żoną w Łebie. Sam mi to powiedział.

Malczyk mruży oczy i lustruje mnie wzrokiem.

– Zaraz... Pamiętam cię... Byłeś u mojego syna w firmie. Jesteś tym kierowcą tira...

– Brawo, staruszk. Udowodniłeś, że do demencji ci jeszcze daleko. – Po tych słowach wstaję i wyciągam ku Kornelii dłoń. – Chodź, maleńka.

– Proszę, nie krzywdź jej! Zrób ze mną, co chcesz, ale... Błagam... Nie, proszę... Kurwa, człowieku, przecież to tylko dziecko!

– Zosia też była tylko dzieckiem. Miała trzy lata, gdy się do niej dobrałeś – przypominam mu ze łzami w oczach, a następnie ściskam Kornelię za

przedramię. – Rodzice ci nie powiedzieli, że należy słuchać dorosłych?

– Dziadziu! – Gówniara niespodziewanie mi się wyrывa, ale w porę chwytam ją za włosy. – AAA!

– Do mnie, kurwo! – Przyciągam ją do siebie, a wtedy zdesperowany Malczyk znowu podnosi się z sofy. Zanoszę się śmiechem, gdy po pokonaniu dwóch małych kroków upada na kolana. – Pozwoliłem ci się ruszyć? – Podchodzę do niego i kopię go w twarz. A potem rozkoszuję się widokiem jego nienaturalnie wykrzywionej gęby.

– Oddam ci wszystko, co mam. Dom, pieniądze... wszystko. Ksawery też to zrobi, tylko wypuść Kornelię, proszę...

– Twoje pierdolenie zaczyna mnie już męczyć. Nie mogę jej wypuścić... Właśnie dla niej tu jestem – wyznaję z ogromną satysfakcją.

– Błagam!

– Nie no, nie wytrzymam... – Puszczam Kornelię i każę jej zostać na miejscu. Następnie chowam pistolet do kieszeni dzinsów, a z drugiej wydaję taśmę i ponownie zaklejam staremu usta. – Sam się o to prosiłeś. A teraz wstajemy. – Podciągam go i sadzam na sofie. Tymczasem Kornelia rzuca się do ucieczki i błyskawicznie wybiega na korytarz. „Złap ją!” – rozkazuje mi demoniczny głos w głowie. Ruszam więc za nią w pościg i doganiam ją, zanim wybiega z domu.

– DZIADZIU! AAA!

– Stul dziób! – Uderzam ją w twarz, a następnie ciągnę za włosy z powrotem do salonu. Tam stawiam ją naprzeciwko wstrząśniętego Malczyka, którego oczy zrobiły się już czerwone od łez. – Pięknie ją rozpuściliście. – Śmieję mu się w twarz, po czym zwracam się do panikującej Kornelii: – Zasługujesz na karę, wiesz?

– Chcę do mamy!

– I żeby było jasne: nie mam tu na myśli kary za twoje okropne zachowanie. – Mrugam do Malczyka okiem, a wtedy on wrzeszczy przez taśmę i znów próbuje wstać. Kretyn nie wyciągnął wniosków z poprzednich upadków. – Widzisz, Kornelciu, istnieje coś takiego jak harmonia... Jeśli się o nią nie zatroszczymy, cały świat pograży się w chaosie. A nikt przecież nie chce żyć w chaosie, prawda? Pragniemy jedynie spokoju i szczęścia...

– Ja chcę do mamy! – Wnuczka Malczyka nie przestaje histeryzować.

– Dwadzieścia cztery lata temu twój dziadek zburzył harmonię, dopuszczając do głosu mroczną część swojej osobowości – kontynuuję, ignorując wydawane przez starego odgłosy i głaszcząc Kornelię po głowie. – Skrzywdził niewinną dziewczynkę, która już nigdy nie doszła do siebie po tamtym akcie bestialstwa. Tak... Waldemar Malczyk to wcielenie diabła. Potwór, który omal nie doprowadził naszego świata do ruiny. Na szczęście jest sposób na naprawienie jego grzechów – wyjawiam, po czym wyjmuję z tylnej kieszeni pokrowiec. Jego widok sprawia, że moja ofiara napina wszystkie mięśnie twarzy, która momentalnie przybiera buraczany kolor. A gdy wysuwam z pokrowca nóż, na czole dziadka uwydatnia się gruba żyła.

– Dziadziu!

– Cii... Nie bój się, maleńka. Wszystko jest dobrze. Dzięki tobie świat znów stanie się szczęśliwym, pozbawionym groźnych odchyłeń miejscem – szepczę jej do ucha, nie odrywając wzroku od szarpiącego się, charczącego i podskakującego na kanapie Malczyka. Oszalały z rozpaczy naiwnie wierzy, że jeszcze coś wskóra. – Śpij słodko, Kornelciu – mówię, zanim podcinam jej gardło ostrym nożem. Nagle zapada cisza, po której rozlega się stłumiony przez taśmę skowyt starego pedofila, którego właśnie dosięgła karma. Kornelia jeszcze przez chwilę stoi prosto, jakby nie była świadoma tego, co jej zrobiłem.

– Dzia... Dzia... – Robi krok w jego stronę, a potem przykłada dłoń do gardła, z którego tryska krew, i osuwa się na podłogę. Stoję nad nią i w milczeniu patrzę, jak jej malutkie ciało wykonuje ostatnie podrygi. Jednocześnie nasłuchuję coraz cichszych jęków jej dziadka. Biedak nie ma już nawet siły płakać. Zniszczyłem go, rozwaliłem w drobny pył.

– Dokonało się – oznajmiam, gdy bachor przestaje już walczyć. Następnie zwracam się przodem do leżącego na sofie i wykończonego psychicznie Malczyka, a w głowie wybrzmiewa mi orkiestra demonicznych głosów: „Zabij go... Zabij go... Jesteśmy o krok od harmonii...”. – Teraz czas na ciebie – mówię, po czym wymijam ciało Kornelii i ruszam ku staremu, który nie ma już siły walczyć. Na dobrą sprawę nie muszę go nawet zabijać. On i tak jest już martwy. Widok mordowanej za jego błędy wnuczki wyssał z niego duszę i pozbawił go sensu istnienia. Oprawca mojej siostry już nie istnieje. Pozostało po nim stare ciało z pustym, pozbawionym emocji spojrzeniem

i bijące bez celu serce. – Hm... Co z tobą zrobić? Mogę cię skazać na lata wegetacji lub ukrócić twoje męki – mówię, przyglądając mu się ze współczuciem. A potem wbijam mu nóż w sam środek klatki piersiowej i mocno dociskam. Po jego wyjęciu z rany natychmiast zaczyna wypływać Malczykowi krew. – Teraz nastąpiła harmonia – ogłaszam i odklejam mu z ust taśmę. Stary rozchyła lekko usta i wydaje z siebie ledwo słyszalny pomruk, jakby próbował mi coś powiedzieć.

– Co? – Przysuwam się do niego, a wtedy on pluje krwią i szepcze mi do ucha:

– Smako... wała... tak... dob... rze... Mo... moja... Zo... Zosia... – Unosi delikatnie kąciki ust, po czym zdycha. A moje demony zdychają na chwilę razem z nim.

ROZDZIAŁ 3

DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

OBECNI

– Dość tego! Poddaję się! Tego już dla mnie za wiele... – Spoglądam błagalnie w stronę drzwi, drżąc z nerwów. Chcę stąd wyjść. – Zniosłam te chore opowieści o mordowaniu nastolatki czy ciężarnej kobiety, ale żeby podciąć gardło dziecku?!

– Chciała pani poznać całą prawdę. Oto ona. Waldemar Malczyk i jego wnuczka to moje ostatnie ofiary. Nikt nigdy nie odnalazł ich ciał, które porzuciłem na bagnach. Nie znalazłem się też w kręgu podejrzanych. Policja mylnie ścigała lokalnych mafiozów, z którymi Malczyk podobno układał się w przeszłości.

– Dobra, skończ. Nie zamierzam dłużej tego słuchać. – Wstaję z krzesła, kręcąc przecząco głową. Długo tolerowałam to wariactwo, ale moja cierpliwość się skończyła.

– Wychodzi pani? A co z historią o tym, jak zostałem zatrzymany?

– Nie dam rady – wydaję z siebie głośnie westchnięcie.

On jednak nie przestaje nawijać:

– Przez kolejne lata popadałem w coraz większy obłąd. Wszystko przez demony w głowie, których z roku na rok przybywało. Pocieszała mnie jednak myśl, że dzięki śmierci Malczyka i jego wnuczki Zosia nareszcie zaznała spokoju w zaświatach. I wtedy ona powróciła do mnie w dziewięćdziesiątym piątym, domagając się kolejnych ofiar. Tłumaczyła, że harmonia została zburzona i tylko ja mogę ją przywrócić. Nalegała, bym zabił jednego z kumpli Sławka. Padło na...

– Borysa Maciejaka i jego siedmioletniego syna – dopowiadam. – Wszystko to wiem. Zostałeś aresztowany przez policję i przesłuchany w sprawie wykopanych jakiś czas wcześniej szczątków Elizy. Później przyznałeś się też do zamordowania Anety Dudek. Możemy już skończyć tę szopkę? – pytam poirytowana, a wtedy on wpatruje się we mnie, jakby nie rozumiał, co do niego mówię.

– Ach, no tak... Wie pani o tym, bo przecież wszędzie mówiono o moim nieudanym napadzie – stwierdza po chwili. – Pozwoli pani jednak, że opowiem, co działo się w dniach poprzedzających tę katastrofę.

– Masz na myśli próbę wykopania Zosi z grobu? – Moje pytanie go zaskakuje. Zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, dodaję: – Byłeś już zmęczony chlaniem na umór i znoszeniem ciągłych kaprysów tego całego – chrząkam głośno – ducha.

– Ale...

– W trakcie jednej z pijackich nocy przyszła ci do głowy myśl, że być może jej duch jest powiązany z tym, co zostało z jej ciała – kontynuuję. – Doszedłeś do wniosku, że jeśli zniszczysz szczątki Zosi, to razem z nimi przepadnie jej duch.

– Co? Skąd pani to wszystko wie? Nigdy nikomu o tym nie mówiłem...

– Możesz wreszcie przestać? Myślałam, że dam radę ciągnąć tę szopkę, ale koniec z tym. – Przerzucam przez ramię plecak i zgarniam ze stolika zeszyt. Następnie wymachuję mu nim przed twarzą. – Tu jest wszystko.

– Wszystko? Mówi pani o swoich notatkach? – Jego zachowanie mnie irytuje.

– Nie, nie mówię o żadnych, kurwa, notatkach! Mówię o twojej książce, tato!

Zapada cisza, w trakcie której ojciec na zmianę spogląda a to na mnie, a to na ścianę.

– C-co p-pani p-powied-działa?

– Błagam, tato, oprzytomnij wreszcie. Myślałam, że urzeczywistniając fabułę twojej książki, uda mi się do ciebie zbliżyć, ale teraz widzę, że to nie ma sensu. Mojego taty już nie ma. Wmówił sobie, że jest Tytusem Mayerem...

– Ale przecież ja nim jestem! – podnosi głos ojciec. Jego szybki oddech i gwałtownie rosnące na aparaturze liczby sugerują, że swoimi komentarzami

wyprowadziłam go z równowagi. Powinnam odpuścić, by nie pogarszać jego stanu.

– Spróbuj się wyciszyć i zasnąć. Jesteś zdenerwowany. Wrócę jutro i spokojnie sobie porozmawiamy, dobrze?

– Pani Julio! – woła mnie, gdy jestem w połowie drogi do drzwi.

– Nie jestem żadną Julią. Julia Karpiel to bohaterka twojej nieukończonych książki. – Chciałam się wstrzymać z powiedzeniem mu tego do jutra, ale jestem już tym wszystkim tak zmęczona, że czuję potrzebę jak najszybciej wyrzucić to z siebie. – Nazywam się Anna Wojnowska i jestem twoją córką.

– M-moją c-córką? – Przez dłuższą chwilę wpatruje się we mnie ze łzami w oczach, po tym cicho wzdycha. – A j-jak j-ja się n-naz-zywam?

– Nazywasz się Jan Wojnowski i jesteś pisarzem – wyjawiam, a wtedy po policzkach ściekają mu jednocześnie dwie strużki łez. – Dobranoc, tato. Nie myśl o tym teraz. Spróbuj zasnąć. – Posyłam mu przed wyjściem szeroki uśmiech. Tymczasem on wciąż zatapia we mnie pytające spojrzenie. Dobija mnie świadomość tego, że na niektóre pytania już nigdy nie pozna odpowiedzi.

Gdy zamykam za sobą drzwi, wykończona emocjonalnie osuwam się na stojące przy ścianie krzesło. A potem zalewam się łzami i zwracam na siebie uwagę doktor Przymorskiej.

– Coś nie tak z pani tatą? – pyta zaniepokojona.

– Nie, po prostu... Dłużej nie dam już rady tego ciągnąć. To nie ma sensu. Tata coraz mocniej wierzy w to, że jest bohaterem swojej książki. On nie wróci, pani doktor. – Pociągam nosem. – Nie wróci...

Przymorska zajmuje miejsce obok i ściska mi lekko dłoń.

– Proszę być dobrej myśli. Znam wielu pacjentów w podobnym stanie, którym okresowo wracała świadomość. Pani tata ma tu najlepszą opiekę i wszyscy ciężko pracujemy, by jeszcze kiedyś powiedział pani, że panią kocha.

– Pytanie, czy kiedykolwiek mnie kochał... – rzucam z rezygnacją.

– Wierzę, że tak. – Kładzie mi dłoń na ramieniu, po czym wstaje. – Proszę wrócić do domu i odpocząć. To były dla pani stresujące dni. Muszę iść na obchód.

– Dobranoc, pani doktor. Dziękuję za wszystko.

– Dobranoc, pani Anno.

*

Nie czuję się na siłach, by wrócić autem z Mińska Mazowieckiego do Warszawy, dlatego zostawiam je na parkingu przed domem opieki dla osób z demencją starczą i udaję się na dworzec kolejowy. Przez całą podróż pociągiem rozmyślam o swoim życiu i niezwykle burzliwej relacji z ojcem. Ale od początku... Mój tata, Jan Wojnowski, chwycił się w życiu wielu zajęć, by nas wyżywić. Nigdy jednak nie ukrywał, że jego największym marzeniem było utrzymywanie się z pisania powieści kryminalnych. Każdą wolną chwilę spędzał zamknięty w pokoju, gdzie pisał na starej maszynie, którą nazywał swoją najlepszą przyjaciółką. W efekcie prawie w ogóle nie spędzał czasu ze mną i dwójką moich młodszych braci. W dzieciństwie bolało mnie to, że choć miałam tatę na wyciągnięcie ręki, to tak rzadko, prawie nigdy nie mogłam się w niego wtulić czy poradzić się go w sprawach, w których mama nie mogła mi pomóc. I to mimo iż starała się, jak mogła, by wypełnić po nim lukę.

Mijały lata, a spod pióra taty wychodziły kolejne mrozące krew w żyłach historie. Napisał między innymi thrillery: *Skóra*, opowiadający o sadystycznym strażniku więziennym, i *Posłuszna*, którego główną bohaterką była maltretowana przez męża żona. Wkrótce ukończył też prace nad kryminałami *Mężczyzna z tatuażem* i *Zbrodnia bez przedawnienia*. Po każdej książce podekscytowany przez kilka dni powtarzał, że tym razem na pewno uda mu się zaistnieć. Żaden wydawca nie był jednak zainteresowany wydaniem tych powieści. Podejrzewam, że problem tkwił w potocznym języku, którym się posługiwał. Jego dzieła pełne były wulgaryzmów, czego w tamtych czasach nie akceptowali ani czytelnicy, ani wydawcy. To jednak nie zrażało taty, który tworzył kolejne historie. Wszystko zmieniło się w roku dziewięćdziesiątym piątym, gdy usłyszał od jednego z dużych wydawców, że jego dzieła są zbyt prostackie, by zostać bestsellerami. Zdruzgotany tygodniami topił smutki w alkoholu i nierzadko zachowywał się wobec nas agresywnie. Zupełnie jak stworzeni przez niego bohaterowie. Mama przekonywała, że wkrótce ochłonie i zajmie się czymś „pożytecznym”, a przede wszystkim dochodowym. Mijały jednak kolejne miesiące, a tata pił coraz więcej i więcej. W końcu nasze życie zamieniło się w piekło, które fundował

bohaterom swoich powieści. Ilekroć mama prosiła go, by zerwał z wódką, on tłumaczył jej, że jego własne cierpienie i cierpienie innych „inspirują go”.

Nie rozmawiałam z tatą przez ponad dwadzieścia lat. W dwa tysiące drugim roku opętany nałogiem wyprowadził się z domu, twierdząc, że jedynym sposobem na stworzenie arcydzieła jest zainspirowanie się prawdziwym złem. Przez pierwsze lata sporadycznie przysyłał mamie listy z różnych miejsc w Polsce i pokrótce opowiadał jej o swoim życiu. Przyznał, że gdy wreszcie uzmysłowił sobie, że nieprędko zostanie bestsellerowym autorem, skończył z piciem i zatrudnił się jako kierowca tira. Nie był jednak gotowy na powrót do domu, który „przypominał mu o literackich porażkach”. Te słowa złamały mi serce. Mój ukochany tata uważał mnie za swoją porażkę...

Pół roku temu skontaktowała się ze mną opiekunka taty. Poinformowała mnie, że jakiś czas wcześniej lekarze zdiagnozowali u niego demencję, która w połączeniu z jego wieloletnim alkoholizmem i problemami psychicznymi doprowadziła do dewastacji mózgu. Tata miał zostać niebawem umieszczony w specjalistycznym ośrodku, ale wcześniej bardzo chciał się spotkać ze mną i braćmi. Oni bez namysłu odmówili. Nie chcieli widzieć człowieka, który siedem lat wcześniej nie przyjechał nawet na pogrzeb swojej żony. Całkowicie ich rozumiałam. W odróżnieniu od nich postanowiłam jednak odwiedzić tatę i spytać go, czy kiedykolwiek mnie kochał. Pamiętam naszą wielogodzinną, wzruszającą rozmowę, w trakcie której wielokrotnie przeprosił mnie za wszystkie krzywdy, których przez niego zaznałam. Choć nie była to łatwa decyzja, postanowiłam mu wybaczyć. Chciałam nacieszyć się czasem, który nam pozostał. Nie sądziłam, że będziemy go mieli tak mało...

Od trzech miesięcy tata nie jest już sobą. Nie wie, kim jest ani gdzie przebywa. Dwa tygodnie temu zaczął mnie nazywać Julią i opowiadać mi mroczne, przerażające historie, które kojarzyły mi się z jego powieściami. Nie przypominałam sobie, by w którejś z nich występowała jakaś Julia. Po jednym z naszych spotkań przejrzałam jego rzeczy i znalazłam gruby zeszyt z obszernym konspektem powieści, której nie było mu dane zacząć. Jej tytuł to *Dziewięćdziesiąt dziewięć ofiar Tytusa Mayera*. Główny bohater, zwolniony po dwudziestu pięciu latach odsiadki seryjny morderca, przebywa w szpitalu po przebytym zawale. Odwiedza go dziennikarka Julia Karpień, która planuje napisać jego biografię. W kolejnych dniach Mayer opowiada jej o swoim

burzliwym życiu i wyjaśnia, dlaczego pozbawił życia kilka osób. Tata postanowił uzupełnić tę powieść o wątki ze swoich poprzednich książek. Być może uznał, że jeszcze nie wszystko stracone i uda mu się stworzyć arcydzieło.

Nagle wszystko stało się dla mnie jasne. W wyniku pogłębiającej się demencji tata uwierzył, że jest bohaterem swojej powieści. Zauważyłam też, że jako Tytus Mayer miał w sobie znacznie więcej pozytywnej energii i wręcz cieszył się na mój widok. Co ciekawe, ilekroć wyprowadzałam go z błędu i podkreślałam, że nie jestem Julią Karpiel, dobry humor natychmiast go opuszczał. Zasugerowałam więc doktor Przymorskiej, że przeprowadzę eksperyment i wcielę się w wymyśloną przez niego postać. Myślałam, że odtwarzając z nim krok po kroku rozdziały książki i zapewniając mu dużą dawkę radości, sprawię, że z czasem tata przypomni sobie, kim tak naprawdę jest. Naprawdę wierzyłam, że wszystko skończy się dobrze. Szybko jednak przekonałam się, że tworzenie tej iluzji nie było dobrym pomysłem. W trakcie naszych rozmów tata posługiwał się dużo bardziej stonowanym językiem. Uważnie dobierał słowa, co z początku bardzo mnie zdziwiło. Zapamiętałam go bowiem jako prostego, często porywczego człowieka, który ciskał przekleństwami na prawo i lewo. Takie zachowanie zresztą bardziej pasuje do okrutnego mordercy. Ale czy na pewno? Okazuje się, że elokwentny, kulturalny staruszek może mieć mroczną przeszłość i krew na rękach. Myśl o tym przyprawia mnie o dreszcze. I to mimo iż wiem, że była to tylko kreacja.

Z przerażeniem patrzyłam na to, jak z zaangażowaniem, a czasem wręcz ze łzami w oczach, opowiadał mi fikcyjne historie. Wiedziałam, że ciężko chorował, ale mimo to czułam się tak, jakbym nigdy dla niego nie istniała. Doskonale pamiętałam chociażby incydent sprzed lat, gdy pijany tata oblał się wrzątkiem po brzuchu i nogach. W efekcie pozostały mu na ciele blizny, które teraz tłumaczył przypaleniem przez brutalnego strażnika. Zniosłam opowieść o morderstwie Elizy, ale nie byłam przygotowana na jedyny wątek, którego ojciec nie umieścił w konspekcie powieści. Mowa o napaści na Malczyka i jego wnuczkę. Trzęsłam się z nerwów, gdy tata z ekscytacją w głosie opowiadał mi o podcinaniu gardła pięcioletniej dziewczynce. Nie mieści mi się w głowie, że kogoś może cieszyć takie bestialstwo. Tak, wiem, tata nie jest sobą, ale to ponad moje siły. Obiecałam mu, że jutro go odwiedzę, ale chyba tego nie zrobię. Zresztą i tak nie będzie tego pamiętał.

Po powrocie do domu wydaję z szafki duży kieliszek i nalewam do pełna czerwonego wina. Następnie wypijam je duszkiem i udaję się do sypialni. Opadam na łóżko, nie mając siły się rozebrać. Ostatnie dni mnie wykończyły. Potrzebuję czasu, by się zregenerować i ponownie odwiedzić tatę. Może zrobię to za tydzień, a może za miesiąc... Tego nie wiem, ale zrozumiałam jedno: w życiu nie ma sensu niczego przyspieszać. Trzeba pozwolić mu się toczyć własnym tempem. Tacie jakoś nie spieszyło się do odnowienia ze mną kontaktu. Mnie też nie powinno.

EPILOG

MIESIĄC PÓŹNIEJ

Od dwóch godzin siedzę na dywanie w zagraconym salonie i porządkuję rzeczy taty, które wcześniej przechowywała jego była opiekunka. Co prawda bracia oferowali mi pomoc, ale zapewniłam ich, że poradzę sobie w pojedynkę. Zawsze sobie radziłam. Składałam więc jego ubrania i pakuję je do tekturowych pudeł. Jeszcze nie wiem, co z nimi zrobię. Najrozsądniej byłoby je oddać potrzebującym. Tata na pewno nie miałby nic przeciwko temu.

Gdy w zeszłym tygodniu doktor Przymorska zbudziła mnie o piątej nad ranem i poinformowała, że tata zmarł we śnie, poczułam ulgę. Nie można chyba sobie wymarzyć lepszej śmierci. Cieszyło mnie to, że już nie cierpiał. Żałuję jedynie, że do ostatnich chwil żył w wyimaginowanej rzeczywistości. Gdy z nim rozmawiałam po raz ostatni, nie widział we mnie swojej ukochanej córki. Za to ja widziałam w nim tatę. Troskliwego i kochającego. Właśnie takim chcę go pamiętać. Nawet jeśli będzie się to wiązało z koniecznością stworzenia własnej fikcji.

Po czterech godzinach udaje mi się wreszcie zapanować nad tym chaosem. Zostało mi ostatnie, zaklejone taśmą pudło. Rozcinam je ostrożnie nożem, a następnie wyjmuję z niego kilka swetrów i wełniany koc. Już mam je zamykać, gdy moją uwagę zwraca znajdujące się na dnie niewielkie prostokątne pudełeczko przypominające miniaturową skrzynię. Biorę je do ręki, a następnie otwieram. Przez dłuższą chwilę staram się zrozumieć, na co właśnie patrzę. A gdy wreszcie to do mnie dociera, głośno wzdycham i upuszczam pudełko na podłogę. Przez kolejne minuty krążę po salonie i staram się zebrać myśli. Nie... To niemożliwe... To musi być jakiś żart.

Kucam i podnoszę z podłogi przedmioty, które wypadły z pudełka. Są to: duże kolczyki w kształcie motyla, które w książce nosiła córka strażnika

Skórskiego, bransoletka z zielonych koralików, którą Tytus zabrał Elizie i zakopał w ogrodzie, obrączka z wygrawerowanym napisem: „Twój na zawsze. Sławek” i kawałek różowego materiału. Krew uderza mi do głowy, gdy przypominam sobie, że Kornelia miała na sobie różową piżamkę. Nie... To na pewno jakieś przypadkowo znalezione przedmioty, które zainspirowały tatę przy pisaniu książek. Pewnie postanowił je zachować na pamiątkę. Już mam je umieścić w worku z rzeczami do wyrzucenia, gdy w głowie świta mi myśl, że może dla świętego spokoju warto byłoby to sprawdzić...

Biegnę do sypialni, siadam przy biurku i włączam laptop. A potem wpisuję po kolei nazwiska ofiar książkowego Tytusa Mayera. I nagle cały świat wokół mnie zaczyna szybko wirować. Eliza Kubiak z Chełma, Aneta Dudek spod Rzeszowa, Waldemar Malczyk z Zielonej Góry i jego wnuczka Kornelia, a nawet Milena Skórska z okolic Bydgoszczy. Wszyscy ci ludzie zaginęli między rokiem dwa tysiące trzecim a dwa tysiące ósmym, gdy tata, jak przynajmniej twierdził, pracował jako kierowca tira. Bliskim do dziś nie udało się ich odnaleźć. Przez kolejną godzinę wstrząśnięta przeglądam stare artykuły i natrafiam na zdjęcia tych ludzi. Omal nie spadam z krzesła, gdy na jednej z fotografii Milena Skórska ma kolczyki w kształcie motyla. Z kolei Eliza Kubiak pozuje do zdjęcia z bransoletką na nadgarstku. Fotografia jest jednak zbyt słabej jakości, bym mogła stwierdzić, czy faktycznie ma ona zielony kolor. A może nie chcę tego zrobić, bo nie jestem gotowa na prawdę na temat taty? Oblewam się zimnym potem na myśl o tym, że przez te wszystkie spędzone poza domem lata mógł podróżować po Polsce i „inspirować się złem” poprzez mordowanie niewinnych osób. Nie sprawdziłam ich wcześniej w sieci, ale skąd mogłam wiedzieć, że tata uczynił z prawdziwych ludzi bohaterów książki? To chore! Nie... Tata może i nie był idealny, ale na pewno nie był potworem. Nie mógł nim być, bo oznaczałoby to, że wybaczyłam potworowi.

Jest tylko jeden sposób, by ustalić, czy tata mógł mieć coś wspólnego z tymi zaginięciami. Muszę wcielić się w Julię Karpiel i wykonać perfekcyjną, dziennikarską robotę. Dotrę do firmy, dla której pracował, i sprawdzę, czy w dniach zaginięcia poszczególnych osób przebywał w miastach, w których mieszkały. Jeśli to się potwierdzi, będę musiała rozważyć skontaktowanie się z ich bliskimi i przedstawienie im konspektu powieści *Dziewięćdziesiąt*

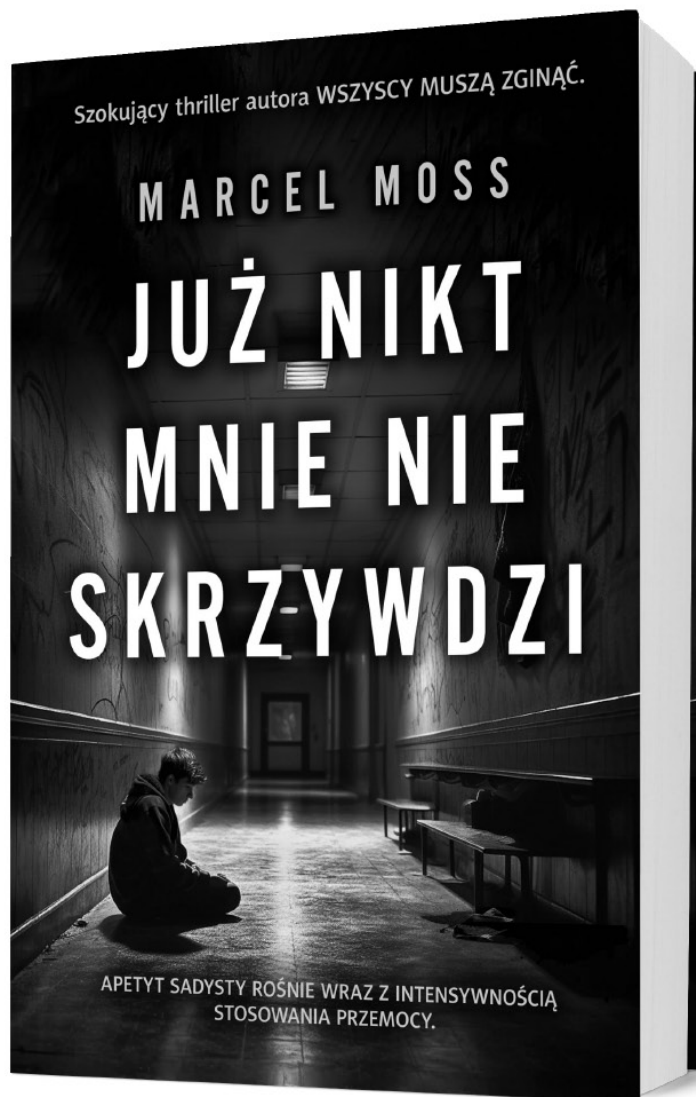
dziewięć ofiar Tytusa Mayera. Być może dzięki temu uda się zlokalizować ciała ofiar.

Przede mną wiele godzin, a może i dni, psychicznej udręki. To ode mnie zależy, jak zostanie zapamiętany tata. Jeśli spotkam się z rodzinami zaginionych, być może po latach zaprowadzę w życiu każdej z tych rodzin harmonię. Ale równie dobrze mogę im tylko dać złudną nadzieję. A jeśli tata wcale nie zabił tych ludzi? Tylko skąd wziął przedmioty, które do nich należały?

Boże... Tata przez cały czas miał rację. Podstawą tego świata jest harmonia. Teraz wszystko zależy ode mnie. Moja harmonia za harmonię rodzin ofiar. Ktoś na pewno będzie cierpiał. Tylko kto? Muszę podjąć decyzję. I podejmę ją. W swoim czasie.

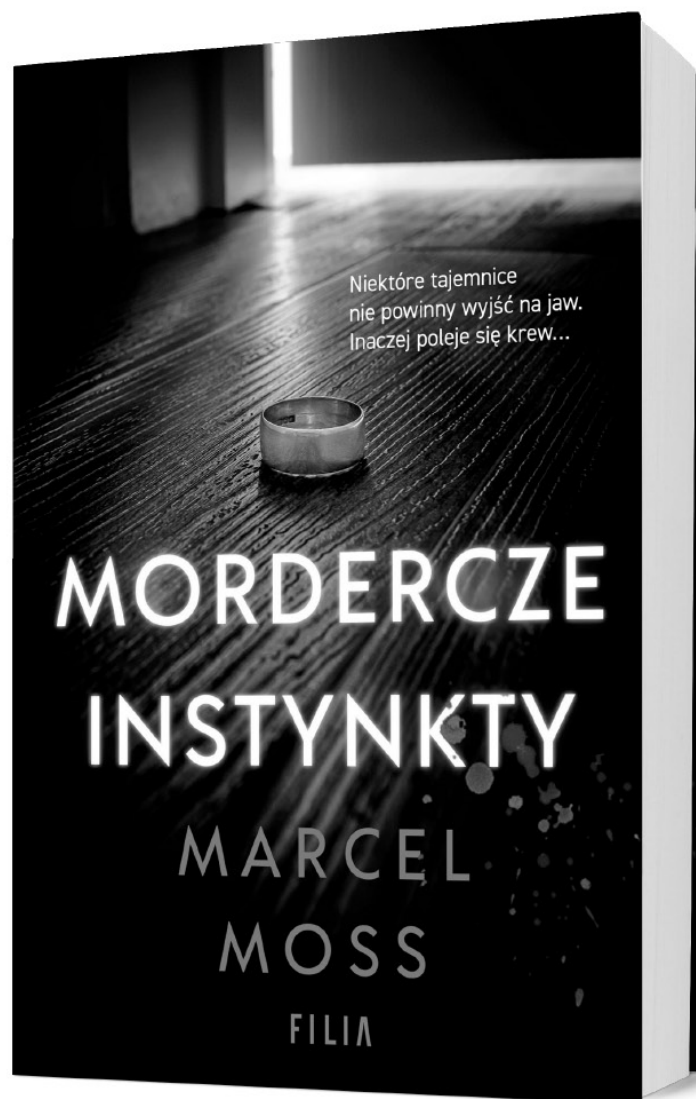
KONIEC

Apetyt sadysty rośnie wraz z intensywnością
stosowania przemocy



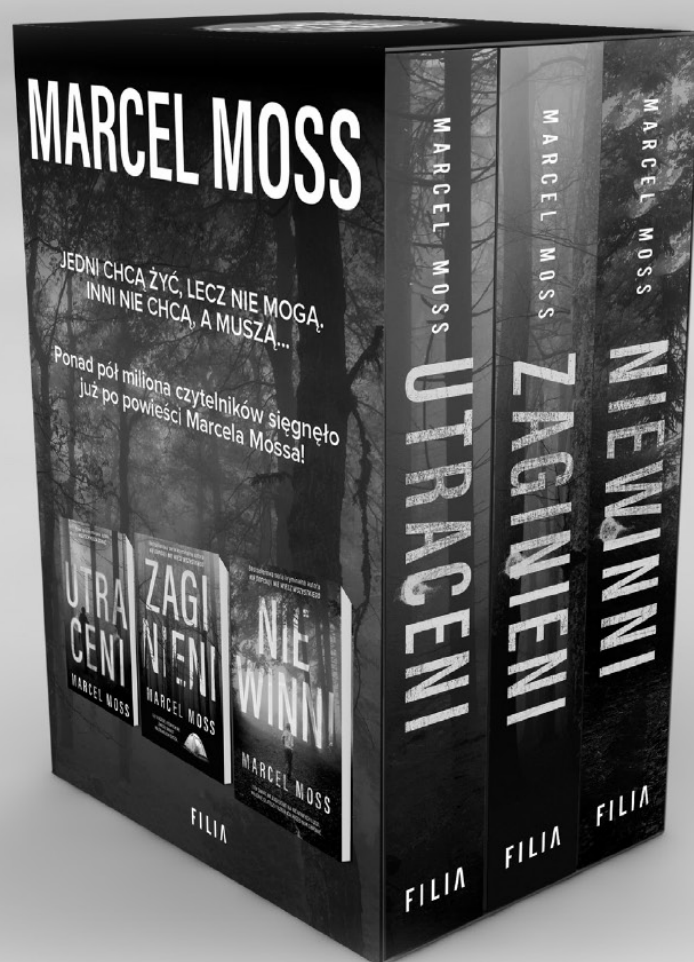
FILIA MROczNA
STRONA

Niektóre tajemnice nie powinny wyjść na jaw.
Inaczej poleje się krew...



FILIA MROczNA
STRONA

Bestsellerowa seria kryminalna jednego z najpopularniejszych polskich autorów!



FILIA MROCZNA
STRONA

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

Tytus Mayer

CZEŚĆ 1: NOWY POCZĄTEK

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

CZEŚĆ 2: SKÓRA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

CZEŚĆ 3: POSŁUSZNA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

CZEŚĆ 4: PRZEKLETA UFNOŚĆ

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

CZEŚĆ 5: MĘŻCZYZNA Z TATUAŻEM

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

CZEŚĆ 6: ZBRODZIA BEZ PRZEDAWNINIENIA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

EPILOG

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Karta redakcyjna

Copyright © by Marcel Moss, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Magdalena Russocka/Trevillion

Redakcja: Hanna Trubicka
Korekta: „DARKHART”, Jarosław Lipski
Skład i łamanie: „DARKHART”

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-157-7

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.